

**AGATHA CHRISTIE**

# **NIEDZIELA NA WSI**

**PRZEŁOŻYŁA JOLANTA BARTOSIK**

**TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: THE HOLLOW**

*Larry'emu i Danae*  
*Przepraszam, że uczyniłam wasz basen*  
*Miejscem zbrodni*

# I

Był piątek, godzina szósta trzydzieści rano. Lucy Angkatell otworzyła wielkie błękitne oczy i natychmiast zaczęła się zastanawiać nad rozwiązaniem przeróżnych problemów, podsuwanych jej przez niezwykle aktywny umysł. Czowała, że musi się kogoś poradzić, z kimś porozmawiać. Jej wybór padł na młodą kuzynkę, Midge Hardcastle, która poprzedniego wieczoru przyjechała do The Hollow. Lady Angkatell szybko wstała z łóżka, narzuciła na ramiona szlafroczek i poszła do pokoju Midge po drugiej stronie korytarza. Myśli lady Angkatell biegły bardzo szybko. Zanim jeszcze otworzyła drzwi do sypialni Midge, już rozpoczęła rozmowę. Bujna wyobraźnia dostarczała jej odpowiedzi, jakich mogła udzielić kuzynka.

— ...jak sama widzisz, będzie z tym trochę kłopotów!

— Hm? Taa? — Midge, obudzona gwałtownie z głębokiego, przyjemnego snu, mruzczyła coś niezrozumiale.

Lady Angkatell podeszła do okna, szybkim ruchem otworzyła okiennice i podciągnęła żaluzje, wpuszczając do pokoju blade światło wrześnieego poranka.

— Ptaki! — stwierdziła, z przyjemnością patrząc na ogród. — Jakie piękne!

— Co?

— Przynajmniej pogodą nie muszę się martwić. Wygląda na to, że przez kilka dni będzie ładnie. To już coś. Chyba się ze mną zgodzisz, że kiedy parę osób o sprzecznych osobowościach musi spędzić kilka dni pod jednym dachem, sytuacja staje się trudna do wytrzymania. Pozostają tylko gry towarzyskie, ale wówczas byłoby tak jak w zeszłym roku; nigdy sobie nie wybaczę tego, co było z biedną Gerdą. Powiedziałam potem Henry'emu, że postąpiłam bezmyślnie... Ale musiałam ją zaprosić, bo nie wypada zapraszać Johna bez niej, chociaż wtedy jest znacznie trudniej... Najgorsze jest to, że Gerda jest bardzo sympatyczna. Czasem sobie myślę, że to bardzo dziwne, iż ktoś tak miły może być całkowicie pozbawiony inteligencji. Jeśli tak działa prawo kompensacji, uważam to za niesprawiedliwe.

— O czym ty mówisz, Lucy?

— O sobocie i niedzieli, kochanie. O ludziach, którzy tu jutro przyjadą. Myślałam o tym całą noc i jestem ogromnie zmartwiona. Rozmowa z tobą bardzo mnie uspokoiła. Jesteś rozsądna i praktyczna.

— Lucy — powiedziała Midge surowo — czy wiesz, która jest godzina?

— Chyba nie. Sama wiesz, że nigdy się tym nie przejmowałam.

— Jest kwadrans po szóstej.

— Rzeczywiście, kochanie — przyznała lady Angkatell bez śladu skruchy.

Midge spojrzała na nią karcąco. Lucy jest nieznośna! Nie mam pojęcia — myślała Midge — dlaczego pozwalamy jej na takie zachowanie.

Ledwie o tym pomyślała, już zrozumiała, dlaczego tak jest.

Lucy Angkatell uśmiechała się. Patrząc na nią, Midge uświadomiła sobie, że Lucy roztacza wokół siebie jakiś przewrotny czar, nie opuszczający jej, mimo że skończyła już sześćdziesiąt lat. Ludzie na całym świecie, zagraniczni potentaci, przedsiębiorcy i urzędnicy rządowi byli gotowi znosić dla niej niewygodę, nieprzyjemności i przykrości. Dziecięca radość i szczere upodobanie we wszystkim, co robiła, rozbijały i unicestwiała wszelką krytykę. Wystarczyło, żeby Lucy szeroko otworzyła błękitne oczy, wyciągnęła delikatną dłoń i szepnęła: „Jakże mi przykro...”, by gniew i uraza znikły bez śladu.

— Ach, kochanie — odezwała się lady Angkatell — jakże mi przykro... Powinnaś mi wcześniej powiedzieć!

— Mówię teraz, ale jest już za późno. Wybiłaś mnie ze snu.

— To straszne! Pomożesz mi, prawda?

— Chodzi ci o te wolne dni? Dlaczego? Czym się martwisz? Lady Angkatell przysiadła na skraju łóżka. Nikt inny — pomyślała sobie Midge — nie potrafiłby tego zrobić w taki sposób. Lucy wydawała się eteryczna jak wróżka, która ukazała się na moment zwykłej śmiertelnicy.

Lady Angkatell wyciągnęła ruchliwe, białe dłonie w uroczym, ujmującym geście bezradności.

— Przyjeżdżają niewłaściwi ludzie. Niewłaściwie dobrani, chciałam powiedzieć... Bo sami w sobie nie są niewłaściwi. Każdy z nich jest na swój sposób wartościowy.

— Kto przyjeżdża? — Midge uniosła silne, opalone ramię i odsunęła z wysokiego czoła gruby kosmyk czarnych, wijących się włosów. Nie było w niej nic z eterycznej wróżki.

— Będzie John z Gerdą. Już to wystarczy. Chodzi o to, że John jest wspaniały, bardzo atrakcyjny, ale Gerda... Musimy być dla niej bardzo grzeczni. Bardzo, bardzo grzeczni.

Kierowana nagłym impulsem, jakby się przed czymś broniąc, Midge powiedziała:

— Daj spokój! Nie jest znów taka do niczego.

— Kochanie, ona jest niesamowita. Te oczy! Człowiek ma wrażenie, że nie rozumie ani słowa z tego, co się do niej mówi.

— Bo rzeczywiście nie rozumie — przyznała Midge. — Na pewno nie to, co ty mówisz, ale trudno mieć do niej o to pretensję. Twój umysł pracuje tak szybko, że chcąc za tobą nadążyć, trzeba przywyknąć do gwałtownych skoków myślowych. Nigdy nie wyjaśniasz, dlaczego jedna rzecz kojarzy ci się z drugą.

— Jak małpa — stwierdziła nieoczekiwanie lady Angkatell.

— Kogo jeszcze się spodziewasz? Pewnie będzie Henrietta?

Lady Angkatell rozchmurzyła się.

— Tak... Mam nadzieję, że będzie dla mnie ostoją. Zawsze spieszyła z pomocą. Henrietta jest dobra aż do szpiku kości, nie tylko po wierzchu. Zajmie się biedną Gerdą.

W zeszłym roku była wspaniała. Graliśmy w limeryki, wymyślanie słów, cytaty czy coś podobnego. Wszyscy już skończyliśmy i czytaliśmy swoje utwory. Nagle się zorientowaliśmy, że biedna Gerda jeszcze nie zaczęła pisać. Nie zrozumiała, o co chodzi w tej zabawie. To było straszne, Midge.

— Nie mam pojęcia, dlaczego istnieją ludzie, którym chce się odwiedzać Angkatellów — powiedziała Midge. — Trzeba nieustannie gimnastykować umysł, brać udział w różnych grach i znosić twój dziwaczny sposób prowadzenia rozmowy.

— Rzeczywiście, kochanie, to musi być męczące. Gerda pewnie czuje się tu okropnie. Zawsze myślałam, że gdyby miała trochę siły, żeby przeciwstawić się mężowi, wcale by tu nie przyjeżdżała. No, ale co było, to się nie odstanie. Biedaczka, sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. John nie miał do niej cierpliwości. Chciałam jakoś temu zaradzić, ale nic mi nie przychodziło do głowy... Tym bardziej jestem wdzięczna Henriecie. Zaczęła wypytywać Gerdę o pulower, który ta miała na sobie. Był okropny, w kolorze zwiędłej sałaty; wyglądał smętnie, jak ciuch z wyprzedaży. Ale Gerda cała się rozpromieniła. Jeśli dobrze zrozumiałam, sama wydzierała go na drutach. Henrietta poprosiła ją o wzór. Gerda była dumna i szczęśliwa. To właśnie miałam na myśli, kiedy chwaliłam przed chwilą Henriette. Ona zawsze potrafi coś zrobić. Ma szczególny dar.

— Zadaje sobie trochę trudu — stwierdziła zamyślona Midge.

— Tak; i zawsze wie, co powiedzieć.

— Ach! — wtrąciła Midge. — W jej przypadku to nie są tylko słowa. Czy wiesz, że Henrietta rzeczywiście wydzierała ten pulower?

— Coś podobnego! — Lady Angkatell spoważniała. — I nosiła go?

— Nosiła. Henrietta zawsze doprowadza do końca to, co zaczęła.

— Był bardzo brzydki?

— Nie. Na Henriecie wyglądał ładnie.

— Nie dziwi mnie to. To cała różnica między Henriettą a Gerdą. Wszystko, czego podejmuje się Henrietta, robi dobrze i wszystko się jej udaje. Jest dobra prawie we wszystkim, nie tylko w swoim zawodzie. Mówię ci, Midge, że jeśli ktoś może nam pomóc przetrwać te dni, to tylko Henrietta. Będzie miła dla Gerdy, zabawi Henry'ego, zadba o to, żeby John miał dobry humor, i pomoże zająć czymś Davida.

— Davida Angkatella?

— Tak. Właśnie wrócił z Oxfordu... Czy może z Cambridge? Chłopcy w tym wieku są bardzo trudni. Szczególnie ci intelektualiści. David jest prawdziwym intelektualistą. Człowiek by wolał, żeby odłożyli te intelektualne zainteresowania na później. Ale oni nieustannie gapią się na innych, robią głupie miny, obgryzają paznokcie, mają twarze zsypane krostami i do tego jeszcze jabłko Adama. Albo milczą jak zakłęci, albo mówią bardzo głośno, sprzeciwiając się wszystkim. Ale, jak już mówiłam, mogę zaufać Henriecie. Jest bardzo taktowna i stawia stosowne pytania. Jest rzeźbiarką, co budzi respekt; szczególnie, że nie rzeźbi zwierząt czy dziecięcych główek, tylko takie przedziwne rzeczy w metalu i gipsie jak te, które wystawiała w zeszłym roku w New Artists. Jej rzeźba przypominała schody przeciwpożarowe. Nazywało się to „Wchodząc przez” czy coś podobnego. Na chłopaku takim jak David zrobiłoby to wrażenie... Mnie się wydało dość głupie.

— Lucy!

— Chociaż niektóre prace Henrietty wydają mi się bardzo ładne. Na przykład „Płaczący jesion”.

— Moim zdaniem, Henrietta ma w sobie coś z prawdziwego geniusza. Poza tym jest uroczą i sympatyczną osobą — powiedziała Midge.

Lady Angkatell wstała i podeszła do okna. W zamyśleniu zaczęła się bawić sznurem od żaluzji.

— Ciekawe, dlaczego żołądzie? — mruknęła.

— Żołądzie?

— Na sznurze do żaluzji. A na bramach ananasy. Musi być jakiś powód. Mogłaby przecież być szyszka albo gruszka, a jednak zawsze jest żołądz. Tak je nazywają w krzyżówkach; pokarm dla świń. Zawsze mnie to ciekawiło.

— Nie zmieniaj tematu, Lucy. Przysłaś porozmawiać o sobocie i niedzieli. Nadal jednak nie rozumiem, co cię tak martwi. Jeśli będziesz unikała gier towarzyskich, będziesz się starała mówić do Gerdy powoli i zrozumiale, a Henrietta oswoi Davida—intelektualistę, wszystko powinno pójść dobrze. W czym trudność?

— Po pierwsze, przyjeżdża Edward.

— Ach, Edward! — powiedziała Midge i zamilkła. Po chwili spytała: — Co ci przyszło do głowy, żeby go zapraszać akurat na tę sobotę?

— Sama nie wiem, Midge. Tak jakoś wyszło. On się wprosił. Przysłał telegram z zapytaniem, czy może przyjechać. Wiesz, jaki jest Edward. Nadmiernie wrażliwy. Gdybym mu odmówiła, pewnie do końca życia nie miałby śmiałości zaproponować, że mnie odwiedzi. Taki już jest.

Midge z namysłem pokiwała głową. Tak — pomyślała — Edward jest właśnie taki. Przez moment miała wrażenie, że widzi jego twarz, naznaczoną czymś przypominającym eteryczny wdzięk Lucy: łagodną, nieśmiałą, ironiczną...

— Kochany Edward — powiedziała Lucy, jakby czytając w myślach Midge. — Żeby tak Henrietta zdecydowała się wreszcie wyjść za niego — mówiła zniecierpliwiona. — Wiem, że bardzo go lubi. Gdyby tu przyjechali oboje pod nieobecność Christowów... Z jakiegoś powodu John Christow ma niedobry wpływ na Edwarda. John, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, jest przy nim bardziej kimś, a Edward nikim. Rozumiesz?

Midge przytaknęła.

— Nie mogę odwołać Christowów, bo wszystko zostało zaplanowane dawno temu, czuję jednak, że będzie bardzo trudno z Davidem, gapiącym się na wszystkich bez skrępowania i obgryzającym paznokcie; z Gerdą, którą trzeba będzie się zająć tak, żeby się nie czuła wyobcowana; z Johnem, niezmiennie pogodnym, i z ustępującym mu pola Edwardem...

— Składniki mieszanki nie są zachęcające — mruknęła Midge.

Lucy uśmiechnęła się do niej.

— Czasem — powiedziała zamyślona — wszystko samo się jakoś układa. Na niedzielny obiad zaprosiłam tego specjalistę od morderstw. Mam nadzieję, że dostarczy nam nieco rozrywki.

— Specjalistę od morderstw?

— Jak jajo — powiedziała lady Angkatell. — Był w Bagdadzie. Wyjaśniał tam jakąś intrygę, kiedy Henry był pełnomocnikiem rządu. A może to było nieco później? Zjedliśmy z nim i z personelem ambasady obiad. Pamiętam, że miał na sobie biały garnitur, różowy kwiat w butonierce i czarne lakierki. Poza tym niewiele pamiętam. Nigdy mnie nie interesowało, kto zabił kogo. Chodzi mi o to, że skoro ktoś już nie żyje, jakie to ma znaczenie, dlaczego? I po co to całe zamieszanie?

— Popelniono tu jakąś zbrodnię?

— Nie, kochanie. On zajmuje jeden z tych śmiesznych nowych domków. Wiesz, te belki, o które zawadza się głową, nowoczesne instalacje hydrauliczne i niewłaściwie rozplanowany ogród. Ludzie z Londynu lubią te rzeczy. Zdaje się, że jeden z nich należy do aktorki. Nie mieszkają tu przez cały rok, tak jak my. Jednak — mówiła lady Angkatell, chodząc po pokoju — podoba im się tu. Midge, kochanie, jesteś taka miła. Dziękuję za pomoc.

— Obawiam się, że niewiele ci pomogłam.

— Nie? — Lucy Angkatell była zdziwiona. — Prześpij się jeszcze. Nie musisz wstawać na śniadanie, a kiedy już wstaniesz, możesz być tak nieuprzejma, jak tylko zechcesz.

— Nieuprzejma? — zdziwiła się Midge. — Ależ... Ach! — zaśmiała się. — Rozumiem! Jesteś bystra, Lucy. Chyba skorzystam z twojej rady.

Lady Angkatell uśmiechnęła się i wyszła z pokoju. Mijając otwarte drzwi swojej łazienki, zobaczyła czajnik i kuchenkę gazową. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wiedziała, że ludzie zwykle przepadają za herbatą, a Midge przez kilka najbliższych godzin nie wyjdzie ze swojego pokoju. Postanowiła więc zaparzyć herbatę dla Midge. Postawiła czajnik na ogniu i wyszła na korytarz. Stała przed drzwiami sypialni męża i nacisnęła klamkę, ale sir Henry Angkatell dobrze znał swoją Lucy. Darzył ją szczerym uczuciem, ale lubił się dobrze wyśpać. Drzwi były zamknięte na klucz.

Lady Angkatell wróciła do swojego pokoju. Chętnie poradziłaby się Henry'ego, ale będzie musiała poczekać. Stała przy otwartym oknie, chwilę wyglądała na ogród, potem ziewnęła. Wróciła do łóżka i położyła głowę na poduszce; po chwili smacznie spała. Woda w czajniku właśnie się gotowała.

— Znowu spalony czajnik, panie Gudgeon — powiedziała Simmons, pokojówka.

Gudgeon, lokaj, pokręcił siwą głową. Wyjął czajnik z rąk Simmons, wszedł do spiżarni i z półki na talerze zdjął nowy; na wszelki wypadek trzymał ich tam kilka.

— Proszę, panno Simmons. Pani niczego się nie domyśli.

— Często jej się to zdarza? — spytała Simmons. Gudgeon westchnął.

— Pani — stwierdził — ma gołębie serce, ale jest, że tak powiem, zapominalska. Jednak w tym domu — ciągnął — ja jestem odpowiedzialny za to, żeby oszczędzić pani wszelkich trosk.

## II

Henrietta Savernake uformowała z kawałka gliny kulkę i przykleiła ją na właściwym miejscu. Szybkimi, zwinnymi ruchami kształtowała glinianą głowę dziewczyny. Słyszała wysoki, zawodzący i pospolity głos, ale jej umysł był całkowicie zaprzątnięty pracą.

— Uważam, panno Savernake, że miałam rację! Skoro, powiedziałam, chce pani tak myśleć... Uważam, panno Savernake, że dziewczyna dla własnego dobra powinna stawiać sprawy jasno. Chyba mnie pani rozumie? Nie jestem przyzwyczajona, powiedziałam, żeby mówiono o mnie takie rzeczy, i mogę tylko powiedzieć, że ma pani bardzo bujną i nieczystą wyobraźnię. Człowiek nie chciałby być nieuprzejmy, ale chyba słusznie się broniłam? Jak pani myśli, panno Savernake?

— Oczywiście — powiedziała Henrietta. Głos miała pełen entuzjazmu; każdy, kto ją znał, domyśliłby się, że jej uwagę zaprzęta coś innego.

— Nic na to nie poradzę, powiedziałam, że pańska żona opowiada takie rzeczy. Nie wiem, dlaczego, ale wszędzie, gdzie się pojawię, zaczynają się jakieś kłopoty. Nie ma w tym mojej winy. Mężczyźni są niepoprawni. — Modelka zachichotała kokieteryjnie.

— Strasznie — powiedziała Henrietta mrużąc oczy.

Uroczą — myślała. — Płaszczyna poniżej powieki jest po prostu uroczą. I ta druga płaszczyna, wybiegająca tamtej naprzeciw. Szczeka jest niewłaściwie uformowana... Muszę to zeskrobać i odbudować na nowo. To nie będzie łatwe.

— Ma pani niełatwe życie — powiedziała ciepłym, współczującym głosem.

— Uważam, że zazdrość jest niesprawiedliwa, panno Savernake, i małoduszna. Mam nadzieję, że mnie pani rozumie? Ludzie potrafią źle życzyć innym tylko dlatego, że sami są starsi i brzydsi.

Pracując nad szczeką, Henrietta odpowiedziała na to z roztargnieniem:

— Oczywiście.

Wiele lat temu nauczyła się dzielić umysł na odrębne, nie kontaktujące się między sobą fragmenty. Potrafiła grać w brydża, prowadzić inteligentną rozmowę czy pisać poprawny list, nie poświęcając tym rzeczom większej uwagi. Teraz całkowicie skoncentrowała się na tym, żeby wydobyć spod warstwy gliny Nauzykaę. Potok nieciekawej, złośliwej gadaniny nie miał dostępu do głębszych warstw jej umysłu. Bez najmniejszego wysiłku podtrzymywała rozmowę. Była przyzwyczajona do modelek, które chcą rozmawiać. Zawodowcy tego nie robią, ale amatorzy — tak. Zmęczeni wymuszoną bezczynnością, lubią mówić o sobie. Jakaś część Henrietty słuchała i odpowiadała, ale gdzieś w głębi prawdziwa Henrietta myślała: „Pospolita, złośliwa, zawistna dziewucha, ale te oczy... Urocze, urocze, urocze oczy...”

Dopóki pracuje nad oczami, dziewczyna może mówić. Kiedy dojdzie do ust, każe jej milczeć. To dziwne, że z tak pięknie wykrojonych ust wydobywa się grad słów pełnych zawiści.

Cholera — pomyślała Henrietta, zdenerwowana. — Psuję brwi. Dlaczego mi nie wychodzi? Za bardzo uwypukliłam kość. Jest kanciasta, a powinna być grubsza.

Odsunęła się nieco i odwróciła wzrok od gliny, by spojrzeć na postać z krwi i kości, upozowaną na podium. Doris Saunders mówiła bez przerwy:

— Nie rozumiem, powiedziałam, dlaczego pani mąż nie miałby mi dawać prezentów, skoro ma na to ochotę, i nie sędzę, powiedziałam, żeby to dawało pani prawo do insynuowania niegodnych rzeczy. To była bardzo ładna bransoletka, panno Savernake, prawdziwe cacko. Nic dziwnego, że biedaczek splukał się na nią doszczętnie, ale to przecież było takie miłe z jego strony. Nie oddałabym jej nikomu za nic w świecie.

— Nie, nie — mruknęła Henrietta.

— Zresztą, między nami nic właściwie nie było... To znaczy, nic niegodziwego; nic z tych rzeczy.

— Nie — powiedziała Henrietta. — Oczywiście, że nie. Rozchmurzyła się. Przez następne pół godziny zwijała się jak w ukropie. Rozsmarowała sobie glinę na czole i posklejała nią włosy, niecierpliwie odsuwając z czoła niesforne kosmyki. W jej oczach pojawiło się ślepe zapamiętanie. Była już blisko... Udało się...

Za kilka godzin skończy się męka, trwająca od dziesięciu dni.

Nauzykaa... Była Nauzykaa, wstawała rano z Nauzykaa, jadła śniadanie z Nauzykaa i z nią wychodziła z domu. Przemierzała ulice podniecona, niespokojna, nie potrafiąc się skoncentrować na niczym, z wyjątkiem pięknej, pustej twarzy, którą widziała oczyma wyobraźni, jakby dostrzegała ją kątem oka, ale nigdy wyraźnie. Rozmawiała z modelkami, zastanawiała się nad Greczynkami, ale nie mogła zaznać spokoju.

Chciała czegoś, co pomogłoby jej zacząć. Czegoś, co tchnęłoby życie w jej własną wizję. Codziennie robiła pieszo wiele kilometrów, aż do zmęczenia, które przynosiło jej chwilową ulgę. Kierowało nią, nie dając spokoju, przemożne pragnienie ujrzenia...

Podczas tych poszukiwań na jej twarzy malowała się pustka. Wzrok miała niewidzący. Zmagała się... Usiłowała się zbliżyć do tej twarzy... Czuła się chora, nieszczęśliwa...

Nagle jej wzrok się wyostrzył i normalnymi ludzkimi oczyma ujrziała przed sobą w autobusie, do którego bezmyślnie wsiadła, nie troszcząc się, dokąd jedzie — zobaczyła... Tak, Nauzykaę! Nieduża, dziecięca twarzyczka, półotwarte usta i oczy — urocze, nieobecne, niewidzące oczy.

Dziewczyna nacisnęła dzwonek i wysiadła. Henrietta poszła za nią. Była spokojna i rzeczowa. Wreszcie znalazła to, czego pragnęła. Skończyła się męka obłądnego poszukiwania.

— Przepraszani bardzo. Z zawodu jestem rzeźbiarką. Ma pani głowę, jakiej szukam.

Była przyjacielska, ujmująca i urocza jak zawsze, kiedy czegoś chciała. Doris Saunders była niepewna, zaniepokojona, zadowolona.

— Sama nie wiem. Jeśli rzeczywiście chodzi tylko o głowę... Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

Dla zasady wahała się jeszcze. Potem dyskretnie spytała o wynagrodzenie.

— Będę nalegała, żeby przyjęła pani wynagrodzenie zawodowej modelki.

W taki sposób Nauzykaa znalazła się na podium. Była zadowolona, że się podoba, że zostanie uwieczniona (choć nie podobały się jej dzieła Henrietty wystawione w pracowni). Z wielką przyjemnością opowiadała o sobie, pełnej zainteresowania i sympatii słuchaczce. Na stoliku obok modelki leżały okulary, które próżna dziewczyna nieczęsto wkładała na nos. Bez nich poruszała się prawie po omacku, ponieważ — jak wyznała Henriecie — nawet to, co znajdowało się zaledwie metr przed nią, widziała bardzo niewyraźnie.

Henrietta ze zrozumieniem kiwała głową. Teraz rozumiała, skąd wzięło się to urocze spojrzenie.

Czas mijał. Nagle Henrietta odłożyła narzędzia i rozprostowała ramiona.

— Skończone — powiedziała. — Mam nadzieję, że nie zmęczyłam pani za bardzo?

— Ależ nie, panno Savernake. To było bardzo ciekawe. Rzeczywiście już pani skończyła? Tak szybko?

Henrietta zaśmiała się.

— Nie, jeszcze nie skończyłam. Zostało jeszcze dużo pracy, ale pani nie będzie mi już potrzebna. Mam to, co chciałam; ukształtowałam płaszczyzny.

Dziewczyna powoli zeszła z podium. Kiedy włożyła okulary, z jej twarzy zniknęła dziecięca niewinność i niezrozumiały, ufny urok. Została jej tylko tandetna, nieciekawa uroda.

Podeszła do Henrietty, stanęła obok niej i spojrzała na glinianą twarz.



— Och! — powiedziała niepewnie, rozczarowana. — Nie jest do mnie podobna.

Henrietta uśmiechnęła się.

— To nie jest pani podobizna.

Trudno było dostrzec jakiegokolwiek podobieństwo rzeźby do oryginału. Było ukryte w oczach, w okrągłych policzkach, które Henrietta uznała za najistotniejsze u swojej Nauzykai. To nie była gliniana Doris Saunders, ale niewidoma dziewczyna, o której można by pisać wiersze. Wargi były rozchylone jak u Doris, ale nie były ustami Doris. Te usta mówiły innym językiem i wyrażały myśli nie należące do Doris. Rysy nie zostały jeszcze ostatecznie ukształtowane. To była Nauzykaa wydobyta z pamięci, nie oglądana oczami...

— Cóż — powiedziała niepewnie panna Saunders — mam nadzieję, że kiedy pani skończy, będzie wyglądała lepiej. Na pewno nie będę już pani potrzebna?

— Nie. Dziękuję — powiedziała Henrietta. (Dzięki Bogu, że nie musimy się więcej spotykać — pomyślała.) — Była pani wspaniała. Jestem pani bardzo wdzięczna.

Szybko pozbyła się Doris i wróciła do pracowni. Miała ochotę na mocną kawę. Była zmęczona; straszliwie zmęczona. Ale szczęśliwa i spokojna.

Na szczęście — pomyślała — znów będę normalnym człowiekiem.

Pomyślała o Johnie. Policzki zaczęły ją palić, serce zabiło radośnie. Wróciła jej chęć do życia.

Jutro — pomyślała — pojedę do The Hollow i zobaczę się z Johnem.

Przez chwilę siedziała wygodnie rozparta na kanapie i popijała gorący czarny napój. Trzeci raz napełniła filiżankę. Siły zaczęły jej wracać.

Przyjemnie jest — myślała — znów być człowiekiem, a nie jakimś potworem. Przyjemnie nie czuć niepokoju, niezadowolenia, przymusu. Przyjemnie móc przestać włączyć się po ulicach, szukając czegoś z irytacją i niepokojem, ponieważ właściwie nie wiadomo, czego się szuka. Teraz czeka ją tylko ciężka praca, ale komu to przeszkadza?

Odstawiła pustą filiżankę i podeszła do Nauzykai. Przyglądała się jej przez chwilę. Powoli zmarszczyła brwi. To nie... niezupełnie... Coś jest nie tak. Niewidzące oczy. Oczy piękniejsze niż wszystkie, które widzą... Niewidzące oczy chwytające za serce właśnie dlatego, że nie widzą... Czy udało się to pokazać, czy nie?

Tak, udało się, ale w tych oczach jest coś jeszcze. Coś niechcianego. Struktura jest właściwa, tak... ale skąd wzięło się w nich to coś podstępnego? Coś nasuwającego myśl, że dziewczyna ma prostacki, złośliwy umysł? Henrietta nie słuchała paplaniny, ale to, co wpadało jej w uszy, wyszło spod palców i zostało uwiecznione w glinie. Henrietta wiedziała, że nie uda się tego zatrzeć.

Odrzuciła się od rzeźby. Może to tylko gra wyobraźni? Tak, z pewnością wyobraziła to sobie. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Jakież człowiek jest wrażliwy — pomyślała z niezadowoleniem.

Marszcząc czoło, przeszła na drugi koniec pracowni i zatrzymała się przed postacią Czciela. To jest udane. Doskonały kawałek drewna gruszy z pięknymi słojami. Długo go trzymała, zanim nadała mu obecny kształt.

Spojrzała krytycznie na rzeźbę. Tak, jest dobra. Henrietta była tego pewna. Od dawna nie zrobiła nic równie dobrego. Przeznaczyła ją dla International Group. Tak, to powinno się znaleźć na wystawie.

Udało się pokazać pokorę, silne mięśnie karku, pochylone ramiona, lekko uniesioną twarz z zatartymi rysami, ponieważ prawdziwe oddawanie komuś czci pozbawia człowieka osobowości. Tak — uległość, podziw i bezgraniczne oddanie, będące w rzeczywistości bałwochwalstwem.

Henrietta westchnęła. Szkoda tylko — pomyślała — że John się tak rozzłościł.

Zaskoczył ją ten gniew. Uświadomił jej coś, czego pewnie nie wie nawet sam John.

— Nie wolno ci tego wystawić — powiedział zdecydowanie.

— Wystawię to — odparła, równie jak on zdecydowana.

Wolnym krokiem wróciła do Nauzykai. Nie ma tu nic — przekonywała samą siebie — czego nie można naprawić. Zwilżyła glinę i owinęła rzeźbę wilgotnymi szmatami. Nauzykaa będzie musiała poczekać do poniedziałku lub wtorku. Teraz nie trzeba się spieszyć. Nagłący przymus zniknął. Najważniejsze płaszczyzny są ukształtowane. Teraz trzeba cierpliwie wykończyć całość.

Czekają ją trzy szczęśliwe dni z Lucy, Henrym, Midge i... Johnem!

Ziewnęła, przeciągnęła się jak kotka, z rozkoszą i zapamiętaniem, rozciągając wszystkie mięśnie. Nagle poczuła ogromne zmęczenie.

Wzięła gorącą kąpiel i położyła się. Leżąc w łóżku spojrzała za okno i zobaczyła pierwsze gwiazdy. Po chwili przesunęła spojrzenie na światło, które paliło się przez całą noc; była to niewielka żarówka, podświetlająca szklaną maskę, jej pierwsze dzieło. Niezbyt odkrywcze — pomyślała. — Konwencjonalne.

Całe szczęście — myślała Henrietta — że człowiek dojrzeje...

A teraz: spać! Mocna kawa nie działała na nią pobudzająco, jeśli Henrietta tego nie chciała. Dawno temu nauczyła się osiągać stan zubożenia na wszystko.

Trzeba wybierać myśli z miejsca, gdzie się je przechowuje, i nie przytrzymując żadnej z nich na siłę, pozwolić im przesypywać się między palcami, nie koncentrować się na żadnej. Muszą się przesuwac...

Na ulicy ktoś uruchomił samochód, gdzieś daleko słychać było krzyki i śmiech. W stanie błogiej półświadomości Henrietta słyszała to wszystko.

Samochód — pomyślała — ryczy jak tygrys... żółto-czarny — pasiasty jak niektóre liście... liście i cienie... gorąca dżungla... w dół rzeki... szerokiej, tropikalnej rzeki... do morza i okręt odpływa... słychać gorączkowe pożegnania; u Jej boku stoi John... ona i John; odpływają... błękitne morze... przechodzą do jadalni, posyła mu uśmiech z drugiej strony stołu... sala przypomina Maison Doree; biedny John się złości... chłodne nocne powietrze i samochód; zmienia biegi. Auto jest sprawne; wyjeżdżają z Londynu... jadą Shovel Down... drzewa... drzewa oddają cześć... The Hollow... Lucy... John... John... choroba Ridgeway... kochany John...

Powoli Henrietta traciła świadomość, odpływając w szczęśliwy niebyt. Nagle poczuła niezadowolenie; nie dające się uciszyć poczucie winy. Musi coś zrobić. Coś, czego wołałaby uniknąć. Nauzykaa?

Powoli, niechętnie, Henrietta wstała z łóżka. Zapaliła światło, podeszła do stojaka i zdjęła mokre szmaty. Głośno wciągnęła powietrze. To nie jest Nauzykaa, tylko Doris Saunders!

Henrietta poczuła nagły skurcz serca. Naprawię to, naprawię... — zaklinała samą siebie.

— Nie bądź głupia — powiedziała głośno. — Dobrze wiesz, co powinnaś zrobić.

Jeśli nie zrobi tego teraz, jutro zabraknie jej odwagi. Czowała się tak, jakby miała zabić własne dziecko. To boli.

Pewnie tak czuje się kotka — pomyślała — kiedy urodzi chorego kociaka i musi go zadusić.

Zaczerpnęła powietrza, chwyciła glinę, uniosła do góry i cisnęła ciężką masę do kosza. Stała chwilę, ciężko dysząc i przyglądała się brudnym dłoniom. Nadal czuła ból. Powoli wytarła ręce.

Wróciła do łóżka. Czowała dziwną pustkę, ale była nieco spokojniejsza.

Nauzykaa — pomyślała ze smutkiem — odeszła na zawsze. Urodziła się, została zepsuta i umarła.

To dziwne — myślała dalej — że wszystko, co słyszymy, ma na nas wpływ, nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi.

Nie słuchała... Nie zwracała uwagi... Mimo to bezwartościowa, złośliwa paplanina Doris sączyła się do jej umysłu i kierowała pracą palców. To, co było Nauzykaa... Doris... jest teraz tylko kupą gliny; surowcem, z którego wkrótce powstanie coś innego.

Może taka właśnie jest natura śmierci — zastanawiała się sennie Henrietta. — To, co nazywamy osobowością, jest przez kogoś ukształtowane; stanowi odzwierciedlenie czyjejś myśli. Czyjej? Boga? Chyba o to chodzi w „Peer Gyntie”. „Gdzie jestem sobą, całością, prawdziwym człowiekiem? Gdzie jestem, z bożym znakiem na czole?”

Czy tak się czuje John? Wczoraj był zmęczony i zniechęcony. Choroba Ridgewaya... W żadnej książce nie napisali, kim był Ridgeway! Śmieszne — pomyślała — ale chciałabym wiedzieć... Choroba Ridgewaya.

### III

John Christow siedział w swoim gabinecie. Miał przed sobą przedostatnią pacjentkę. Współczującymi oczyma wpatrywał się zachęcająco w kobietę, która opisywała, wyjaśniała, zagłębiała się w szczegóły... Co jakiś czas ze zrozumieniem kiwał głową, zadawał pytania, doradzał. Chora rozpromieniła się. Doktor Christow jest wspaniały! Zawsze zainteresowany, zatroskany. Sama rozmowa z nim przywraca człowiekowi siły.

John Christow przysunął sobie jakąś kartkę i zaczął pisać. Trzeba będzie dać jej środek przeczyszczający. Ten nowy, amerykański, ładnie opakowany w celofan; tabletki mają ciekawy i niezwykły łososiowy kolor. Lek jest bardzo drogi i trudno go dostać; nie każda apteka ma go na składzie. Pewnie trzeba będzie pojechać aż na Wardour Street. To jej dobrze zrobi. Postawi ją na nogi. Miesiąc czy dwa będzie spokój. Potem trzeba będzie wymyślić coś nowego. Doktor nic nie mógł dla niej zrobić. Słaba fizycznie. Nie ma na to ratunku. Nie to, co stara Crabtree...

Nudne przedpołudnie. Opłaczalne z finansowego punktu widzenia, ale nic więcej. Boże! Czuje się strasznie zmęczony! Ma dość chorowitych kobiet i ich niedomagań. Uśmierzenie cierpienia, przynoszenie ulgi — tylko tyle. Czasem zastanawia się, czy warto to robić. Wtedy przypomina sobie szpital pod wezwaniem świętego Krzysztofa, długi rząd łóżek na oddziale Margaret Russel i panią Crabtree, uśmiechającą się do niego bezzębnymi ustami.

Rozumieli się doskonale. Ona chciała walczyć; w przeciwieństwie do bezsilnej, leniwej sąsiadki z łóżka obok. Stała po jego stronie, chciała żyć. Chociaż tylko Bóg jeden wie, dlaczego tak jej na tym zależało. Mieszkała w ubogiej dzielnicy, miała męża pijaka i gromadkę niesfornych dzieci. Zaharowywała się, szorując podłogi w niezliczonych biurach. Ciężka, nie kończąca się praca i bardzo rzadko jakieś drobne przyjemności. Jednak chciała żyć! Cieszyła się życiem tak samo jak on, John Christow! Przyjemność sprawiało jej samo życie, nie jego warunki. Czerpała radość z samego faktu istnienia. Ciekawa rzecz; nie da się tego wyjaśnić. Pomyślał, że będzie musiał porozmawiać o tym z Henriettą.

Wstał, żeby odprowadzić pacjentkę do drzwi. Ciepło, przyjaźnie, zachęcająco uściśnął jej dłoń. W jego głosie słychać było zachętę, zainteresowanie i sympatię. Kobieta wyszła z gabinetu podniesiona na duchu, prawie szczęśliwa. Doktor Christow zawsze okazywał jej wiele zainteresowania.

Nie zdążyła dobrze zamknąć za sobą drzwi, a John Christow już o niej zapomniał. Nawet kiedy była w gabinecie, prawie nie zwracał na nią uwagi. Robił jednak to, co do niego należało. Działał jak automat. Mimo że rozmowie z pacjentką poświęcił bardzo niewiele uwagi, kosztowała go ona wiele wysiłku. Ilekroć doktor wyczuwał w drugim człowieku słabnącą wolę życia, udzielał mu swojej energii. Był uzdrowicielem z powołania.

Boże! — pomyślał. — Jestem strasznie zmęczony.

Musi przyjąć jeszcze jedną pacjentkę. Potem czekają go dwa dni wolne od pracy. Myślał o nich z przyjemnością. Złote liście z plamkami czerwieni lub brązu; delikatny, wilgotny zapach jesieni; droga przez las, wyglądający tak, jakby stał w ogniu; Lucy, niepowtarzalna i urocza osoba o umyśle wiecznie błądzącym po jakichś bezdrożach. Henry i Lucy są najlepszymi gospodarzami pod słońcem, a The Hollow najbardziej gościnnym domem w całej Anglii. W niedzielę pójdzie z Henriettą do lasu. Wejdą na szczyt wzniesienia i będą spacerowali wśród drzew. W towarzystwie Henrietty zapomni, że na świecie są chorzy ludzie. Na szczęście — pomyślał — Henriettą zawsze jest zdrowa.

Nawet gdyby zachorowała — pomyślał, odzyskując nagle dobry humor — nic by mi o tym nie powiedziała.

Jeszcze jedna pacjentka czeka za drzwiami. Powinien nacisnąć dzwonek, ale — nie wiedzieć dlaczego — odsuwał ten moment, mimo że był już spóźniony. Obiad pewnie podano. Gerda i dzieci czekają. Trzeba się pospieszyć.

Mimo to nadal siedział bez ruchu. Był zmęczony; bardzo zmęczony. To dziwne uczucie narastało już od dłuższego czasu. Było źródłem nieustannej irytacji, z czego zdawał sobie sprawę, chociaż nie potrafił temu zaradzić. Biedna Gerda — pomyślał — musi wiele znosić. Gdyby nie była tak uległa, gotowa wziąć na siebie wszelką winę, mimo że zwykle to on był winowajcą! Czasem irytowało go wszystko, co Gerda mówiła i robiła; najbardziej — pomyślał ze smutkiem — denerwujące są jej zalety. Jej cierpliwość, altruizm i uleganie jego zachciankom działały mu na nerwy. Gerda nigdy nie miała żalu o gwałtowne wybuchy gniewu, nigdy nie przedkładała swoich upodobań nad jego, nie próbowała nic zrobić po swoimu.

(Przecież właśnie dlatego ożeniłem się z nią — myślał John. — Na co się teraz skarżę? Po tamtych wakacjach na San Miguel...)

Ciekawe, że to, co irytowało go w Gerdzie, chciałby znaleźć w Henriecie. W Henriecie irytowało go... Nie, to niewłaściwe słowo; budziło w nim gniew, nie irytację... Gniewała go jej nieodmienna prostolinijność w kontaktach z nim, stojąca w sprzeczności z jej postawą wobec reszty świata. Kiedyś powiedział:

- Zdaje mi się, że nigdy nie znałem większej kłamczuchy od ciebie.
- Może masz rację.
- Jesteś gotowa mówić ludziom wszystko, co chcieliby usłyszeć.
- Mam wrażenie, że to ważne.
- Ważniejsze od prawdy?
- Znacznie ważniejsze.
- W takim razie, dlaczego mnie nie okłamiesz od czasu do czasu?
- Chciałbyś, żebym to robiła? — Tak.
- Przykro mi, John, ale nie mogę.
- Założę się, że wiesz, co chciałbym od ciebie czasem usłyszeć.

Nie wolno mu teraz myśleć o Henriecie. Zobaczy się z nią po południu. Teraz musi zrobić to, co do niego należy. Trzeba nacisnąć dzwonek i przyjąć ostatnią pacjentkę. Jeszcze jedna chorowita kobieta! Dziesięć procent rzeczywistej choroby i dziewięćdziesiąt procent hipochondrii. Cóż, skoro jest gotowa słono zapłacić za swoją chorobę, niech się nią cieszy. Będzie jakąś przeciwwagą dla pani Crabtree i jej podobnych.

Nadal siedział bez ruchu.

Był zmęczony; bardzo zmęczony. Miał wrażenie, że zmęczenie towarzyszy mu od dawna. Jest coś, czego pragnie całym sercem... Nagle w jego głowie pojawiła się myśl: „Chcę do domu”.

Zdziwiło go to. Skąd wzięły się te słowa? Co znaczą? Dom? Nigdy nie miał domu. Jego rodzice byli Anglikami, ale urodzili się w Indiach. Johna Christowa wychowali krewni. Przekazywali go sobie z rąk do rąk jak sprzęt. Każde święta spędzał w innym domu. Pierwszym domem, który mógł nazwać własnym, był obecny, na Harley Street.

Czy gdy myślał o domu, chodziło mu o ten budynek? Pokręcił głową. Wiedział, że nie. Obudziła się w nim ciekawość lekarza. Co mogło znaczyć zdanie, które niespodziewanie pojawiło się w jego umyśle? „Chcę do domu”. Musi być coś... jakiś obraz...

Przymknął oczy. Z pewnością coś się za tym musi kryć. Przed oczyma jego wyobraźni stanęło błękitne Morze Śródziemne, palmy, kaktusy i ananasy; poczuł zapach rozgrzanego piasku i chłód wody na rozpalonej skórce. San Miguel!

Był zaskoczony i lekko zaniepokojony. Od lat nie myślał o San Miguel. Nie chciał tam wracać. Ten etap życia należał do przeszłości.

To było dwanaście... czternaście... piętnaście lat temu. Postąpił słusznie! Miał absolutną rację! Był w Veronice śmiertelnie zakochany, ale nie mieli szans na szczęśliwą, wspólną przyszłość. Veronica pochłonełaby go. Była skończoną egoistką i nawet się z tym nie kryła. Dostała w życiu prawie wszystko, czego pragnęła, ale nie jego! Uciekł od niej. Można powiedzieć, że źle się z nią obszedł. Mówiąc wprost, porzucił ją. John chciał żyć po swojemu, a Veronica nigdy by mu na to nie pozwoliła. Ona chciała używać życia mając Johna u boku jako miły dodatek.

Była zdumiona, że nie zgodził się na wyjazd do Hollywood.

— Jeśli koniecznie chcesz być lekarzem, możesz tam zrobić specjalizację. Uważam jednak, że to zbędne. Masz dość na zaspokojenie swoich podstawowych potrzeb; do tego ja będę zarabiała furę pieniędzy — powiedziała niezadowolona.

— Lubię swój zawód. Będę współpracował z Radleyem — odparł wzburzony, z entuzjazmem typowym dla młodego zapaleńca. Nazwisko Radleya wymówił z głębokim podziwem.

— Z tym starszym, wiecznie zażywającym tabakę? — prychnęła Veronica.

— Ten zażywający tabakę starszek — odparł ze złością John — prowadził nadzwyczaj ważne badania nad chorobą Pratta...

— Kogo obchodzi choroba Pratta? — przerwała mu Veronica. — Kalifornia ma wspaniały klimat. Zwiedzanie świata jest bardzo przyjemne. Nie chciałabym jechać bez ciebie. Pragnę cię, John... Jesteś mi potrzebny.

Wówczas przedstawił Veronice propozycję, którą ona uznała za zdumiewającą: żeby zrezygnowała z wyjazdu do Hollywood, wyszła za niego za żonę i osiadła w Londynie.

Rozśmieszyło ją to. Bez wahania odparła, że pojedzie do Hollywood, że kocha Johna i że John musi z nią pojechać jako jej żona. Była pewna swojej urody i władzy nad nim.

Zrozumiał, że może zrobić tylko jedno, i zrobił to. Napisał w liście, że zrywa zaręczyny.

Bardzo cierpiał, był jednak pewien, że postąpił mądrze. Wrócił do Londynu i podjął pracę u boku Radleya. Rok później poślubił Gerde, pod każdym względem różną do Veroniki.

Drzwi otworzyły się i weszła Beryl Collins, sekretarka Johna.

— Pani Forrester czeka.

— Wiem — oparł krótko.

— Sądziłam, że może pan zapomniał.

Przeszła przez pokój do drugich drzwi. Christow milcząc śledził ją wzrokiem. Całkiem przeciętna dziewczyna, ale bardzo staranna pracownica. Zatrudniał ją już szósty rok. Nigdy nie popełniła błędu, niczym się nie ekscytowała, nie martwiła i nigdy się nie spieszyła. Miała czarne włosy, ziemistą cerę i zdecydowaną brodę. Zza grubych szkielek jej oczy przyglądały się pracodawcy i reszcie świata z obojętną uwagą.

Chciał takiej sekretarki: całkiem zwyczajnej i rzeczowej. Chociaż to nielogiczne, jednak czasem żałował swojego wyboru. W powieści Beryl byłaby oddana swojemu doktorowi sercem i duszą. Christow wiedział jednak, że lody między nimi nigdy nie zostaną przełamane. Dziewczyna nie była skłonna do poświęcenia czy oddania. Widziała w Christowie ułomnego człowieka. Jego osobowość nie robiła na niej żadnego wrażenia; pozostawała głucha na jego wdzięki. Czasem John miał nawet wątpliwości, czy Beryl go lubi.

Kiedyś słyszał, jak mówiła o nim przez telefon do swojej koleżanki:

— Nie, nie zauważyłam, żeby nagle zrobił się bardziej samolubny niż zwykle. Jest tylko bardziej niewrażliwy i niedelikatny.

Wiedział, że mówiła o nim. Przez cały dzień nie dawało mu to spokoju.

Denerwował go niezmienny entuzjazm Gerdy, ale i rzeczowa opinia Beryl wytrąciła go z równowagi. Mam wrażenie — pomyślał — że ostatnio wszystko mnie denerwuje.

Coś jest nie w porządku. Przemęczenie? Być może. Nie! To tylko wymówka. Stale rosnące zniecierpliwienie, zmęczenie i nerwowość muszą mieć głębszą przyczynę. Dłużej nie wytrzymam — pomyślał. — Coś musi się zmienić. Co się ze mną dzieje? Chciałbym uciec...

Ledwo pomyślał o ucieczce, znów pojawiła się ta sama, niezrozumiała tęsknota.

Chcę do domu...

Do diabła, jego dom jest tutaj, na Harley Street 404! W poczekalni siedzi pani Forester. Męcząca kobieta. Ma dużo pieniędzy i dużo wolnego czasu, dzięki czemu może poświęcać swoim chorobom zbyt wiele uwagi.

Ktoś kiedyś powiedział: „Ci zamożni pacjenci, wyszukujący u siebie najróżniejsze choroby, muszą być bardzo męczący. Pewnie przyjemniej jest zajmować się biedakami, którzy idą do lekarza tylko wówczas, gdy rzeczywiście coś im dolega”. Uśmiechnął się pod nosem. To śmieszne, jak niektórzy idealizują Biedaków przez wielkie B. Chętnie pokazałby im starą panią Pearstock, leczącą się w pięciu szpitalach jednocześnie, co tydzień wynoszącą od lekarzy po kilka butelek lekarstw: płyn na kręgosłup, syrop na kaszel, środki przeczyszczające, lekarstwa na poprawienie trawienia. „Czternaście lat brałam to brązowe lekarstwo, doktorze, i pomagało mi. Ale w zeszłym tygodniu ten młody doktor przepisał mi białe lekarstwo. Jest do niczego! Mam rację, prawda, doktorze? Mówiłam, że biorę to brązowe lekarstwo od czternastu lat i muszę mieć parafinę w płynie i te brązowe tabletki...”

Miał wrażenie, że słyszy jękliwy głos staruszki. Jest w doskonałej formie, zdrowa jak rydz, nawet lekarstwa przyjmowane latami w niczym jej nie zaszkodziły.

Pani Pearstock z Tottenham i pani Forrester z Park Lane Court niczym się od siebie nie różnią. Wystarczy słuchać, pisząc coś na droгим papierze albo na szpitalnej karcie (w przypadku pani Pearstock)...

Boże! Jakie to wszystko męczące...

Błękitne morze, delikatny zapach mimozy, gorący piasek...

Piętnaście lat temu. To już skończona sprawa. Tak; dzięki Bogu, skończył z tym. Miał dość odwagi, żeby zerwać.

Odwagi? — spytał złośliwie jakiś wewnętrzny głos. — Nazywasz to odwagą?

Zrobił to, co było konieczne. Nie było mu łatwo. Do diabła, cierpiał jak potępieniec. Ale zrobił to, uwolnił się, wrócił do domu i poślubił Gerdę.

Ma całkiem zwyczajną sekretarkę i ożenił się ze zwyczajną kobietą. Przecież tego właśnie chciał. Miał dość piękności. Widział, co osoba taka jak Veronica potrafi zrobić ze swoją urodą; widział, jaki miała wpływ na każdego mężczyznę, z którym się zetknęła. Po Veronice pragnął czegoś bezpiecznego. Szukał bezpieczeństwa, spokoju, oddania — wartości trwałych. Szukał Gerdy! Chciał kobiety, która będzie patrzyła na świat jego oczami, z pokorą przyjmie jego decyzje i nigdy nie będzie myślała samodzielnie...

Kto powiedział, że największą tragedią w życiu jest dostać to, czego się chciało?

Ze złością nacisnął dzwonek. Trzeba się zająć panią Forrester.

Zajął mu to piętnaście minut. Kolejne pieniądze zarobione bez wysiłku. Znów słuchał, zadawał pytania, podnosił na duchu, współczuł i udzielał swojej siły. Znów wypisał receptę na drogie lekarstwo.

Kobieta, która wchodząc do gabinetu sprawiała wrażenie chorowitej i nerwowej, wyszła pewniejszym krokiem, z zaróżowionymi policzkami i uczuciem, że życie może jednak jest coś warte.

John Christow rozsiadł się wygodnie w fotelu. Teraz jest wolny. Może pójść na górę, do Gerdy i dzieci. Przez dwa dni nie będzie musiał myśleć o chorobach i cierpieniach.

Mimo to nie chciało mu się ruszyć. Znów ogarnęło go to dziwne zmęczenie.

## IV

W jadalni, w mieszkaniu położonym nad gabinetem, siedziała Gerda Christow, wpatrzona w jagnięcy udziec. Czy powinna odesłać pieczeń do kuchni, żeby nie wystygła, czy też raczej nie?

Jeśli John zabawi w gabinecie dłużej, mięso wystygnie, a z sosu zrobi się galareta. To będzie okropne.

Jednak ostatni pacjent już wyszedł i John powinien zaraz przyjść. Jeśli odeśle mięso, trzeba będzie chwilę poczekać, zanim je znów przyniosą, a John jest ostatnio taki niecierpliwy. „Powinnas wiedzieć, że zaraz przyjdę...” W jego głosie pojawi się nuta ukrywanego znużenia, którą Gerda tak dobrze zna i której tak bardzo się obawia. Mięso, zbyt długo trzymane w piekarniku, wyschnie, a John nie znosi twardego mięsa.

Z drugiej jednak strony nie lubi też zimnego jedzenia.

Teraz mięso jest gorące i apetyczne. Jej myśli biegały tam i z powrotem. Była coraz bardziej nieszczęśliwa i zaniepokojona. Cały świat skurczył się do rozmiarów jednego jagnięcego udzca, stygnącego na półmisku.

Siedzący po drugiej stronie stołu dwunastoletni Terence powiedział:

— Sole boru palą się zielonym płomieniem, a sole sodu — żółtym.

Gerda spojrzała nad stołem niewidzącym wzrokiem na kwadratową, piegowatą twarzyczkę. Nie miała pojęcia, o czym mówi syn.

— Wiedziałaś o tym, mammo?

— O czym, kochanie?

— O solach.

Gerda spojrzała na stół. Tak, sól i pieprz stoją na swoim miejscu. Całe szczęście. W zeszłym tygodniu Lewis zapomniała o soli i to bardzo zirytowało Johna. Zawsze było coś...

— To jeden z testów chemicznych — powiedział Terence rozmarzonym głosem. — To bardzo interesujące.

Dziesięcioletnia Zena o ślicznej, bezmyślnej twarzyczce, jęknęła:

— Chce mi się jeść. Nie możemy zacząć?

— Za minutkę, kochanie. Musimy poczekać na tatę.

— Moglibyśmy już zacząć — powiedział Terence. — Tacie to nie będzie przeszkadzało. Wiesz, że on je bardzo szybko.

Gerda pokręciła głową. Pokroić pieczeń? Nigdy nie pamiętała, od której strony należy wbić nóż. Prawdopodobnie Lewis położyła go tam, gdzie należałoby zacząć, ale czasem się zapominała, a Johna złościło, kiedy mięso było ukrojone z niewłaściwej strony. Ilekroć — myślała z rozpaczą Gerda — robię to sama, zawsze zaczynam od złej strony. Ach, sos już całkiem wystygł. Na wierzchu zrobiła się błonka, a John zaraz pewnie przyjdzie.

Jej umysł pracował gorączkowo, myśli biegały w kółko jak zwierzęta w potrzasku.

Tymczasem John Christow siedział w fotelu w gabinecie, dłonią uderzał w stół i myślał o tym, że obiad pewnie już na niego czeka. Mimo to nie miał siły się podnieść.

San Miguel... błękitne morze... zapach mimozy... gorące słońce... piasek... rozpaczliwa miłość i cierpienie...

Boże, tylko nie to! — myślał. — Nigdy więcej! Skończyłem z tym...

Nagle pożałował, że w ogóle znał Veronicę, że poślubił Gerdę, spotkał Henriette...

Pani Crabtree — pomyślał — jest warta więcej niż one wszystkie. To popołudnie w zeszłym tygodniu było wyjątkowo ciężkie. Był zadowolony z jej reakcji. Wytrzymała już 0,005, gdy nagle objawy intoksykacji niepokojąco wzrosły, a reakcja DL była negatywna, chociaż powinna być pozytywna. Staruszka, fioletowa na twarzy, oddychała z trudem i przyglądała mu się złośliwie.



— Zrobiłeś ze mnie morską świnkę, co, kochaniutki? Eksperymentujesz i tak dalej.

— Postawimy panią na nogi — odparł, uśmiechając się do niej.

— Macie swoje sposoby, co? — odpowiedziała uśmiechem. — Mnie to nie przeszkadza. Niech wam to wyjdzie na zdrowie. Niech doktor robi swoje. Komuś wreszcie się uda, co? Kiedy zrobiłam sobie pierwszą trwałą, byłam jeszcze dzieckiem. To było łatwe. Wyglądałam jak Murzynka. Grzebienia się nie dało włożyć we włosy. Ale zabawę miałam przednią. Może się doktor mną bawić. Ja to wytrzymam.

— Źle się czujemy, co? — Zbadał jej puls. Przekazał ciężko dyszącej staruszce trochę swojej życiowej siły.

— Ma doktor rację. Czuję się okropnie. Coś nie tak wyszło, prawda, doktorze? Niech się doktor nie martwi i nie traci nadziei. Ja jeszcze niejedno wytrzymam!

— Dzielną z pani kobieta. Chciałbym, żeby wszyscy pacjenci byli tacy jak pani — powiedział z podziwem John Christow.

— Ja po prostu chcę wyzdrowieć. Mamusia przeżyła osiemdziesiąt osiem lat, a babcia miała dziewięćdziesiąt, kiedy wykitowała. Pochodzę z długowiecznej rodziny.

Odchodząc od jej łóżka, czuł się nieszczęśliwy. Miotają nim wątpliwości i niepewność. Taki był pewien, że wpadł na właściwy trop. Gdzie popełnił błąd? Jak zmniejszyć objawy intoksykacji i utrzymać właściwy poziom hormonów, jednocześnie neutralizując pankreatynę...

Był zbyt pewny siebie. Sądził, że udało mu się pokonać wszystkie trudności.

Tego dnia na schodach szpitala pod wezwaniem świętego Krzysztofa ogarnęło go nagle wielkie zmęczenie. Poczł nienawiść do długiej, powolnej, męczącej pracy w klinice i pomyślał o Henriecie, ale nie jak o osobie, lecz o jej urodzie, świeżości, zdrowiu, promiennej żywotności i o delikatnym zapachu pierwiosnków w jej włosach.

Prosto ze szpitala pojechał do Henrietty. Zadzwoił do domu, że wróci później, ponieważ otrzymał pilne wezwanie. Wszedł do pracowni, wziął Henriettę w ramiona i przytulił tak mocno, jak jeszcze nigdy.

W jej oczach dostrzegł zdumienie. Uwolniła się z jego ramion i zaparzyła mu kawę. Krzątając się po pracowni, zarzuciła go pytaniami. Chciała wiedzieć, czy przyjechał prosto ze szpitala.

Nie chciał rozmawiać o pracy. Chciał kochać się z Henriettą i zapomnieć o szpitalu, o pani Crabtree, chorobie Ridgewaya i o wszystkich swoich troskach. Odpowiadał jednak na jej pytania; najpierw niechętnie, z czasem jednak coraz obszerniej. Po chwili zaczął spacerować od ściany do ściany, wyjaśniając wszystkie szczegóły. Tylko raz czy dwa przerwał, żeby jej coś wyjaśnić.

— Widzisz, trzeba wywołać reakcję...

— Tak, wiem; reakcja DL musi być pozytywna — powiedziała szybko Henrietta. — Rozumiem. Mów dalej.

— Skąd wiesz o reakcji DL? — spytał zdenerwowany.

— Kupiłam książkę...

— Jaką książkę? Czyją?

Pokazała ręką na niewielki stolik. John prychnął lekceważąco.

— Scobell? Do niczego. Od samego początku błędnie podszedł do zagadnienia. Słuchaj, skoro już chcesz czytać, nie...

— Chciałam tylko rozumieć terminy, których używasz — przerwała mu. — Żebyś nie musiał sobie co chwila przerywać, żeby mi wszystko wyjaśnić. Mów dalej. Rozumiem.

— Dobrze — powiedział bez przekonania. — Ale pamiętaj, że Scobell nie ma racji.

Wrócił do zasadniczego tematu i mówił przez dwie i pół godziny. Wspominał kolejne nawroty, rozważał rozmaite możliwości, budował jakieś teorie. Nie zwracał uwagi na Henriettę. Ilekroć jednak się zawahał, jej błyskotliwa inteligencja pomagała mu w zrobieniu

następnego kroku, jakby z góry wiedziała, gdzie pojawią się wątpliwości. Zainteresowanie tematem odżyło i John znów poczuł się silny. Miał rację; jego teoria w zasadzie jest poprawna; symptomy zatrucia można pokonać na wiele sposobów.

Nagle poczuł śmiertelne zmęczenie. Wszystko było już jasne. Zabierze się do tego jutro z samego rana. Zadzwoi do Neilla, każe mu połączyć oba sposoby i sprawdzić, jak to zadziała. Tak, trzeba tego spróbować. Nie, John się nie podda!

— Jestem zmęczony — powiedział nieoczekiwanie. — Boże, jestem strasznie zmęczony.

Runął na łóżko i natychmiast zasnął. Kiedy się obudził, zobaczył nad sobą uśmiechniętą Henriettę. Przez okno wpadały pierwsze promienie słońca. Henrietta zaparzyła herbatę. John odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

— Nie wyszło to tak, jak planowaliśmy — powiedział.

— Czy to ważne?

— Nie. Jesteś bardzo miła, Henrietto. — Jego wzrok powędrował ku półce z książkami. — Skoro interesujesz się tymi sprawami, dostarczę ci lepszej lektury.

— Nie interesuję się tymi sprawami. Interesuję się tobą, John.

— Nie możesz czytać Scobella. — Wziął do ręki jego książkę. — Ten człowiek jest szarlatanem.

Henrietta zaśmiała się. John nie mógł zrozumieć, dlaczego krytyka Scobella wydała się jej zabawna. Od czasu do czasu uświadamiał sobie, że Henrietta potrafi się z niego śmiać, ale tego nie rozumiał; niepokoiło go to. Nie był do tego przyzwyczajony. Gerda traktowała go śmiertelnie poważnie. Veronica nigdy nie myślała o nikim innym oprócz siebie. Tylko Henrietta odrzucała czasem głowę w tył i spoglądała na niego spod półprzymkniętych powiek z czułym, nieco szyderczym uśmieszkiem, jakby chciała powiedzieć: „Przyjrzyjmy się temu śmiesznemu człowieczkowi imieniem John... Stańmy sobie z boczku i popatrzmy...”

Tak samo — myślał — mruży oczy przyglądając się swojemu dziełu albo jakiemuś obrazowi. Patrzyła na niego (niech to diabli) obiektywnie. Nie chciał, żeby Henrietta była obiektywna. Chciał, żeby myślała tylko o nim i nie traciła energii na zajmowanie się innymi sprawami.

(Przecież właśnie to denerwuje cię w Gerdzie — powiedział nagle jakiś wewnętrzny głos.)

Prawdę mówiąc, John jest niekonsekwentny. Sam nie wie, czego chce.

Chcę do domu. Co za absurdalne, dziwaczne zdanie. To nic nie znaczy.

Tak czy inaczej, za godzinę wyjedzie z Londynu, zapomni o chorych i o ich przykrym zapachu... Będzie wdychał woń płonącego drewna, sosen i jesiennych liści... Kołysanie samochodu ukoji stargane nerwy. John lubił szybką jazdę.

Niestety — przypomniało mu się nagle — nie będzie aż tak przyjemnie, bo nadwzględł sobie nadgarstek i Gerda będzie musiała prowadzić samochód, a Gerda — niech ją Bóg ma w swojej opiece — nie jest dobrym kierowcą. Ilekroć będzie zmieniała biegi, John mocno zaciśnie zęby, ale nic nie powie, ponieważ doświadczenie nauczyło go, że każde jego słowo sprawia, iż Gerda robi jeszcze gorsze błędy. Dziwne, że nikomu nie udało się nauczyć Gerdy zmieniania biegów; nawet Henriecie. John powierzył żonę Henriecie sądząc, że entuzjazm rzeźbiarki może okazać się skuteczniejszy od jego nerwowości.

Henrietta uwielbiała samochody. Mówiła o nich z taką miłością, jak niektórzy o wiosnie albo o pierwszym śniegu.

— Jest śliczny, prawda? Mruczy spokojnie jak kot. Bez wysiłku podjeżdża pod Bale Hill na trójce. Posłuchaj, jak równo pracuje.

— Nie sądzisz — przerywał jej zdenerwowany — że wypadaloby poświęcić nieco uwagi mnie? Mogłabyś na chwilę zapomnieć o tym cholernym samochodzie!

Wstydział się tych nagłych wybuchów gniewu. Zaskakiwały go nie bardziej niż innych; wpadał w złość nieoczekiwanie dla siebie samego.

Podobnie było z jej pracą. Wiedział, że robi dobre rzeczy. Podziwiał je i nienawidził jednocześnie. Z tego powodu poważnie się kiedyś pokłócili.

Pewnego dnia Gerda powiedziała:

— Henrietta prosiła, żebym jej pozowała.

— Co? — Jego zdziwienie pewnie sprawiło żonie przykrość. — Ciebie?

— Tak. Jutro odwiedzę jej pracownię.

— Do czego możesz się jej przydać?

Tak, nie był miły dla Gerdy. Na szczęście, żona nie zdawała sobie z tego sprawy. John podejrzewał, że Henrietta robi to ze zwykłej uprzejmości. Możliwe, że Gerda wspomniała przy niej, iż chciałaby kiedyś pozować. Henrietta lubiła zaspokajać oczekiwania bliskich sobie ludzi.

Dziesięć dni później Gerda z dumą pokazała mu niewielką rzeźbę w gipsie. Ładna, jak wszystkie prace Henrietty. Podobizna Gerdy była mocno wyidealizowana, ale jej się to podobało.

— Moim zdaniem jest bardzo ładna.

— 1 to zrobiła Henrietta? To nic nie znaczy. Nie rozumiem, dlaczego to wyrzeźbiła.

— Nie przypomina to jej abstrakcyjnych prac, ale moim zdaniem jest udane.

John nic nie odpowiedział. Nie chciał psuć Gerdzie przyjemności, ale przy pierwszej okazji spytał Henriettę:

— Po co zrobiłaś Gerdzie tę rzeźbę? To niegodne ciebie. Nigdy nie traciłaś czasu na takie słodkie drobiazgi.

— Moim zdaniem — powiedziała Henrietta z namysłem — to wcale nie jest złe. Wydawało mi się, że Gerda jest zadowolona.

— Jest zachwycona. Nic dziwnego; Gerda nie potrafi odróżnić kolorowego zdjęcia od prawdziwego dzieła sztuki.

— Moja rzeźba nie jest zła. To zwyczajne popiersie, bezpretensjonalne i nieszkodliwe.

— Nigdy nie traciłaś czasu na takie rzeczy...

Nagle zamilkł, patrząc na drewnianą postać, wysoką na półtora metra.

— Co to jest?

— To dla International Group. Drewno gruszy. Czciiciel.

Przyglądała mu się z uwagą. John nie spuszczał z rzeźby wzroku. Mięśnie jego szyi pęczniały coraz bardziej. Odwrócił się do niej z wściekłością.

— A więc po to potrzebowałaś Gerdy? Jak śmiesz?

— Byłam ciekawa, czy zauważysz...

— Czy zauważę? Oczywiście, że zauważyłem. Nie trzeba do tego geniusza — dotknął palcem silnej, umięśnionej szyi.

Henrietta pokiwała głową.

— Tak, chciałam tej szyi i ramion, i tej pochylonej głowy... tej uległości. To cudowne!

— Cudowne? Nie pozwolę na to. Masz zostawić Gerdę w spokoju.

— Gerda nigdy się nie domyśli. Nikt się nie domyśli. Wiesz, że Gerda nie rozpoznałaby siebie; nikt by jej nie poznał. To nie jest Gerda. To jest... nikt.

— Ja ją poznałem.

— Ty to co innego. Ty widzisz różne rzeczy.

— I w tym sęk! Nie pozwolę na to! Nigdy! Chyba się nie spodziewałaś, że się na to zgodzę.

— Nie zgodzisz się?

— Wątpisz w to? Zwykle jesteś bardzo wrażliwa, ale tego się nie domyśliłaś?

— Nie rozumiesz mnie — powiedziała Henrietta z namysłem — i chyba nigdy nie zrozumiesz. Nie wiesz, jak to jest, kiedy się czegoś pragnie, szuka dzień po dniu: tej szyi,

mocnych mięśni, pochylenia głowy. Szukałam ich i pragnęłam za każdym razem, kiedy patrzyłam na Gerdę. Musiałam je wyrzeźbić.

— Jesteś bezwzględna!

— Pewnie masz rację. A przecież kiedy ty czegoś pragniesz, po prostu bierzesz to sobie.

— Z nikim się nie liczysz. Nie obchodzi cię Gerda...

— Nie bądź głupi, John! Zrobiłam tamto popiersie specjalnie, żeby jej sprawić przyjemność. Nie jestem potworem!

— Właśnie że jesteś!

— Chyba sam nie wierzysz, że Gerda poznałaby w tym siebie?

John obrzucił rzeźbę niechętnym spojrzeniem. Powoli się uspokajał. Dopiero teraz okazał zainteresowanie. Była to dziwna, uległa postać, oddająca cześć niewidzialnemu bóstwu. Twarz miała uniesioną, ślepą, pozbawioną myśli, pełną oddania, silną i fanatyczną.

— To straszne — powiedział. Henrietta lekko zadrżała.

— Tak — przyznała. — Jestem tego samego zdania.

— Na co ona patrzy? — spytał surowym głosem. — Kto to może być? Tam, przed nią?

— Nie wiem, ale myślę, że mogłaby patrzeć na ciebie, John.

## V

W jadalni mały Terence wygłosił właśnie kolejną uczoną opinię:

— Sole ołowiu lepiej się rozpuszczają w zimnej wodzie niż w ciepłej. Jeśli dodamy jodku potasu, otrzymamy żółty osad jodku ołowiu.

Spojrzał na matkę wyczekująco, ale bez większej nadziei. Zdaniem Terence'a rodzice są źródłem niustannych rozczarowań.

— Wiedziałaś, mamó...

— Nie znam się na chemii, kochanie.

— Mogłabyś przeczytać jakąś książkę — powiedział Terence.

Stwierdził prosty fakt, ale w jego głosie pobrzmiwał jakiś dziwny smutek.

Gerda tego nie zauważyła. Całkowicie pogrążyła się w nieszczęściu. Od rana była w ponurym nastroju. Ledwie otworzyła oczy, przypomniała sobie, że nadszedł dzień wizyty u Angkatellów. Odwiedziny w The Hollow zawsze były dla niej koszmarem. Czowała się tam zagubiona i samotna. Najbardziej bała się Lucy Angkatell, która nigdy nie kończyła rozpoczętego zdania, niustannie zmieniała temat rozmowy i ze wszystkich sił starała się być dla Gerdy miła. Inni nie byli wiele lepsi. Gerdę czekają dwa dni udreki; będzie musiała je znieść, ze względu na Johna.

John, przeciągając się po przebudzeniu, powiedział z wyraźną przyjemnością:

— Cudownie! Jeszcze dzisiaj będziemy na wsi. Ten wyjazd dobrze ci zrobi.

Gerda uśmiechnęła się i powiedziała z prawdziwym samozaparciem:

— Będzie cudownie.

Potem rozejrzała się po sypialni, nieszczęśliwa. Tapeta w kremowe paski z czarnym wzorem nad szafą, mahoniowa toaletka z odchylonym lustrem, radosny, niebieski dywan, akwarele przedstawiające zielone jeziora; aż do poniedziałku musi się pożegnać z tymi swojskimi, ukochanymi rzeczami.

Jutro w obcej sypialni obudzi ją szelest wykrochmalonego fartuszka pokojówki, która przyniesie na maleńkiej tacy poranną herbatę i postawi ją koło łóżka, potem odsłoni okno i zacznie układać ubrania Gerdy, którą zawsze wprawia to w zażenowanie. Będzie leżała nieszczęśliwa, zawstydzona, pocieszając się w myślach, że czeka ją już tylko jeden taki poranek. Całkiem jak w szkole, gdzie zawsze liczyła dni.

W szkole Gerda była nieszczęśliwa. Czowała się jeszcze bardziej zaniepokojona niż gdzie indziej. W domu było trochę lepiej, ale też niedobrze. Wszyscy byli szybsi i bystrzejsi od niej. Ich uwagi — szybkie, niecierpliwe, chociaż nie złośliwe — świszczały w jej uszach jak wicher: „pospiesz się, Gerda”; „daj mi to, ty masz dwie lewe ręce”; „tylko nie Gerda, jej zajmie to całe wieki”; „Gerda nigdy nic nie rozumie”.

Dlaczego nie potrafili zrozumieć, że przez te słowa staje się tym bardziej powolna i głupia? Z czasem robiła się gorsza i gorsza; jej palce poruszały się coraz bardziej niezgrabnie, myślała coraz wolniej i częściej patrzyła na innych bezmyślnym, nieobecny wzrokiem.

Do czasu, aż znalazła ucieczkę. Przypadkiem odkryła, jak się bronić. Specjalnie poruszała się jeszcze wolniej, patrzyła na innych z przesadną bezmyślnością. Kiedy mówili zniecierpliwieni: „Ależ ty jesteś głupia; nawet tego nie potrafisz zrozumieć”, mogła — patrząc na nich bezmyślnie — cieszyć się w duchu swoją tajemnicą... Bo nie była aż taka głupia, za jaką ją mieli! Często tylko udawała, że nie rozumie. Specjalnie ociągała się z robotą i uśmiechała się pod nosem, kiedy czyjeś zniecierpliwione ręce zabierały jej w końcu to, co robiła.

Zaczęła rozwijać w sobie przyjemne poczucie wyższości. Często w duchu śmiała się z nich. To zabawne wiedzieć więcej, niż się po niej spodziewają; umieć coś zrobić, ale przed nikim się z tym nie zdradzić.

Odkryła, że postępując w ten sposób, wielu rzeczy nie musi robić sama, bo często ktoś ją wyręcza. To ułatwiało jej życie. Po pewnym czasie ludzie przyzwyczaili się do tego, że robią wszystko za nią, i Gerda nie musiała tego robić sama, dzięki czemu nikt nie wiedział, że wielu rzeczy nie potrafi zrobić dobrze. I tak wracała do punktu wyjścia, ale przynajmniej nie czuła się gorsza.

Gerda obawiała się jednak, że z Angkatellami nie pójdzie tak łatwo. Angkatellowie są niezwykli. Jakże Gerda ich nienawidzi! Dla Johna to dobre. John lubi tam być. Zawsze wraca do domu wypoczęty, mniej nerwowy.

Kochany John — pomyślała. John jest wspaniały. Wszyscy tak myślą. Jest doskonałym lekarzem, zawsze uprzejmym dla pacjentów. Zaharowuje się na śmierć. Mnóstwo czasu poświęca chorym przebywającym w szpitalu, chociaż zarobki z tego są marne. John jest bezinteresowny, szlachetny.

Gerda od początku wiedziała, że John jest niezwykły i że odniesie sukces. Wybrał ją, chociaż mógłby poślubić kobietę o większej inteligencji. Nie przeszkadzało mu, że jest powolna, raczej głupia i niezbyt piękna. „Zajmę się tobą — powiedział zdecydowanie. — Nie martw się, Gerda. Będę o ciebie dbał”.

To prawdziwy mężczyzna. Cudownie, że wybrał właśnie ją. Posłał jej ten swój ujmujący uśmiech, spojrział na nią błagalnym wzrokiem i powiedział: „Lubię stawiać na swoim, Gerdo”.

Nie przeszkadzało jej to. Starła się być mu uległa we wszystkim. Nawet ostatnio, chociaż był jakiś drażliwy, nerwowy i wiecznie niezadowolony. Nie wiedzieć czemu, nic, co Gerda robiła, nie podobało się Johnowi. Trudno go jednak o to winić. John jest bardzo zapracowany, oddany ludziom...

Rety! Pieczeń! Powinna ją odesłać. Johna ciągle nie ma. Dlaczego ona nigdy nie potrafi podjąć słusznej decyzji? Znowu wpadła w czarną rozpacz. Pieczeń! Czekające ją okropne dwa dni u Angkatellów. Poczwała nagły ból w skroniach. Dobry Boże, zaraz dostanie bólu głowy. John bardzo nie lubi, kiedy boli ją głowa. Nigdy nie dał jej żadnych lekarstw, chociaż łatwo mógłby jej pomóc; jest przecież lekarzem. Ale on mówił tylko: „Nie myśl o bólu. Nie ma sensu truć się lekarstwami. Pójdź na spacer”.

Pieczeń! Patrząc na jagnięcy udziec, Gerda miała wrażenie, że w jej obolałej głowie to jedno słowo kołocze się i odbija głuchym echem: „Pieczeń, pieczeń, pieczeń...”

Do oczu napłynęły jej łzy. Dlaczego — pomyślała — zawsze robię wszystko źle?

Siedzący po drugiej stronie stołu Terence spojrział na matkę, potem na pieczeń. Dlaczego — myślał — nie możemy zacząć jeść? Dorośli są głupi. Nie mają krzty rozumu.

— Chcemy z Nicholsonem Minorem wyprodukować u niego w ogrodzie nitroglicerynę — powiedział ostrożnie. — On mieszka na Streatham.

— Tak, kochanie? Cieszę się — powiedziała Gerda. Jeszcze jest czas. Gdyby teraz zadzwoniła i kazała zabrać pieczeń...

Terence spojrział na matkę uważnie; był zdziwiony. Miał wrażenie, że rodzice raczej nie powinni pozwalać dzieciom na zabawy z nitrogliceryną, jednak świadomie wybrał moment, kiedy — jak się spodziewał — matka nie zwróci uwagi na jego słowa. Okazało się, że trafił w dziesiątkę. Gdyby popadł w tarapaty (to znaczy, gdyby właściwości nitrogliceryny ujawniły się z nieoczekiwaniem wielką siłą), będzie mógł powiedzieć urażony: „Mówiłem o tym mamie”. Mimo wszystko, czuł się nieco zawiedziony.

Nawet mama — myślał — powinna coś wiedzieć o nitroglicerynie.

Westchnął; poczuł się tak straszliwie samotny, jak tylko dziecko potrafi. Ojciec jest zbyt niecierpliw, żeby wysłuchać, co Terence ma do powiedzenia, a matka zbyt nieuważna. Zena jest głupia. W książkach opisują mnóstwo ciekawych reakcji chemicznych, ale kogo to interesuje? Nikogo!

Bum! Gerda podskoczyła. To drzwi w gabinecie Johna. Już słyhać na schodach jego szybkie kroki.

— Boże! — zawołał; usiadł na krześle i energicznie przeciągnął nożem po ostrzałce. — Nienawidzę chorych ludzi!

— Ależ John! — powiedziała z przyganą Gerda. — Nie mów takich rzeczy. Dzieci pomyśla, że rzeczywiście tak myślisz.

— Tak właśnie myślę — upierał się John Christow. — Nikt nie powinien chorować.

— Tata tylko żartuje — powiedziała Gerda do Terence'a. Terence przyglądał się ojcu z pozbawionym emocji zainteresowaniem.

— Nie sądzę — stwierdził po chwili.

— Gdybyś nienawidził chorych ludzi, nie byłbyś lekarzem. — Gerda zaśmiała się cicho.

— Wręcz przeciwnie — sprzeciwił się John. — Żaden lekarz nie lubi choroby. Coś podobnego! Mięso jest całkiem zimne. Dlaczego nie pomyślałaś, żeby je trzymać w piekarniku?

— Sama nie wiem, kochanie. Myślałam, że za chwilę przyjdiesz...

John Christow nacisnął dzwonek; dzwonił długo, z irytacją. Po chwili przyszła Lewis.

— Zabierz to i powiedz kucharce, żeby podgrzała.

— Dobrze, proszę pana.

Tylko ton jej głosu zdradzał, co sobie myśli o pani domu siedzącej przy stole i przyglądającej się biernie stygnącemu mięsu.

— Przepraszam, kochanie — tłumaczyła się Gerda — ale najpierw myślałam, że zaraz przyjdiesz, a potem, że jeśli odeślę mięso...

— Daj spokój — przerwał jej zniecierpliwiony John. — Czy to ważne? Robisz z igły widły. Samochód już jest? — spytał po chwili.

— Chyba tak. Collie zamówił go na dzisiaj.

— W takim razie wyjeżdżamy zaraz po obiedzie.

Przez Albert Bridge — myślał — potem przez Clapham Common, skrótem koło Crystal Palace, Croydon, Purley Way; tam skręca w prawo, żeby nie jechać główną drogą, podjadą pod Metherly Hill, wjadą na Haverston Ridge i dalej przez Cormerton i Shovel Down. Żłocisto-czerwone drzewa, pola, łagodny zapach jesieni... Potem zjadą z góry.

Lucy i Henrietta... Henrietta...

Nie widział Henrietty od czterech dni. Ostatnim razem był na nią zły. Dostrzegł w jej oczach ten wyraz... Nie zabłąkany, nie oddalony — nie potrafił tego opisać — tylko taki, jakby coś widziała... Coś, co (i to jest w tym wszystkim najgorsze) nie ma nic wspólnego z Johnem Christowem. Wiem, że jest rzeźbiarką — mówił sobie. — Wiem, że jest dobra w tym, co robi. Ale, do diabła, dlaczego nie potrafi czasem zapomnieć o swojej pracy i myśleć tylko o mnie?

Był niesprawiedliwy. Wiedział, że tak jest. Henrietta rzadko mówiła o swojej pracy; nie była tak nawiedzona jak większość artystów, których znał. Z rzadka tylko jej fascynacja jakąś wewnętrzną wizją sprawiała, że nie mogła poświęcić mu całej swojej uwagi. Jednak za każdym razem doprowadzało go to do wściekłości.

Kiedyś spytał ją bardzo nieprzyjemnym głosem:

— Czy zrezygnowałabyś z tego wszystkiego, gdybym tego od ciebie zażądał?

— Z wszystkiego? — zdziwiła się.

— Chodzi mi o to — pokazał ręką na pracownię.

W tej samej chwili pomyślał sobie: „Głupcze! Dlaczego o to pytasz?” I dalej: „Niech powie: «Oczywiście». Niech skłamie! Och! Żeby tylko powiedziała, że zrezygnuje. Nieważne, że wcale tak nie myśli; ale niech to powie. Chcę mieć spokój”.

Henrietta jednak milczała. Spojrzenie miała rozmarzone, nieobecne. Po chwili skrzywiła się.

— Chyba tak — odparła po namyśle. — Gdyby to było konieczne...  
— Konieczne? Co masz na myśli?  
— Sama nie wiem, John. Konieczne; jak amputacja w niektórych chorobach.  
— Trudno to porównywać do operacji chirurgicznej!  
— Jesteś zły. Co chciałeś usłyszeć?  
— Dobrze wiesz, co. Wystarczyłoby jedno słowo: tak. Dlaczego go nie powiedziałaś? Opowiadasz ludziom różne rzeczy, żeby im sprawić przyjemność, i wcale się nie zastanawiasz, czy to prawda czy nie. Dlaczego mnie traktujesz inaczej? Na miłość boską, dlaczego?

Henrietta nadal była zamyślona.

— Nie wiem... — powiedziała powoli. — Naprawdę nie wiem. Po prostu inaczej nie mogę. Nie potrafię.

John zaczął chodzić tam i z powrotem. Po chwili powiedział:

— Zwariuję przez ciebie. Nie mam na ciebie żadnego wpływu.

— Dlaczego chciałbyś mieć na mnie wpływ?

— Nie wiem, ale chcę. Usiadł ciężko na krześle.

— Chcę być na pierwszym miejscu.

— Jesteś na pierwszym miejscu, John.

— Nie. Gdybym umarł, natychmiast, z twarzą zalaną łzami, zaczęłabyś rzeźbić kobietę w czerni albo jakąś inną personifikację żaloby.

— Możliwe, że masz rację. To straszne.

Usiadła naprzeciw niego, lękliwie patrząc mu w oczy.

Pudding był przypalony. Christow uniósł brwi. Gerda natychmiast zaczęła się tłumaczyć:

— Przepraszam, kochanie. Nie mam pojęcia, jak to się stało. To moja wina. Zgarnij dla mnie wierzchnią warstwę, a sam nałóż sobie ze spodu.

Pudding był przypalony dlatego, że on, John Christow, siedział w gabinecie piętnaście minut dłużej, niż powinien, oddając się myślom o Henriecie, pani Crabtree i wsłuchując się w bezsensowne, sentymentalne wspomnienia San Miguel. To jego wina. Jakie to głupie, że Gerda obwinia siebie i chce zjeść najbardziej przypaloną część. Dlaczego zawsze robi z siebie męczennicę? Dlaczego Terence przygląda mu się z takim zainteresowaniem? Dlaczego Zena zawsze musi pociągać nosem? Dlaczego oni wszyscy działają mu na nerwy?

— Nie możesz wydmuchać nosa? — Wyładował swój gniew na Żenię.

— Obawiam się, kochanie, że jest troszkę przeziębiona.

— Nic podobnego. Według ciebie, dzieci zawsze są przeziębione. Nic jej nie jest.

Gerda westchnęła. Nie mogła zrozumieć, dlaczego lekarz, całymi dniami leczący innych, w stosunku do rodziny okazuje się tak bezduszny. Każda wzmianka o chorobie najbliższych wywoływała z jego strony złośliwe docinki.

— Przed obiadem kichnęłam osiemnaście razy — powiedziała Zena z dumą.

— Z przegrzania!

— Wcale nie jest gorąco — powiedział Terence. — Termometr w przedpokoju wskazuje piętnaście stopni.

John wstał.

— Skończone? To dobrze; możemy jechać. Jesteś gotowa?

— Jedną chwileczkę. Muszę spakować kilka rzeczy.

— Miałas dość czasu przed obiadem. Co robiłaś do południa?

Zagniewany wyszedł z jadalni. Gerda szybko poszła do sypialni. Bardzo chciała się pospieszyć, ale robiła wszystko wolniej niż zwykle. Dlaczego nie jest gotowa? John wcześniej spakował swoją walizkę i rano wystawił ją do przedpokoju. Dlaczego...

Zena pobiegła do ojca. W ręce trzymała brudne karty do gry.



— Mogę ci powróżyć, tato? Umiem to robić. Wróżyłam już mamie, Terence'owi, Lewis, Jane i kucharce.

— Dobrze.

Ciekawe, jak długo będzie musiał czekać na Gerdę. Chciał jak najszybciej zostawić ten straszny dom, okropną ulicę i miasto pełne chorych, kichających, słabych ludzi. Chciał pójść do lasu, poczuć pod nogami mokre liście, porozmawiać z eteryczną Lucy Angkatell, zachowującą się tak, jakby nie była istotą cielesną.

— Tutaj, w środku, jesteś ty, tato; to król kier. Osoba, której przepowiadamy przyszłość, zawsze jest królem kier. Innych układam kartą do dołu. Dwie na lewo od ciebie i dwie na prawo, jedną nad twoją głową (ta karta ma nad tobą władzę) i jedną poniżej ciebie (nad tą ty masz władzę). A ta cię przykryje!

— A teraz... — Zena głośno wciągnęła powietrze — odwrócimy je. Na prawo od ciebie jest królowa karo; jest ci bliska.

To Henrietta — pomyślał. Powaga, z jaką Zena traktowała tę zabawę, rozśmieszyła go.

— Obok jest walet trefl. To jakiś spokojny, młody mężczyzna. Na lewo od ciebie jest ósemka pik. To ukryty wróg. Masz wrogów, tato?

— Nie sądzę.

— Dalej jest królowa pik. To jakaś starsza kobieta.

— Lady Angkatell — powiedział.

— Ta, która jest nad twoją głową i ma nad tobą władzę, to... królowa kier.

Veronica — pomyślał. — Veronica! Chyba zwariowałem. Veronica nic dla mnie nie znaczy.

— A ta leży pod tobą i ty masz nad nią władzę; to królowa trefl.

Do pokoju weszła Gerda.

— Jestem gotowa.

— Zaczekaj, mamó. Przepowiadam tacie przyszłość. Ostatnia karta, tato, i najważniejsza. Ta, która cię przykryła.

Zena wzięła kartę spoconymi paluszkami i odwróciła ją. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

— To... as pik. Zwykle oznacza śmierć, ale...

— Twoja mama — powiedział John — przejedzie dzisiaj kogoś, zanim zdążymy wyjechać z Londynu. Chodź, Gerdo. Do widzenia, dzieci. Bądźcie grzeczne.

## VI

W sobotę rano Midge Hardcastle zeszła na dół dopiero przed jedenastą. Śniadanie zjadła w łóżku, potem czytała książkę, zdrzemnęła się chwilkę, potem wstała.

Przyjemnie było poleniuchować. Była zmęczona. Madame Alfrege, u której pracowała, działała jej na nerwy.

Midge wyszła przed dom. Świeciło blade, jesienne słońce. Na ławce siedział sir Henry Angkatell i czytał „Timesa”. Podniósł spojrzenie znad gazety i uśmiechnął się. Lubił Midge.

— Dzień dobry, moja droga.

— Bardzo się spóźniłam?

— Jeszcze nie jedliśmy obiadu — odparł z uśmiechem. Midge usiadła obok niego i powiedziała z westchnieniem:

— Jak tu przyjemnie!

— Wyglądasz na przemęczoną.

— Nic mi nie jest. Ale przyjemnie jest znaleźć się z dala od tych wszystkich grubych bab, starających się wcisnąć w ubrania o kilka numerów za małe.

— To musi być straszne! — Sir Henry spojrzął na zegarek i dodał: — Edward przyjeżdża o 12:15.

— Tak? Długo go nie widziałam — powiedziała z wahaniem Midge.

— Nic się nie zmienił. Rzadko opuszcza Ainswick.

Ainswick — pomyślała Midge. — Ainswick! Poczwała gwałtowny skurcz serca. Cudowne chwile spędzone w Ainswick! Miesiącami liczyła dni do wyjazdu do Ainswick. Zawsze przed zaśnięciem myślała o wakacjach, aż wreszcie nadchodził ten dzień. Małeńka stacja wśród pól, na której wielki ekspres z Lodnyu zatrzymywał się tylko wtedy, gdy pasażer uprzedził konduktora, że chce tam wysiąść. Przed stacją czekał na nią daimler. Krótka jazda, gwałtowny skręt, brama, las i nagle pojawiał się dom: wielki, biały, gościnny. Stary wuj Geoffrey w tweedowym płaszczu...

„Cieszcie się życiem, dzieci”. Cieszyli się. Henrietta przyjeżdżała z Irlandii, Edward z Eton, a Midge z ponurego przemysłowego miasta na północy. W Ainswick czuła się jak w raj.

Najważniejszy był jednak Edward: wysoki, łagodny, nieśmiały i uprzejmy. Nie zwracał na nią uwagi, ponieważ był zaprzątnięty Henrietta.

Edward był zawsze tak powściągliwy i obcy w tym miejscu, że zdziwiła się bardzo, gdy kiedyś Tremlet, najstarszy ogrodnik, powiedział:

— Pewnego dnia wszystko to stanie się własnością panicza Edwarda.

— Dlaczego, Tremlet? Przecież on nie jest synem wuja Geoffreya.

— Ale jest dziedzicem, panienko. Panienska Lucy jest jedynym dzieckiem pana Geoffreya, ale nie może dziedziczyć, ponieważ jest kobietą. Sir Henry, którego poślubiła, jest dalekim kuzynem. Pan Edward jest najbliższym krewnym.

Teraz Edward mieszka w Ainswick; jest sam i rzadko opuszcza dom. Midge zastanawiała się czasem, czy Lucy ma o to żal. Lucy sprawiała jednak takie wrażenie, jakby nigdy o nic nie miała żalu.

A przecież Ainswick było jej domem, a Edward tylko krewnym, młodszym od niej o dwadzieścia lat. Jej ojciec, stary Geoffrey Angkatell, był wielkim dziwakiem. Był też bardzo bogaty. Prawie wszystkie pieniądze odziedziczyła Lucy. Edward był więc raczej biedny, chociaż tego, co miał, wystarczało mu na utrzymanie posiadłości.

Zresztą, Edward nie lubił zbytku. Przez pewien czas pracował w służbie dyplomatycznej, kiedy jednak odziedziczył Ainswick, zrezygnował z pracy i zamieszkał w posiadłości. Dużo czytał, kolekcjonował pierwsze wydania ciekawych książek, czasem pisywał ironiczne

artykuły do mało znanych czasopism. Trzy razy prosił o rękę swoją daleką krewną, Henriettę Savernake.

Midge myślała o tym wszystkim, siedząc w słońcu. Sama nie wiedziała, czy się cieszyć, że zobaczy Edwarda, czy też nie. Nie można powiedzieć, że już jej „przeszło”. Uczucie do takiego mężczyzny jak Edward nigdy nie „przechodzi”. Od dziecka kochała Edwarda...

— Co sądzisz o Lucy? — wyrwał ją z zamyślenia głos sir Henry’ego.

— Wygląda bardzo dobrze. Wcale się nie zmieniła — uśmiechnęła się Midge. — Jest jeszcze bardziej sobą.

— Taaaak. — Sir Henry zaciągnął się fajką. — Wiesz, Midge, czasem się o nią martwię — dodał po chwili.

— Martwisz się? — Midge była zdziwiona. — Dlaczego? Sir Henry pokręcił głową.

— Lucy nie wie, że są rzeczy, których nie może zrobić. Midge patrzyła na niego z powagą.

— Zawsze wszystko się jej udaje — mówił dalej. — Dawniej lekce sobie ważyła tradycje panujące w siedzibie rządu; podczas przyjęć nie przestrzegała zasad pierwszeństwa (to jest niewybaczalne przestępstwo!). Przy stole sadzała obok siebie najzagorzalszych wrogów, co powinno doprowadzić do wielkich kłótni, wybuchów wrogości, ściągnąć na brytyjskie władze niesławę; ale nie... Jej uszło to na sucho. Ma swoje sposoby: uśmieszki, przeprasające, ale wyzbyte poczucia winy spojrzenia... Nawet służba... Sprawia im niemało kłopotów, a mimo to uwielbiają ją.

— Rozumiem — powiedziała Midge w zamyśleniu. — Są rzeczy, których nie wybaczone by nikomu, ale w przypadku Lucy traktowane są jak coś naturalnego. Ciekawe, dlaczego? Co ona w sobie ma? Jakiś urok? Magnetyzm?

Sir Henry wzruszył ramionami.

— Od dziecka taka była; czasem się jednak boję, żeby nie posunęła się za daleko. Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, że wszystko ma swoje granice. Mam wrażenie — powiedział rozbawiony — że gdyby Lucy zabiła człowieka, uszłoby jej to na sucho.

Henrietta wyprowadziła delage’a z garażu, zajmującego budynki dawnych stajen i odbyła pełną technicznych terminów rozmowę z Albertem, który dbał o jej samochód.

— Przyjemnej drogi — powiedział na pożegnanie Albert.

Henrietta uśmiechnęła się. Jechała wzdłuż garaży, smakując przyjemność, jaką odczuwała zawsze, ilekroć była sama w swoim samochodzie. Najbardziej lubiła jeździć samotnie. Wtedy mogła całkowicie oddać się przyjemności prowadzenia.

Imponowała jej zwinność, z jaką poruszała się w miejskim ruchu. Lubiała wyszukiwać skrótów i mało znane drogi wyjazdowe z Londynu. Także po mieście jeździła sobie tylko znanymi trasami.

Zdecydowała się pojechać nowo odkrytą drogą na południowy wschód. Teraz kręciła wśród gmatwaniny podmiejskich uliczek. Do Shovel Down dojechała kwadrans po dwunastej. Bardzo lubiła rozciągający się stąd widok. Zatrzymała się w miejscu, gdzie droga zaczęła opadać w dół. Ze wszystkich stron otaczały ją drzewa, których złociste liście zaczynały już brązowieć. Świat, rozświetlony ciepłymi promieniami słońca, wydał się jej piękny i silny.

Uwielbiam jesień — pomyślała Henrietta. — Jest znacznie bogatsza od wiosny.

Nagle poczuła się bezgranicznie szczęśliwa. Świat jest piękny i dostarcza wielu miłych wrażeń!

Już nigdy nie będę tak szczęśliwa, jak w tej chwili — pomyślała.

Stała tam, patrząc na złocisty świat rozmywający się w dali, lekko zamglony, ale piękny. Potem zjechała stromą drogą w dół, do The Hollow.

Midge siedziała na niskim murku otaczającym taras. Pomachała ręką nadjeżdżającej Henriecie. Henrietta ucieszyła się. Lubiła Midge.

Z domu wyszła lady Angkatell i powiedziała:

— No, wreszcie jesteście, Henrietto! Zaprowadź samochód do stajni, nasyp mu owsa i przychodź na obiad.

— Bardzo mądre słowa — stwierdziła Henrietta, okrążając dom. Midge towarzyszyła jej, stojąc na stopniu samochodu. — Zawsze byłam dumna z tego, że nie odziedziczyłam po moich irlandzkich przodkach nic z ich fanatycznej miłości do koni. Ktoś, kto wychował się wśród ludzi rozmawiających tylko o klaczach i ogierach, ma prawo być dumny, że nie okazuje tym zwierzętom najmniejszego zainteresowania. A tu, masz babo placek! Lucy uświadomiła mi, że traktuję swój samochód całkiem jak konia. Niestety, ma rację.

— Wiem — przyznała Midge. — Lucy bywa niedelikatna. Powiedziała mi dzisiaj, że będąc u niej w domu mogę być tak niegrzeczna, jak tylko chcę.

Henrietta zastanawiała się chwilę; potem pokiwała głową.

— Oczywiście — powiedziała. — Sklep!

— Tak. Kiedy człowiek spędza całe dni w okropnym sklepiku, uprzejmie obsługując nawet najbardziej niegrzeczne kobiety, zwracając się do nich z pełnym szacunkiem, pomagając im wkładać sukienki, uśmiechając się i bez słowa sprzeciwu znosząc ich impertynencje, rzeczywiście ma ochotę przeklinać. Wiesz, zawsze mnie dziwiło, że ludzie uznają za upokarzające bycie „na służbie”, a dla pracy w sklepie mają szacunek. Moje klientki są wobec mnie dużo bardziej aroganckie i wyniosłe niż gospodarze tego domu wobec Gudgeona czy Simons.

— To straszne. Żałuję, że jesteś taka dumna i koniecznie chcesz sama zarabiać na życie.

— Lucy jest cudowna. Przez cały czas pobytu u niej będę dla wszystkich upojnie niegrzeczna.

— Kto przyjechał? — spytała Henrietta, wysiadając z samochodu.

— Spodziewamy się Christowów — powiedziała Midge i zrobiła krótką przerwę. — Edward już przyjechał — dodała.

— Edward? Cieszę się. Strasznie dawno się z nim nie wiedziałam. To wszyscy?

— Jest jeszcze David Angkatell. Zdaniem Lucy, bardzo się tu przydasz. Masz coś zrobić, żeby David przestał obgryzać paznokcie.

— Ta rola do mnie nie pasuje — stwierdziła Henrietta. — Nie lubię się wtrącać w nie swoje sprawy i nie zamierzam zmieniać niczyich nawyków. Co właściwie powiedziała Lucy?

— Naprawdę mówiła o tych paznokciach. I jeszcze, że David ma jabłko Adama.

— Chyba nie oczekuje, że z tym także coś zrobię? — spytała zaniepokojona Henrietta.

— Nie. Masz być miła dla Gerdy.

— Na miejscu Gerdy zniechęciłabym Lucy!

— Jutro przyjdzie na obiad jakiś człowiek, zajmujący się tajemniczymi przestępstwami.

— Chyba nie będziemy się bawić w poszukiwanie przestępcy?

— Raczej nie. On jest sąsiadem Angkatellów... Idzie Edward — dodała po chwili Midge, nieco zmienionym głosem.

Kochany Edward — pomyślała Henrietta. Edward Angkatell był bardzo wysoki i szczupły. Zbliżał się do rozmawiających kobiet, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Witaj, Henrietto. Nie widziałem cię już ponad rok.

— Witaj, Edwardzie.

Edward jest bardzo miły! Jak zwykle uśmiecha się łagodnie. W kącikach oczu ma drobne zmarszczki; i ma takie delikatne kości. Najbardziej podobają mi się w nim te kości — pomyślała Henrietta. Nagły przypływ ciepłych uczuć w stosunku do Edwarda zaskoczył ją. Zapomniała, że tak bardzo go lubi.

Po obiedzie Edward powiedział:

— Pójdiesz za mną na spacer, Henrietto?

Edward lubił spokojne przechadzki. Poszli w górę krętą ścieżką, wspinającą się wśród drzew na zbocze za domem.

Las w Ainswick wygląda podobnie — myślała Henrietta. Ainswick! Przeżyli tam wiele radosnych chwil. Zaczęła rozmawiać z Edwardem o Ainswick. Stare wspomnienia odżyły.

— Pamiętasz naszą wiewiórkę? Tę ze złamaną łapką? Trzymaliśmy ją w klatce, dopóki nie wydobrzała.

— Oczywiście, że pamiętam. Miała jakieś dziwaczne imię. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Cholmondeley–Marjoribanks!

— Właśnie.

Roześmiali się jednocześnie.

— Stara pani Bondy, gospodyni, stale powtarzała, że wiewiórka wdrapie się do góry po kominie i ucieknie.

— A my się na nią złościśmy.

— I rzeczywiście wiewiórka uciekła.

— Udało się jej — powiedziała Henrietta, poważniejąc. — To gospodyni namówiła wiewiórkę do ucieczki. Czy wszystko pozostało takie samo, czy coś się zmieniło? Lubię sobie wyobrazić, że Ainswick nadal jest takie, jak w moich wspomnieniach.

— Może byś tam przyjechała, Henrietto? Dawno nie odwiedzałaś Ainswick.

— Wiem.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak długo tam nie wraca. Człowiek jest taki zajęty, zaabsorbowany, związany z tyloma osobami...

— Wiesz, że zawsze będziesz mile widziana.

— Jesteś bardzo uprzejmy, Edwardzie!

Kochany Edward — pomyślała — ma takie piękne kości.

— Cieszę się, że lubisz Ainswick, Henrietto.

— Ainswick to najpiękniejsze miejsce na świecie — powiedziała rozmarzona Henrietta.

Długonoga dziewczynka z wiechą niedokładnie rozczesanych włosów... Szczęśliwa dziewczynka, nie mająca pojęcia o tym, co życie z nią robi... Dziewczynka kochająca drzewa... Była taka szczęśliwa, ale wówczas nie miała o tym zielonego pojęcia! Chciałabym tam wrócić — pomyślała.

— Czy Ygdrasil nadal stoi? — spytała.

— Powalił go piorun.

— Och, nie!

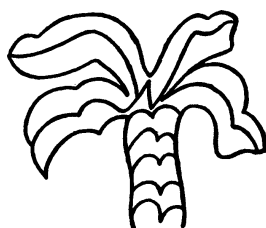
Zmartwiła się. To ona nazwała wielki, stary dąb Ygdrasilem. Skoro bogowie zniszczyli Ygdrasila, to znaczy, że nic na świecie nie jest bezpieczne. Nie ma po co tam jechać.

— Pamiętasz swój specjalny znak? Znak Ygdrasila?

— To śmieszne drzewko, niepodobne do żadnego prawdziwego drzewa, które stale rysowałam? Nadal mam ten zwyczaj. Rysuję je na kartkach, w książce telefonicznej, na zapisie brydżowym. Wszędzie. Daj mi pióro.

Edward podał jej pióro i notatnik. Śmiejąc się, Henrietta narysowała dziwne drzewo.

— Tak — powiedziała. — To jest Ygdrasil.



Byli już blisko szczytu. Henrietta usiadła na pniu zwałonego drzewa, Edward obok niej. Henrietta patrzyła na las.

— Tutaj jest prawie tak jak w Ainswick. To jakby Ainswick w miniaturze. Czasem się zastanawiam... Edwardzie, nie sądzisz, że właśnie dlatego Lucy wybrała to miejsce?

— Możliwe.

— Nigdy nie wiadomo — powiedziała powoli Henrietta — co myśli Lucy. A ty co porabiałeś od czasu naszego ostatniego spotkania?

— Nic, Henrietto.

— Zdaje się, że prowadzisz bardzo spokojne życie.

— Nigdy nie byłem zbyt aktywny.

Spojrzała na niego ukradkiem. Coś w tonie jego głosu ją zaniepokoiło. Edward zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się lekko. Henrietta znów poczuła przypływ serdecznych uczuć.

— Możliwe — powiedziała — że masz rację.

— Rację?

— Nic nie robiąc.

— Dziwne, że ty to mówisz — powiedział Edward. — Odniosłaś przecież sukces.

— Tak sądzisz? To zabawne.

— Oczywiście, że odniosłaś sukces. Jesteś artystką. Musisz być z siebie dumna.

— Wiem — przytaknęła Henrietta. — Ludzie często mi to mówią. Nie rozumieją... Nic nie rozumieją. Ty mnie rozumiesz, Edwardzie. Rzeźbiarstwo to nie coś, do czego się człowiek bierze i w czym odnosi sukces. To coś, co cię dopada, dręczy, prześladowe tak, że wcześniej czy później musisz coś z tym zrobić. Potem na jakiś czas ma się spokój, dopóki wszystko nie zacznie się od nowa.

— Chciałabyś prowadzić spokojne życie, Henrietto?

— Czasami myślę, że niczego nie pragnę bardziej.

— W Ainswick mogłabyś żyć w spokoju. Myślę, że mogłabyś być szczęśliwa. Nawet... nawet gdyby to wymagało pogodzenia się z moją obecnością. Co ty na to, Henrietto? Przyjedziesz do Ainswick? Uczynisz je swoim domem? Ainswick czeka na ciebie.

Henrietta powoli odwróciła głowę.

— Żałuję, że tak bardzo cię lubię, Edwardzie — powiedziała prawie szeptem. — Jest mi naprawdę trudno znów ci odmawiać.

— A więc odmawiasz?

— Przykro mi.

— Już wcześniej mi odmawiałaś; myślałem jednak, że tym razem... będzie inaczej. Wydawałaś mi się taka szczęśliwa! Chyba nie zaprzeczysz?

— Byłam bardzo szczęśliwa.

— Wyglądasz młodziej niż dzisiaj rano.

— Wiem.

— Byliśmy szczęśliwi rozmawiając o Ainswick, myśląc o nim. Nie rozumiesz tego, Henrietto?

— To ty nie rozumiesz, Edwardzie! Rozmawiając o tym, żyliśmy przeszłością.

— Nie ma w tym nic złego.

— Nie można cofnąć czasu. To się nikomu nie udało. Edward milczał chwilę; potem powiedział spokojnym, przyjemnym, pozbawionym emocji głosem:

— Chodzi o to, że nie wyjdiesz za mnie ze względu na Johna Christowa?

Henrietta nie odpowiedziała.

— O to chodzi, prawda? — dopytywał się Edward. — Gdyby na świecie nie było Johna Christowa, wyszłabyś za mnie!

- Nie potrafię sobie wyobrazić świata bez Johna Christowa — odparła oschle Henrietta.
- Musisz to zrozumieć!
- Skoro tak, dlaczego on nie weźmie rozwodu i nie ożeni się z tobą?
- John nie chce rozwodu. Ja też nie jestem wcale pewna, czy wyszłabym za Johna, gdyby on odszedł od żony. Nie jest tak, jak sądzisz.
- John Christow! Za dużo jest takich na świecie — powiedział z namysłem Edward.
- Jesteś w błędzie. Niewielu jest takich jak John.
- To dobrze! Takie jest moje zdanie — powiedział i wstał. — Chodźmy już.

## VII

Wsiedli do samochodu. Kiedy Lewis zamknęła drzwi domu, Gerda poczuła się jak zesłaniec. Drzwi zamknięto. Nie wróci do domu. Zaczęły się te straszne dni. Przed wyjazdem powinna jeszcze zrobić kilka rzeczy. Chyba nie zapomniała zakręcić kranu w łazience? Informacja dla pralni... Gdzie ją położyła? Czy mademoiselle poradzi sobie z dziećmi? Mademoiselle jest taka... Na przykład, czy Terence będzie robił to, co każe mademoiselle? Francuskie guwernantki nie potrafią zdobyć sobie posłuchu.

Pograżona w rozpacz Gerda usiadła za kierownicą i nerwowo wcisnęła rozrusznik. Próbowwała kilka razy.

— Samochód łatwiej zapali, jeśli przekręcisz kluczyk, Gerdo — powiedział John.

— Rety, ależ jestem głupia.

Rzuciła mężowi krótkie, niespokojne spojrzenie. Jeśli John zdenerwuje się na nią już na początku... Z ulgą stwierdziła, że John się uśmiecha.

To dlatego — stwierdziła Gerda w nagłym przeblysku inteligencji — że cieszy się z wizyty u Angkatellów. Biedny John, tak ciężko pracuje! Jest całkowicie wyzbyty samolubstwa; w pełni oddany dobru drugiego człowieka. Nic dziwnego, że cieszy się na te dni wolne od pracy. Gerda przypomniała sobie rozmowę przy obiedzie i raptownie zdjęła nogę ze sprzęgła. Samochód szarpnął i nagle ruszył.

— Nie powinieneś żartować, że nienawidzisz chorych ludzi! Cudownie, że potrafisz spojrzeć na to, co robisz, z dystansem. Ja to rozumiem, ale dzieci nie. Szczególnie Terence. Przyjmuje wszystko bardzo dosłownie.

— Czasem — powiedział John Christow — Terence potrafi zachować się jak człowiek. W przeciwieństwie do Zeny. Do jakiego wieku dziewczęta są tak afektowane?

Gerda roześmiała się. Wiedziała, że John sobie z niej żartuje. Wróciła jednak do poprzedniego tematu. Potrafiła być bardzo konsekwentna.

— Uważam, że dzieci powinny rozumieć, jakich wyrzeczeń i oddania wymaga zawód lekarza.

— Boże! — westchnął John Christow.

Gerda nie zwróciła na to uwagi. Na skrzyżowaniu, do którego się zbliżali, od dłuższego czasu paliło się zielone światło. Była prawie pewna, że się zmieni, zanim tam dojadą. Zaczęła zwalniać, ale światło nadal było zielone. John Christow zapomniał, że przysiągł sobie nie komentować poczynań żony za kierownicą, i spytał:

— Dlaczego stajesz?

— Myślałam, że światło się zmieni...

Nacisnęła na gaz, samochód lekko przyspieszył, ale nagle zgasł silnik. Światła się zmieniły. Samochody jadące poprzeczną ulicą zaczęły trąbić.

— Jesteś najgorszym kierowcą na świecie — powiedział John; ton jego głosu był jednak przyjazny.

— Światła zawsze mnie denerwują. Nigdy nie wiadomo, kiedy się zmienią.

John zerknął na niespokojną, nieszczęśliwą twarz Gerdy.

Wszystko ją denerwuje — pomyślał. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jak się czuje człowiek nieustannie żyjący w napięciu. Nie miał jednak bujnej wyobraźni i wysiłił się bezskutecznie.

— Widzisz — wróciła do tematu Gerda — zawsze staram się uświadomić dzieciom, jak wygląda życie lekarza: pełne poświęcenia, oddania sprawie niesienia pomocy cierpiącym i chorym, pragnienia służenia innym. To jest takie szlachetne! Jestem z ciebie dumna! Poświęcasz pacjentom cały swój czas i wszystkie siły. Nigdy się nie oszczędzasz.



— Nie przyszło ci do głowy, że mogę lubić swój zawód? — przerwał jej John Christow. — Dla mnie to jest przyjemność, a nie poświęcenie! Nie rozumiesz, że to cholernie interesujące?

Nie — pomyślał — Gerda nigdy tego nie zrozumie. Gdyby opowiedział jej o pani Crabtree i o oddziale Margaret Russel, nadal pozostałby dla niej anielską istotą, niosącą ulgę Biednym przez wielkie B.

— Słodka jak miód — mruknął pod nosem.

— Co? — spytała Gerda, pochylając się ku niemu.

John pokręcił głową. Gdyby powiedział Gerdzie, że szuka lekarstwa na raka, zrozumiałaby go. Nie potrafiłby jednak wytłumaczyć jej swojej fascynacji zawilóściami choroby Ridgewaya. Pewnie trudno byłoby jej zrozumieć, na czym polega ta choroba. (Szczególnie — pomyślał, uśmiechając się — że sami nie jesteśmy tego do końca pewni. Nie wiemy, dlaczego następują zmiany zwyrodnieniowe w korze mózgowej.)

Nagle przyszło mu do głowy, że Terence, chociaż jest jeszcze dzieckiem, pewnie byłby tą sprawą zainteresowany. Spodobał mu się sposób, w jaki syn przyglądał mu się przy stole, zanim powiedział to swoje „nie sądzę”.

Od kilku dni Terence był w niełasce, ponieważ popsuł ekspres do kawy. Tłumaczył się, że chciał wyprodukować amoniak. Amoniak? Dziwne z niego dziecko, ale interesujące.

Milczenie Johna uspokoiło Gerdę. Nie musząc rozmawiać, skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu. John się zamyślił i nie zwracał uwagi na zgrzyty w skrzyni, kiedy Gerda zmuszona była zmieniać biegi. (Robiła to tylko wtedy, gdy nie dało się tego uniknąć.)

Czasem zdarzało się jej dobrze zmienić bieg (choć nigdy nie robiła tego pewnie), ale nigdy w obecności Johna. Jej gorące pragnienie, by zrobić wszystko jak najlepiej, okazało się oplakane w skutkach: ręce jej drżały, zbyt mocno nacisnęła na gaz (a może dodała za mało gazu?), po czym tak szybko i niezręcznie przesunęła dźwignię, że skrzynia biegów zazgrzytała przeraźliwie.

— Wsuń go, Gerdo — tłumaczyła jej przed laty zrozpaczona Henrietta, pokazując, jak to zrobić. — Nie czujesz, gdzie on chce wejść? Trzeba go wsunąć. Popychaj lekko, aż wyczujesz to miejsce. Nie wciskaj go na siłę, musisz wyczuć właściwy moment.

Ale Gerda nic nie czuła, trzymając dłoń na dźwigni biegów. Wiedziała, że jeśli będzie ją pchała mniej więcej we właściwym kierunku, wcześniej czy później wrzuci pożądany bieg. Samochody powinny być tak konstruowane, żeby nie zgrzytały.

Mimo wszystko — myślała Gerda podjeżdżając na Mersham Hill — podróż nie była straszna. John nadal siedział zamyślony i wcale nie zauważył okropnego zgrzytu skrzyni biegów w Croydon. Pełna optymizmu, w chwili, gdy samochód zaczął się rozpędzać, Gerda wrzuciła trójkę i natychmiast zaczęli zwalniać. Tym razem John się ocknął z zamyślenia.

— Po co wrzucasz wyższy bieg, wjeżdżając na strome wzniesienie?

Gerda zacisnęła szczęki. Są już blisko. Co wcale nie znaczy, że ma ochotę się tam znaleźć. Jeśli chodzi o nią, mogłaby jechać jeszcze wiele godzin, nawet gdyby John się na nią denerwował.

Byli już na Shovel Down; otoczyły ich złociste, jesienne lasy.

— Cudownie jest zostawić Londyn za sobą i znaleźć się w takim miejscu! — ucieszył się John. — Zwykle wieczory spędzamy w ponurym salonie; czasem zapalamy światła.

Wspominając mroczny pokój w mieszkaniu na Harley Street, Gerda poczuła nagły ból w piersiach. Och, gdyby mogła się tam teraz znaleźć!

— Pięknie tu — powiedziała dzielnie.

Trzeba zjechać z góry, nie ma na to rady. Nie spełniła się jej skryta nadzieja; nie wydarzyło się nic, co mogłoby ją uchronić przed czekającym koszmarem. Dojechali na miejsce.

Ucieszyła się, kiedy zobaczyła siedzącą na murku Henriettę, Midge i jakiegoś szczupłego mężczyznę. Wiedziała, że na Henriecie może polegać. W najgorszych tarapatkach Henrietta zawsze przychodziła jej z pomocą.

John też się ucieszył na widok Henrietty. Najpierw piękne widoki z góry, szybka jazda w dół, a teraz spotkanie z Henriettą. Bardzo stosowne zakończenie podróży. Henrietta miała na sobie zielony płaszcz z tweedu i spódnicę, w której bardzo mu się podobała i która — zdaniem Johna — pasowała do niej o wiele lepiej niż te ubrania, które zwykle nosi w Londynie. Henrietta wyciągnęła przed siebie długie nogi, obute w starannie wypastowane sportowe buty.

Uśmiechnęli się do siebie, żeby potwierdzić, że cieszą się swoim widokiem. John nie chciał teraz rozmawiać z Henriettą. Sama świadomość jej obecności sprawiała mu przyjemność. Bez niej wolne dni byłyby puste.

Z domu wyszła im na powitanie lady Angkatell. Nieczyste sumienie sprawiło, że wobec Gerdy była bardziej wylewna niż normalnie.

— Tak się cieszę, że cię widzę, Gerdo! Tyle czasu! Witaj, John!

Chciała dać do zrozumienia, że Gerda jest długo oczekiwanym gościem, a John jedynie jej towarzyszem, ale nie wypadło to przekonująco. Gerda była bardzo zmieszana.

— Znacie Edwarda? Edwarda Angkatella? — spytała Lucy.

John skinął Edwardowi głową i powiedział:

— Nie sądzę.

Chylące się ku zachodowi słońce rozświetliło złote włosy Johna i jego błękitne oczy. Wyglądał jak wiking wracający ze zwycięskiej wyprawy. Głos miał ciepły, dźwięczny, miły. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

W towarzystwie Johna Lucy zdawała się jeszcze bardziej eteryczna niż zwykle. Edward natomiast bardzo się zmienił. Nagle zbladł, usunął się w cień i zgarbił.

Henrietta zaproponowała Gerdzie spacer do warzywnika za domem.

— Lucy na pewno pokaże nam swój ogródek skalny i jesienne rabaty — powiedziała. — Ale ja najbardziej lubię ogród warzywny. Jest piękny i pełen spokoju. Można usiąść na inspektach z ogórkami, a w zimny dzień schronić się w szklarni. Nikt tam człowiekowi nie przeszkadza, a czasem uda się znaleźć coś dobrego do jedzenia.

Rzeczywiście, znalazły trochę groszku. Henrietta jadła go na surowo, ale Gerda nie miała ochoty. Z przyjemnością uwolniła się jednak od towarzystwa Lucy Angkatell, która zachowywała się bardziej niepokojąco niż zwykle.

Gerda zżywieniem rozmawiała z Henriettą. Rzeźbiarka umiała zadawać pytania, na które Gerda знаła odpowiedź. Po chwili Gerda poczuła się lepiej. Obudziła się w niej nadzieja, że może mimo wszystko najbliższe dwa dni nie będą aż tak straszne, jak się obawiała.

Zena zaczęła uczyć się tańca i z tej okazji dostała nową sukienkę. Gerda długo ją opisywała. Ostatnio znalazła nowy sklep z przyborami do robótek ręcznych ze skóry. Henrietta spytała, czy trudno jest uszyć sobie torebkę. Gerda obiecała ją tego nauczyć.

Jak niewiele potrzeba — myślała Henrietta — żeby uszczęśliwić Gerdę; a kiedy jest szczęśliwa, zmienia się nie do poznania. Wystarczy jej pozwolić zwinąć się w kłębek i mruzczyć.

Szczęśliwe, usiadły na inspektach z ogórkami w kącie ogrodu. Słońce, wiszące nisko nad ziemią, grzało jak latem. Milczały. Powoli wyraz spokoju zaczął znikać z twarzy Gerdy. Zgarbiła się. Znowu wyglądała jak siedem nieszczęść. Podskoczyła, kiedy Henrietta się odezwała.

— Dlaczego tu przyjeżdżasz? — spytała Henrietta. — Przecież czujesz się tu bardzo źle?

— Ależ nie — odparła szybko Gerda. — To znaczy, nie wiem dlaczego... Przyjemnie jest wyjechać z Londynu — dodała po chwili — a lady Angkatell jest bardzo miła.

— Lucy? Wcale nie jest miła. Gerda była zaskoczona.

— Ależ tak. Dla mnie jest zawsze bardzo miła.

— Lucy ma dobre maniery i potrafi być urocza, ale jest okrutna. Chyba dlatego, że jest taka nieludzka, nie wie, co to znaczy czuć i myśleć jak zwykły człowiek. Nie cierpisz tego miejsca, Gerdo! Sama najlepiej wiesz, że mam rację. Skoro tak, dlaczego tu przyjeżdżasz?

— Widzisz, John bardzo to lubi...

— Ach, oczywiście; John to lubi. Nie mogłaś go wysłać samego?

— To by mu się nie spodobało. Beze mnie nie byłby tu szczęśliwy. John nie jest samolubny. Uważa, że pobyt na wsi dobrze mi robi.

— Na wsi tak, to prawda — zgodziła się Henrietta. — Ale nie u Angkatellów.

— Ja... Nie chciałam, żebyś sobie pomyślała, że jestem niewdzięczna.

— Ależ, droga Gerdo! Dlaczego miałabyś nas lubić? Zawsze uważałam, że Angkatellowie są dziwną rodziną. Lubimy spędzać czas we własnym gronie i mówimy swoim językiem. Nic dziwnego, że obcy mieliby ochotę nas wymordować... Chyba już pora na herbatę — dodała po chwili. — Wracajmy.

Przyglądała się Gerdzie, kiedy ta wstała i ruszyła w stronę domu.

Ciekawe by było zobaczyć — pomyślała; jak zawsze, część jej umysłu zajęta była czymś innym — twarz chrześcijańskiej męczennicy w chwili, kiedy wychodzi na arenę. Tak wyglądała teraz Gerda.

Kiedy wyszły za mur okalający warzywnik, usłyszały strzały.

— Zdaje się, że masakra Angkatellów już się zaczęła! — powiedziała Henrietta.

Okazało się, że sir Henry i Edward dyskutują o broni palnej i uzasadniają swoje poglądy strzelając z rewolwerów.

Henry Angkatell interesował się bronią i miał jej okazałą kolekcję. Przyniósł z domu kilka rewolwerów i tarcze. Obaj z Edwardem zajęli się strzelaniem do celu.

— Hej, Henrietto, chcesz się dowiedzieć, czy zabiłabyś włamywacza? — spytał sir Henry.

Henrietta wyjęła mu rewolwer z ręki.

— Tak należy celować... Bach!

— Pudło! — powiedział sir Henry.

— Chcesz spróbować, Gerdo?

— Obawiam się, że...

— Niech się pani da namówić, pani Christow. To całkiem proste.

Gerda wypaliła z rewolweru, podskoczyła z przerażenia i zamknęła oczy.

— Ja też chcę spróbować — powiedziała podchodząc do nich Midge. — To trudniejsze, niż sądziłam — stwierdziła po drugim strzale. — Ale dosyć przyjemne.

Z domu wyszła Lucy. Za nią kroczył wysoki, nadąsany młodzieniec z wystającym jabłkiem Adama.

— To David — przedstawiła go Lucy.

Wyjęła rewolwer z dłoni Midge. Podczas gdy jej mąż witał się z Davidem, naładowała broń i strzeliła trzy razy, za każdym razem trafiając blisko środka tarczy.

— Doskonale, Lucy! — pochwaliła ją Midge. — Nie wiedziałam, że tak dobrze strzelasz.

— Lucy — powiedział z powagą sir Henry — zabija za każdym razem. — Coś mu się przypomniało, więc dodał jeszcze: — Raz nam się to przydało. Pamiętasz, kochanie? Tych bandytów, którzy napadli na nas po azjatyckiej stronie Bosforu? Dwóch siedziało mi na piersiach i dusiło mnie za gardło.

— Co zrobiła Lucy? — spytała Midge.

— Strzeliła dwa razy. Nawet nie wiedziałem, że ma przy sobie pistolet. Jednego trafiła w nogę, drugiego w ramię. Do dziś nie mogę się nadziwić, że wyszedłem z tego cało. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało się jej nie trafić we mnie.

Lady Angkatell uśmiechnęła się słodko.

— Zawsze istnieje ryzyko i trzeba się z tym pogodzić — powiedziała spokojnie. — Należy działać szybko i nie zastanawiać się zbyt długo.

— Cudowna pewność — odparł sir Henry. — Martwi mnie tylko, że ryzykowałeś moje życie.

## VIII

Po herbacie John powiedział do Henrietty:

— Chodźmy na spacer.

Lady Angkatell uznała, że Gerda koniecznie musi zobaczyć ogródek skalny, chociaż o tej porze roku właściwie nic już tam nie kwitło.

Spacer z Johnem — pomyślała Henrietta — to zupełnie co innego niż spacer z Edwardem. Z Edwardem człowiek snuje się bez celu. Podczas spaceru z Johnem z trudem wytrzymywała narzucone przez niego tempo.

Kiedy doszli do Shovel Down, zdyszana Henrietta powiedziała:

— To nie maraton!

John zwolnił i roześmiał się.

— Jesteś zmęczona?

— Wytrzymam, ale czy muszę? Nie spieszmy się do pociągu. Skąd masz tyle energii? Chcesz uciec przed samym sobą?

John zatrzymał się.

— Dlaczego tak mówisz?

Henrietta spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— Nie miałam na myśli nic szczególnego.

John znów ruszył przed siebie, ale już znacznie wolniej.

— Szczerze mówiąc — powiedział — jestem zmęczony. Bardzo zmęczony.

W jego głosie słychać było znużenie.

— Jak się czuje pani Crabtree?

— Jeszcze za wcześnie, żeby mieć pewność, ale zdaje mi się, że jestem na dobrym tropie. Jeśli mam rację — powiedział, przyspieszając kroku — to wiele poglądów trzeba będzie zrewidować. Będziemy musieli na nowo przyjrzeć się problemowi wydzielania hormonów...

— Czy to znaczy, że choroba Ridgewaya będzie uleczalna? Ludzie nie będą umierali?

— Tak, ale to mniej ważne.

Lekarze to dziwni ludzie — pomyślała Henrietta. — Mniej ważne!

— Z naukowego punktu widzenia otwiera się przed nami mnóstwo nowych możliwości! — Głośno wciągnął powietrze. — Jak tu przyjemnie! Można zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Miło cię widzieć — powiedział i uśmiechnął się. — Gerdzie też dobrze to robi.

— Gerda, rzecz jasna, uwielbia odwiedzać The Hollow.

— Oczywiście, że tak. Nawiasem mówiąc, czy ja już spotkałem Edwarda Angkatella?

— Dwa razy — odparła krótko Henrietta.

— Nie przypominam sobie. Jest taki jakiś... nijaki.

— Jest kochany. Zawsze bardzo go lubiłam.

— Nie traćmy czasu na Edwarda! Ci ludzie się nie liczą.

— Czasem — szepnęła Henrietta — boję się o ciebie.

— Boisz się o mnie? O co ci chodzi? — Odwrócił się ku niej zaskoczony.

— Jesteś taki niewrażliwy i... ślepy.

— Ślepy?

— Nie wiesz... Nie widzisz... Jesteś dziwnie niewrażliwy! Nie masz pojęcia, co czują i co myślą inni ludzie.

— Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

— Wiesz tylko, na co patrzysz. Jesteś jak... latarka. Kierujesz mocne światło na przedmiot, który cię interesuje, ale wokół panuje ciemność!

— Henrietta, kochanie, co to ma znaczyć?

— To jest niebezpieczne, John. Zakładasz, że wszyscy cię lubią i życzą ci jak najlepiej. Na przykład Lucy.

— Czyżby mnie nie lubiła? — spytał zdziwiony. — Ja zawsze darzyłem ją serdecznym uczuciem.

— Dlatego zakładasz, że i ona cię lubi. Ale ja wcale nie jestem taka pewna. A Gerda i Edward, i Midge, i Henry? Jak sądzisz, co do ciebie czują?

— A Henrietta? Czy wiem, co do mnie czuje? — Na moment ujął ją za rękę. — Przynajmniej cię mogę być pewien.

Cofnęła dłoń.

— Na tym świecie nikogo nie można być pewnym. John spowaźniał.

— Nie wierzę w to. Jestem pewien cię i siebie samego. Przynajmniej... — Wyraz jego twarzy zmienił się nagle.

— Co się stało?

— Wiesz, co sobie wczoraj powtarzałem w myślach? Całkiem nieoczekiwanie dla mnie samego? Coś dziwnego: „Chcę do domu”. Powtarzałem to, ale nie mam pojęcia, o co mi chodziło.

— Musiałeś coś sobie wyobrazać... — powiedziała ostrożnie Henrietta.

— Nic. Zupełnie nic — odparł sucho.

Przy kolacji Henriettę posadzono obok Davida. Siedząca u szczytu stołu Lucy lekko uniosła brwi; nie był to rozkaz (Lucy nigdy nie rozkazywała), lecz błaganie.

Sir Henry ze wszystkich sił starał się uprzyjemnić wieczór Gerdzie i nieźle sobie radził. John z rozbawieniem słuchał monologu Lucy, pełnego nieoczekiwanych zmian tematu i zawitych wywodów. Midge prowadziła drętwą rozmowę z Edwardem, który był zamyślony bardziej niż zwykle.

David nerwowo kruszył chleb i przypatrywał się współbiesiadnikom. Z wielką niechęcią przyjechał do The Hol—low. Pierwszy raz widział sir Henry'ego i lady Angkatell, a ponieważ nienawidził imperium brytyjskiego, był też pełen potępienia dla swoich kuzynów. Edwardem, którego nie znał, pogardzał, mając go za dyletanta. Teraz krytycznym okiem obserwował czwórkę pozostałych gości.

Midge i Henrietta mają pusto w głowach. Doktor Christow to jeden z tych szarlatanów z Harley Street; wszystko, co ma, to dobre maniery i wysoka pozycja społeczna. Jego żona wcale się nie liczy.

David poruszył szyją, uwięzioną w sztywnym kołnierzyku. Chętnie powiedziałby im wszystkim, jak lekce sobie ich waży. Nie ma tu nikogo, z kim warto byłoby się liczyć.

Powtórzył to sobie trzy razy i poczuł się lepiej. Nadal przyglądał się wszystkim z wrogością, ale chleb zostawił w spokoju.

Henrietta chciała spełnić polecenie lady Angkatell, ale napotkała spore trudności. Krótkie odpowiedzi Davida były bardzo niegrzeczne. W końcu musiała się uciec do metody, którą zdarzało się jej stosować w kontakcie z małomównymi młodymi ludźmi. Wiedząc, że David zna się dość dobrze na muzyce i technice, celowo wypowiedziała dogmatyczną i nieuzasadnioną opinię o współczesnym kompozytorze.

Z rozbawieniem stwierdziła, że jej plan się powiódł. David wyprostował się, przestał kruszyć chleb i zaczął mówić głośno i wyraźnie.

— To dowodzi — powiedział mierzając Henriettę chłodnym spojrzeniem — że nie ma pani zielonego pojęcia o muzyce.

Do końca kolacji pouczał ją, nie szczędząc uszczypliwości; Henrietta słuchała go z pokorą.

Lucy Angkatell posłała jej łaskawe spojrzenie. Midge uśmiechała się pod nosem.

— Jesteś bardzo sprytna, kochanie — szepnęła lady Angkatell, wsuwając dłoń pod ramię Henrietty, gdy szły po kolacji do salonu. — To straszne! Gdyby ludzie mieli nieco mniej w

głowach, wiedzieliby może, co robić z rękami. Jak sądzisz, co powinnam zaproponować? Brydża, remika czy coś prostego, na przykład kierki?

— Obawiam się, że David czuje się urażony, jeśli proponujemy mu kierki.

— Chyba masz rację. W takim razie brydż. Z pewnością uznaje tę grę za bezwartościową, damy mu więc jeszcze jeden powód, żeby mógł nami gardzić.

Ustawiono dwa stoliki. Henrietta grała z Gerdą przeciwko Johnowi i Edwardowi. Jej zdaniem pary nie zostały dobrze dobrane. Henrietta chciała oddzielić Gerdę od Lucy i oddzieliłaby ją również od Johna, ale John się uparł. Edward przyłączył się do nich, uprzedzając Midge.

Zdaniem Henrietty atmosfera nie była przyjemna, ale nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego. Chcąc uczynić wieczór przyjemniejszym, postanowiła zrobić wszystko, żeby Gerda wygrała. Gerda nieźle grała w brydża. Gdyby przy stoliku nie było Johna, byłaby nawet dobra, w obecności męża jednak grała nerwowo i nie potrafiła właściwie ocenić karty. John był dobrym graczem, chociaż czasem wykazywał nadmierną pewność siebie. Edward grał bardzo dobrze.

Czas mijał, a przy stoliku Henrietty nadal rozgrywano tego samego robra. Zapis wydłużał się. Atmosfera była napięta i tylko jedna osoba nie zdawała sobie z tego sprawy.

Dla Gerdy był to całkiem zwykły rober, który — z niewiadomego powodu — sprawił jej dużo przyjemności. Była przyjemnie podniecona. W najtrudniejszych decyzjach Henrietta spieszyła jej z pomocą, przelicytowując i grając z ręki. Kiedy John stracił panowanie nad sobą, skrytykował żonę, mówiąc:

— Co ci przyszło do głowy, żeby wyjść waletem?

To sprawiło, że Gerda straciła całą pewność siebie, Henrietta powiedziała:

— Nie masz racji, John. Oczywiście, że Gerda musiała wyjść waletem! Nie miała wyboru.

W końcu Henrietta z westchnieniem przysunęła do siebie zapiski.

— Zrobiłyśmy robra, obawiam się jednak, że wygrałyśmy niewielką przewagą, Gerdo.

— Miałyście szczęście — powiedział z uśmiechem John. Henrietta spojrzała na niego podejrzliwie. Znała ten ton głosu. Napotkawszy jego spojrzenie, zmrużyła powieki. Wstała i podeszła do kominka. John poszedł za nią.

— Mam nadzieję, że nie zawsze zaglądasz przeciwnikowi w karty? — spytał spokojnie.

— Zdaje mi się, że byłam nieostrożna. To okropne, że człowiek tak bardzo chce wygrywać — odparła nie zmieszana.

— Mam wrażenie, że chciałaś, żeby Gerda wygrała tego robra. Jesteś gotowa oszukiwać, żeby tylko sprawić innym przyjemność.

— To, co mówisz, brzmi bardzo nieprzyjemnie; ale masz rację, jak zwykle.

— Mój partner chciał tego samego, co ty.

Więc jednak zauważył — pomyślała Henrietta. Nie była pewna, czy się nie myli. Edward był bardzo sprytny i nie miała żadnego dowodu. Raz źle licytował. Innym razem wyszedł poprawnie, podczas gdy mniej oczywiste posunięcie zapewniłoby mu sukces.

Henrietta była zmartwiona. Edward nigdy nie starał się grać tak, żeby wygrała Henrietta. Był na to zbyt uczciwy i obdarzony prawdziwie angielskim zamiłowaniem do sportu. Nie — myślała — Edwardowi chodziło o to, żeby John Christow nie odniósł sukcesu. Poczula niepokój. Nie podobał się jej ten wieczór.

Niespodziewanie, poruszając się tak, jakby wkraczała na scenę, do pokoju weszła z tarasu Veronica Cray. Jej wejście wywarło na zebranych wielkie wrażenie.

Drzwi na taras były przymknięte, ale nie całkiem, ponieważ wieczór był ciepły. Veronica popchnęła je, weszła do środka i stanęła na tle nocnego nieba uśmiechnięta, nieco zażenowana, urocza; odczekała ułamek sekundy, jakby chciała się upewnić, czy wszyscy na nią patrzą, po czym powiedziała:

— Musicie mi wybaczyć, że wdzieram się tu tak nieoczekiwanie. Jestem pani sąsiadką, lady Angkatell. Mieszkam w tej dziwacznej willi, Dovecotes. Przytrafiła mi się prawdziwa katastrofa — uśmiechnęła się szeroko; było oczywiste, że żartuje. — Nie mam zapalek! Ani jednej! I to w sobotę wieczór. Co za bezmyślność z mojej strony! Cóż robić? Przyszłam tutaj błagać o pomoc moich jedynych sąsiadów na tym odludziu.

Przez moment wszyscy milczeli; Veronica zawsze tak działała na ludzi. Była piękna; nie bardzo piękna, nie zachwycająco piękna, ale piękna tak skutecznie, że zapierało człowiekowi dech w piersiach. Na ramiona spływały jej fale lśniących, platynowych włosów, usta miała miękkie; była ubrana w narzutkę ze srebrnych lisów i długą suknię z białego aksamitu. Spoglądała po nich, na każdym zatrzymując wzrok na krótką chwilę, rozbawiona, dowcipna.

— A ja palę — powiedziała. — Jak komin! Do tego, popsuła mi się zapalniczka. Na śniadanie trzeba też coś ugotować, zapalić kuchenkę gazową... — Rozłożyła ręce. — Nie mogę sobie wybaczyć tej bezmyślności.

Lucy podeszła do gościa urocza, rozbawiona.

— Oczywiście... — zaczęła, ale Veronica Cray natychmiast jej przerwała.

Patrzyła na Johna Christowa. Na jej twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia, nieoczekiwanej radości... Postąpiła ku niemu kilka kroków, wyciągając ramiona.

— Ależ to... John! John Christow! Czyż to nie cudowne? Nie widziałam cię całe wieki! I nagle tutaj... Teraz!

Ujęła jego twarz w dłonie. Biło od niej przyjacielskie ciepło i wielka radość. Odwróciła lekko głowę ku lady Angkatell.

— To najcudowniejsza niespodzianka pod słońcem. John jest moim starym przyjacielem. Co ja mówię! Był moją pierwszą miłością. Szalałam za tobą, John!

Mówiła to ze śmiechem, jak pierwsza lepsza kobieta, wspominająca swoją pierwszą miłość.

— Zawsze twierdziłam, że John jest cudowny!

Sir Henry, uprzejmy i dystyngowany, podszedł do Veroniki. zaproponował coś mocniejszego dla uczczenia tej chwili. Podał kieliszki.

— Midge, kochanie, zadzwon na służbę — powiedziała lady Angkatell.

Kiedy przyszedł Gudgeon, poleciła:

— Przynieś mi pudełko zapalek! Mam nadzieję, że kucharka ma zapas?

— Dzisiaj kupiliśmy tuzin paczek, proszę pani.

— W takim razie przynieś sześć pudełek.

— Ależ nie, lady Angkatell! Jedno w zupełności wystarczy — zaprotestowała ze śmiechem Veronica. Z kieliszkiem w dłoni, rozdawała uśmiechy.

— Veronico, to moja żona — powiedział John Christow.

— Miło mi panią poznać. — Veronica uśmiechnęła się do zakłopotanej Gerdy.

Gudgeon przyniósł pudełka z zapalnikami, ułożone na srebrnej tacy. Lady Angkatell wskazała na Veronicę; Gudgeon podał zapalniczki aktorce.

— Ależ lady Angkatell, nie mogę wziąć wszystkich! Lucy zbyła te słowa gestem iście królewskim.

— To męczące mieć czegoś zbyt mało. Mamy tu dość zapalek; możemy sobie pozwolić na uszczuplenie zapasów.

— Jak się pani mieszka w Dovecotes? — spytał uprzejmie sir Henry.

— Cudownie. Bardzo blisko Londynu, a takie tu odludzie! Veronica odstawiła kieliszek, otuliła się futrem ze srebrnych lisów i uśmiechnęła.

— Serdecznie dziękuję! Jestem szczerze wdzięczna — mówiła do sir Henry'ego, lady Angkatell i (nie wiadomo dlaczego) do Edwarda. — Zabieram swój łup i wracam do domu. John — uśmiechnęła się przyjaźnie — musisz mnie odprowadzić. Umieram z ciekawości. Co



porabiałeś przez te wszystkie lata, kiedy się nie widzieliśmy? Myśląc o tym, czuję się strasznie stara.

Ruszyła do drzwi wychodzących na taras. John Christow poszedł za nią. Veronica odwróciła się jeszcze i obdarzyła wszystkich promiennym uśmiechem.

— Strasznie mi przykro, że państwu przeszkodziłam. Bardzo dziękuję, lady Angkatell.

Wyszła z Johnem. Sir Henry podszedł do okna.

— Ciepłą noc mamy dzisiaj — powiedział. Lady Angkatell ziewnęła.

— Czas się kłaść spać — powiedziała. — Henry, musimy się wybrać do kina i zobaczyć ją w filmie. Sądząc po dzisiejszym występie, jest doskonałą aktorką.

Poszli na górę. Midge najpierw życzyła Lucy dobrej nocy, potem spytała:

— Sądzisz, że to było przedstawienie?

— Jesteś innego zdania, kochanie?

— Zdaje się, Lucy, że twoim zdaniem w Doyecotes nie zabrakło zapalek?

— Podejrzewam, że ma tam duży zapas, kochanie. Ale trzeba być miłosiernym. Poza tym, przedstawienie rzeczywiście było bardzo udane.

W korytarzu zamykały się drzwi sypialni; ściszone głosy życzyły sobie dobrej nocy.

— Nie będę zamykał drzwi na taras, żeby Christow mógł wrócić — powiedział sir Henry.

Henrietta mówiła do Gerdy:

— Aktorki są śmieszne. Wchodzą i wychodzą tak, że nie można oderwać od nich wzroku.

— Ziewnęła i dodała: — Jestem strasznie śpiąca.

Veronica Cray szła szybkim krokiem wąską ścieżką, prowadzącą przez kasztanowy las. Na otwartą przestrzeń wyszła dopiero koło basenu. Stał tam niewielki pawilon, w którym Angkatellowie siadywali w słoneczne, ale wietrzne dni.

Veronica Cray trwała bez ruchu. Potem stanęła twarzą w twarz z Johnem Christowem.

— To nie to samo, co Morze Śródziemne, prawda, John? — spytała.

John wreszcie zrozumiał, na co ostatnio czekał. Wiedział już, że mimo piętnastu lat rozłąki Veronica zawsze była z nim. Błękitne morze, zapach mimozy, rozgrzany piasek — odepchnięte, ukryte, ale nigdy nie zapomniane znaczyły jedno: Veronica. Znów był młodym, dwudziestoczteroletnim mężczyzną, rozpaczliwie zakochanym, tym razem nie miał zamiaru uciekać.

## IX

John Christow wyszedł z kasztanowego lasku na zielone wzniesienie obok domu. Księżyc już wzeszedł i oświetlał dom bladym światłem. Pozasłaniane okna wyglądały dziwnie niewinnie. John spojrzął na zegarek. Była trzecia. Głęboko zaczerpnął powietrza; był niespokojny. Nie przypominał już zakochanego dwudziestoczwololatka. Był sprytnym, praktycznym czterdziestolatkiem; umysł miał jasny i spokojny.

Zachował się jak dureń, ale nie żałował tego. Teraz — pomyślał — jestem wreszcie panem samego siebie. Czuł się tak, jakby przez te wszystkie lata ciągnął kamień uwiązany do nogi, a teraz został od niego uwolniony.

Był wolny i był sobą — Johnem Christowem. Wiedział z niezachwianą pewnością, że dla Johna Christowa, specjalisty z Harley Street, Veronica Cray nic nie znaczy. Veronica nie chciała go opuścić tylko dlatego, że nigdy nie rozwiązał konfliktu z przeszłości; miał poczucie, że uciekł. Dzisiaj wieczorem przyszła do niego jakby prosto z marzeń. Przywitał to spełnione marzenie z otwartymi ramionami i, dzięki Bogu, został uwolniony. Wrócił do terażniejszości. Była trzecia nad ranem; bał się, że nieźle narozrabiał.

Spędził z Veronicą trzy godziny. Jak fregata wypłynęła nagle z ciemności, porwała go z kręgu znajomych i uniosła jak swoją zdobycz; ciekawe, co inni o tym myślą. Na przykład Gerda. A Henrietta? (Po prawdzie Henrietta niezbyt się martwił. Wiedział, że wszystko jej wytłumaczy. Ale nie Gerdzie.)

Nie chciał tracić nic z tego, co ma. Przez całe życie podejmował ryzyko: wybierając pacjentów, decydując się na leczenie, dokonując inwestycji finansowych. Ryzyko nigdy nie było wielkie, ale zawsze wykraczało poza granice bezpieczeństwa.

Gdyby Gerda się domyśliła... Gdyby zaczęła podejrzewać...

Czy będzie podejrzliwa? Co właściwie John wie o Gerdzie? Zazwyczaj wierzyła, że czarne jest białe, jeśli on tak powiedział. Jednak tym razem...

Jak wyglądał, kiedy wychodził na taras, krocząc za wysoką, zwycięską Veronicą? Co było widać na jego twarzy? Czy inni zobaczyli w nim zdumionego, zakochanego chłopaka? Czy tylko mężczyznę czyniącego zadość zasadom dobrego wychowania? Nie wiedział. Nie miał zielonego pojęcia.

Bał się... Chciał zachować ład, prostotę i wygodę swojego dotychczasowego życia. Oszalałem, całkiem zwariowałem — myślał. To przynosiło mu ulgę. Nikomu chyba nie przyjdzie do głowy, że zwariował aż do tego stopnia.

Wyglądało na to, że wszyscy już śpią. Specjalnie dla niego drzwi na taras zostawiono otwarte. Jeszcze raz spojrzął na niewinny, uśpiony dom. Nie wiadomo dlaczego pomyślał, że jest zbyt niewinny.

Nagle podskoczył. Usłyszał — albo zdawało mu się, że słyszał — ciche stuknięcie zamykanych drzwi.

Odwrócił się. Czyżby ktoś śledził go koło basenu i teraz wrócił za nim do domu? Gdyby ktoś czekał i szedł za nim, mógł przejść górą i wejść do ogrodu boczną furtką, a dźwięk, który słyszał, mógł być odgłosem zamykanej furtki. Spojrzął na okna. Czy zasłonka rzeczywiście się poruszyła? Czy ktoś ją odchylił, żeby wyrzeć? To pokój Henrietty!

Henrietta! Tylko nie ona — wołał jakiś wewnętrzny głos. — Nie mogę stracić Henrietty!

Miał ochotę rzucić w jej okno kamykami i zawołać:

„Wyjdź do mnie, kochana. Pójdziemy do lasu na Shovel Down; opowiem ci. Powiem wszystko, co o sobie wiem, żebyś ty też to wiedziała, jeśli jeszcze nie wiesz”.

Chciał jej powiedzieć:

„Zaczynam od nowa. Dzisiaj rozpocząłem nowe życie. To, co mi przeszkadzało żyć, zostało za mną. Miałaś rację, pytając mnie dzisiaj, czy uciekam przed samym sobą. Tak

właśnie było. Nie wiedziałem, czy zostawienie Veroniki było dowodem mojej siły, czy słabości. Bałem się siebie, życia, ciebie...”

Gdyby tylko mógł obudzić Henriettę i zabrać ją ze sobą; pójść do lasu i przyglądać się razem z nią wschodzącemu słońcu.

Zwariowałeś — powiedział do siebie. Zadrżał, zrobiło mu się zimno. Był już przecież koniec września.

Co się z tobą dzieje? — pytał sam siebie. — Dość tego szaleństwa! Będziesz miał wielkie szczęście, jeśli uda ci się wyjść z tego bez szwanku. Co pomyśli Gerda, jeśli spędzisz noc poza domem i wrócisz dopiero o świcie?

Co pomyślą Angkatellowie? Akurat tym nie martwił się zbyt. W rodzinie Angkatellów rządzi Lucy, a tej wszystko, co niezwykle, zawsze wydaje się całkiem oczywiste.

Niestety, Gerda nie należy do rodziny Angkatellów. Z Gerda trzeba będzie coś zrobić i to jak najszybciej. A jeśli to Gerda go śledziła?

Nieprawda, że nikt by się do tego nie poniżył. John był lekarzem i doskonale wiedział, co robią rozsądni, wrażliwi, wymagający, honorowi ludzie. Podśluchują pod drzwiami, otwierają cudze listy, szpiegują i węszą. Nie dlatego, żeby pochwalali takie zachowanie; kieruje nimi ludzki strach, doprowadzający ich na skraj szaleństwa.

Nieszczęśni — pomyślał. — Biedni, cierpiący śmiertelnicy. John Christow znał się na ludzkim cierpieniu. Nie potrafił współczuć słabości, ale cierpieniu — tak, ponieważ —dobrze o tym wiedział — najbardziej cierpią ludzie silni. Gdyby Gerda wiedziała...

Bzdura — przekonywał sam siebie. — Skąd miałyby się dowiedzieć? Na pewno już dawno się położyła i śpi jak suseł. Gerda była pozbawiona wyobraźni.

Podszedł do wejścia, zapalił lampę i zamknął za sobą drzwi na klucz. Potem zgasił światło, wyszedł z salonu, namacał kontakt w przedpokoju i szybko wszedł na górę. Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami sypialni z ręką na klamce; potem nacisnął ją i wszedł do środka.

W pokoju było ciemno. Słychać było równy oddech Gerdy. Poruszyła się lekko, kiedy zamykał drzwi.

— To ty, John? — spytała; mówiła niewyraźnie, jak człowiek nagle zbudzony z głębokiego snu.

— Tak.

— Jest już chyba bardzo późno? Która godzina?

— Nie mam pojęcia — odparł ucieszony. — Przepraszam, że cię obudziłem. Zmusiła mnie, żebym wszedł do środka i wypił z nią lampkę wina.

Specjalnie mówił jak człowiek znudzony i śpiący.

— Tak? — mruknęła Gerda. — Dobranoc, John. Usłyszał szelest prześcieradła, kiedy obracała się na drugi bok.

Wszystko w porządku! Jak zwykle, szczęście mu dopisało. Jak zwykle... Ta myśl otrzeźwiła go na moment. Rzeczywiście, często musiał zdawać się na łut szczęścia. Wiele razy zaciskał pięści, powtarzając sobie: „Jeśli mi się nie uda...” Ale zawsze się udawało! Kiedyś jednak szczęście może go opuścić...

Rozebrał się szybko i wskoczył do łóżka. Szczęście to ciekawa rzecz. „Ta, która jest nad twoją głową i ma nad tobą władzę...” Veronica! Rzeczywiście, miała nad nim władzę.

Ale teraz z tym skończyłem! — pomyślał z jakąś dziką satysfakcją. — To koniec! Pozbyłem się ciebie!

## X

Nazajutrz John zszedł na dół dopiero o dziesiątej. Jego śniadanie czekało na kredensie w jadalni. Gerda zjadła śniadanie w łóżku. Była nieszczęśliwa; czuła, że sprawia kłopot.

— Bzdura — powiedział John. — Ludzie tacy jak Angkatellowie, których jeszcze dzisiaj stać na trzymanie lokajów i służby, mają prawo czegoś od nich wymagać.

Był dla Gerdy bardzo miły. Rozdrażnienie, które sprawiało, że ostatnio był nieuprzejmy i niewyrozumiały, nagle go opuściło.

Lady Angkatell powiedziała Johnowi, że sir Henry i Edward poszli postrzelać. Ona sama zajęła się pracą w ogrodzie. Miała na sobie rękawice robocze, a w dłoni trzymała koszyk. John porozmawiał z nią chwilę. Potem podszedł do niego Gudgeon, niosąc na srebrnej tacy list.

— Przed chwilą go przyniesiono.

John uniósł brwi i wziął list do ręki. Veronica!

Przeszedł do biblioteki i otworzył kopertę.

*Przyjdź dzisiaj rano. Muszę się z tobą zobaczyć. Veronica.*

Władca jak zawsze — pomyślał. Nie miał zamiaru iść do niej. Potem uznał, że jednak lepiej będzie jak najszybciej wyjaśnić sytuację, i postanowił pójść do niej natychmiast.

Wybrał ścieżkę biegnącą pod oknem biblioteki; minął basen, przy którym zbiegały się wszystkie dróżki: jedna biegnąca z góry, z lasu, druga z ogródka kwiatowego za domem, trzecia z zagrody i czwarta prowadząca do drogi; tędy właśnie poszedł John. Wystarczyło przejść kilkaset metrów drogą, żeby dojść do willi zwanej Dovecotes.

Veronica czekała na niego. Stała w oknie pretensjonalnego, drewnianego domu.

— Wejdz, John. Ranek jest chłodny.

W kominku płonął ogień. Salon był umeblowany sprzętami w kolorze kremowym; poduszki miały kolor cyklamenu.

Przyglądając się jej w świetle dnia John stwierdził, że Veronica nie jest już tą samą dziewczyną, którą pamięta; wczoraj tego nie widział. Prawdę mówiąc — myślał — jest jeszcze piękniejsza niż wtedy. Była świadoma swojej urody, dbała o nią i umiała ją podkreślać. Włosy, dawniej złociste, teraz miały kolor platyny. Również brwi się zmieniły, dodając wyrazistości jej spojrzeniu.

Jej uroda nigdy nie była niewinna i słodka. Przypomnił sobie, że Veronicę zaliczano do grona aktorek typu intelektualnego. Skończyła studia i miała własne zdanie na temat Strindberga i Szekspira.

Zwrócił uwagę na coś, co kiedyś dostrzegał bardzo mgliście: była kobietą niesłuchanie egoistyczną. Veronica zwykła była stawiać na swoim. Czuł, że w tym pięknym ciele kryje się upór nie znoszący sprzeciwu.

— Posłałam po ciebie — powiedziała Veronica, podając mu papierosy — ponieważ musimy porozmawiać. Trzeba wszystko ustalić. Mam na myśli naszą przyszłość.

Wziął papierosa i zapalił.

— Mamy przed sobą jakąś przyszłość? — spytał uprzejmie. Spojrzała na niego surowo.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Oczywiście, że tak. Straciliśmy piętnaście lat. Nie możemy dłużej czekać.

John usiadł.

— Przykro mi, Veronica; zdaje się, że źle mnie zrozumiałaś. Nieoczekiwane spotkanie z tobą było bardzo przyjemne, ale każde z nas ma swoje życie. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

— Bzdura, John. Kocham cię i ty mnie kochasz. Zawsze się kochaliśmy! Dawniej byłeś bardzo uparty, ale teraz to bez znaczenia. Dzisiaj wszystko da się jakoś ułożyć. Nie

zamierzam wracać do Stanów. Kiedy skończę film, w którym teraz gram, wystąpię na scenie w Londynie. Dostałam cudowną rolę. Elderton napisał ją specjalnie dla mnie. Odniosę tu sukces.

— Nie wątpię — powiedział uprzejmie.

— Ty możesz nadal być lekarzem — mówiła ugodowym głosem Veronica. — Słyszałam, że jesteś sławny.

— Drogie dziecko, ja jestem żonaty. Mam dzieci.

— Chwilowo ja również jestem mężatką — powiedziała Veronica — ale wszystko to można szybko załatwić. Wystarczy zatrudnić dobrego prawnika. — Uśmiechnęła się promiennie. — Zawsze chciałam za ciebie wyjść, kochanie. Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo cię kocham, ale nic na to nie poradzę.

— Przykro mi, Veronica, ale dobry prawnik tu nie pomoże. Moje życie nie ma z twoim nic wspólnego.

— Mimo wczorajszej nocy?

— Nie jesteś dzieckiem, Veronica. Miałaś dwóch mężów i, jak głosi wieść, kilku kochanków. Czy jedna noc ma w ogóle znaczenie? Wiesz najlepiej, że nie.

— Kochany John — powiedziała rozbawiona. — Gdybyś mógł zobaczyć swoje minę wczoraj, w tym dusznym pokoju! Byłeś taki sam jak w San Miguel!

John westchnął.

— To nie jest San Miguel — powiedział. — Spróbuj mnie zrozumieć. Wróciłaś do mnie z przeszłości. Wczoraj ja również żyłem przeszłością, ale dzisiaj jest inaczej. Jestem o piętnaście lat starszy. Zmieniłem się. Obawiam się, że wcale bym ci się nie spodobał, gdybyś mnie poznała takim, jakim jestem dzisiaj.

— Wolisz swoją żonę i dzieci niż mnie? — spytała szczerze zdumiona.

— Może wyda ci się to dziwne, ale tak.

— Bzdura, John. Ty mnie kochasz.

— Przykro mi, Veronica.

— Nie kochasz mnie? — spytała, nie wierząc własnym uszom.

— Chyba najlepiej zrobię, jeśli powiem to wyraźnie. Jesteś wyjątkowo piękną kobietą, Veronica, ale ja ciebie nie kocham.

Siedziała nieruchomo jak figura z wosku. John poczuł się nieswojo.

— Kim ona jest? — spytała Veronica z wściekłością.

— Ona? O kogo ci chodzi?

— O tę kobietę, z którą stałeś wczoraj przy kominku. Henrietta — pomyślał. — Skąd ona wie o Henriecie?

— O kim ty mówisz? O Midge Hardcastle?

— Midge? Zdaje się, że to ta kanciasta, ciemnowłosa dziewczyna? Nie, nie o nią mi chodzi. I nie o twoją żonę. Mam na myśli tę bezczelną diabolicę, która stała wczoraj przy kominku. To przez nią mnie odtrąciłeś! Nie udawaj, że ze względu na żonę i dzieci! To przez taką kobietę! — Wstała i podeszła do Johna. — Nie rozumiesz, że od osiemnastu miesięcy, od kiedy wróciłam do Anglii, nie przestaję o tobie myśleć? Jak sądzisz, po co kupiłam tę głupią willę? Tylko dlatego, że dowiedziałam się, iż dni wolne od pracy często spędzasz u Angkatellów.

— Więc z góry zaplanowałaś to, co stało się wczoraj?

— Jesteś mój, John. Na zawsze.

— Nie jestem niczyją własnością, Veronica. Życie cię jeszcze nie nauczyło, że nie możesz posiadać drugiego człowieka na własność? Kochałem cię, kiedy byłem młody. Chciałem dzielić z tobą życie, ale ty wybrałaś własną drogę.

— Moje życie i moja kariera były ważniejsze od tego, co ty robiłaś. Każdy może być lekarzem!

— Czy rzeczywiście jesteś aż tak cudowna, jak sądzisz? — zirytował się John.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie wspięłam się na sam szczyt? Zrobię to! Zobaczysz! John Christow patrzył na nią z zainteresowaniem, ale bez miłości.

— Nie sądzę. Czegoś ci brak, Veronica. Ciągłe garniesz do siebie... Brak ci hojności. Veronica wstała.

— Odrząciłeś mnie piętnaście lat temu — powiedziała spokojnie. — Dzisiaj robisz to samo. Jeszcze tego pożałujesz.

John również wstał i podszedł do drzwi.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem. Jesteś śliczna, moja droga; kiedyś cię kochałem. Może na tym poprzestańmy?

— Do widzenia, John. Nie poprzestaniemy na tym, jeszcze się przekonasz. Nienawidzę cię tak bardzo... Nie wiedziałam, że potrafię tak nienawidzić.

Wzruszył ramionami.

— Przykro mi. Do widzenia.

John odszedł przez las. Dotarł do basenu i usiadł na ławce. Nie było mu żal, że potraktował Veronicę tak brutalnie. Veronica — myślał — jest złym człowiekiem. Zawsze taka była. Miał szczęście, że w porę od niej uciekł. Bóg jeden raczy wiedzieć, co by się z nim stało, gdyby od niej wtedy nie odszedł.

Miał cudowne poczucie, że zaczyna życie na nowo, wreszcie uwolniony od przeszłości. Przez ostatnie dwa lata trudno było z nim wytrzymać. Biedna Gerda — pomyślał. — Taka oddana, gotowa zrobić wszystko, żeby mi się przypodobać. Teraz będzie dla niej lepszy.

Może nie będzie taki bezwzględny dla Henrietty? Chociaż ona nigdy nie dawała sobie dmuchać w kaszę; to nie w jej stylu. Nawet w najbardziej dramatycznych chwilach Henrietta potrafiła zachować spokój i patrzyła na świat z dystansem.

Pójdę do Henrietty, opowiem jej o wszystkim — pomyślał.

Nagle podniósł głowę. Zaniepokoił go jakiś dźwięk. Daleko, na górze, ktoś strzelał; słychać było też normalne odgłosy leśnego życia: ptaki, szelest opadających liści. Ale ten dźwięk był inny. Bardzo wyraźny trzask.

John poczuł strach. Jak długo tu siedzi? Pół godziny? Godzinę? Ktoś go obserwuje. Ktoś...

Ten trzask... to był... oczywiście!

Odwrócił się raptownie, ale było już za późno. Ze zdumienia szeroko otworzył oczy, ale nie zdążył wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Padł strzał i John osunął się na brzeg basenu. Z lewej strony jego ciała pojawiła się szybko rosnąca, ciemna kałuża. Krew spływała po betonowym obramowaniu basenu i powoli kapiała do wody.

## XI

Herkules Poirot strzepnął z buta ostatni pyłek. Przed wyjściem na proszony obiad starannie wybrał ubranie. Był z siebie zadowolony. Dobrze wiedział, co się nosi w niedzielę na angielskiej wsi, ale nie zamierzał ulegać tutejszym zwyczajom. Wolał trzymać się swoich zasad. Nie jest Anglikiem. Jest Herkulesem Poirot!

W skrytości ducha przyznawał, że nie lubi wsi. Jego przyjaciele często wychwalali uroki wypoczynku w wiejskiej willi i w końcu uległ modzie, kupił sobie Resthaven, mimo że jedyną rzeczą, która mu się w tej posiadłości podobała, był prostokątny kształt domu. Okolica nie interesowała go w najmniejszym nawet stopniu, chociaż wiedział, że uchodzi za piękną. Była jednak zbyt niesymetryczna, żeby mogła mu się spodobać. Drzew nigdy nie lubił; zawsze panuje wokół nich nieporządek; szczególnie w okresie, kiedy gubią liście. Nie denerwowały go tylko topole, lubił araukarie; bujne buki i dęby nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Takie widoki najlepiej jest podziwiać w ciepłe popołudnie z okna samochodu. Można zawołać: „*Quel beau paysage!*” i wrócić na noc do dobrego hotelu.

W Resthaven — pomyślał — najlepszy jest warzywnik, podzielony przez Victora, belgijskiego ogrodnika, na równe grządki. Francoise, żona Victora, robi wszystko, żeby dogodzić podniebieniu swojego pracodawcy.

Herkules Poirot przeszedł przez furtkę, westchnął, jeszcze raz spojrzął na swoje lśniące czarne buty, poprawił jasnoszary kapelusz i spojrzął przed siebie.

Kiedy jego wzrok padł na dom, lekko zadrżał. Dovecotes i Resthaven zostały zbudowane przez rywalizujących ze sobą sąsiadów. Każdy z nich kupił sobie kawałek ziemi. Ich pomysłowość powściągnął urząd National Trust, dbający o zachowanie urokliwego krajobrazu. Dwa domy reprezentowały dwie szkoły. Resthaven przypominało pudło z dachem, było bardzo nowoczesne i dość surowe. Dovecotes było miniaturą wiejskiej siedziby z dawnych czasów, ściśnięte na nader skromnej przestrzeni.

Herkules Poirot zaczął się zastanawiać, którą ścieżkę wybrać. Wiedział, że nieco dalej od drogi odchodzi ścieżka zamknięta małą furtką. Doszedłby tamtędy do bocznego wejścia, ale do głównego miał znacznie dalej. Herkules Poirot, zawsze przestrzegający etykiety, postanowił pójść tą drugą drogą.

Pierwszy raz szedł z wizytą do sir Henry'ego i lady Angkatell. Nie powinno się — myślał — bez zaproszenia korzystać ze skrótów; szczególnie gdy się jest gościem ludzi o wysokiej pozycji społecznej. Musiał przyznać, że zaproszenie do nich sprawiło mu przyjemność.

— *Je suis un peu snob* — mruknął pod nosem.

Mile wspominał Angkatellów, których poznał w Bagdadzie; szczególnie lady Angkatell.

*Une originale* — pomyślał.

Bardzo trafnie oszacował czas, potrzebny do przebycia drogi dzielącej jego posesję od The Hollow. Zadzwoił do drzwi dokładnie minutę przed pierwszą. Cieszył się, że wreszcie dotarł na miejsce. Czuł się nieco zmęczony. Nie lubił pieszych wędrówek.

Drzwi otworzył Gudgeon; spodobał się Poirotowi. Gościa spotkało jednak niespodziewane przyjęcie.

— Pani jest w pawilonie koło basenu. Zechce pan pójść za mną.

Angielskie zamiłowanie do spędzania czasu na świeżym powietrzu irytowało Herkulesa Poirot. Można pobłażać takim zachciankom w środku lata — myślał Poirot — ale nie we wrześniu! Dzień był wprawdzie pogodny, jednak w powietrzu czuło się wilgoć; jak zawsze o tej porze roku. Znacznie przyjemniej byłoby spędzić czas w przytulnym saloniku, najlepiej przy płonącym kominku. Niestety! Wyprowadzono go przez drzwi na taras, dalej przez opadający w dół zbocza trawnik, koło skalnego ogródka, przez niewielką furtkę i wąską ścieżką wśród gęsto rosnących kasztanów.

Angkatellowie zwykle zapraszali gości na pierwszą. W pogodne dni podawali koktajle i sherry w małym pawilonie koło basenu. Do obiadu zasiadano o trzynastej trzydzieści. Do tego czasu nawet najbardziej niepunktualni goście zdążyli już przybyć, a kucharka lady Angkatell mogła zawsze ze spokojem podać na stół suflet i inne smakołyki, których nie można odgrzewać.

Herkulesowi Poirot nie spodobało się to.

Za chwilę — pomyślał — znajdziemy się blisko miejsca, w którym mogłem pójść na skróty.

Buty z każdym krokiem wydawały mu się coraz mniej wygodne. Nagle usłyszał przed sobą krótki krzyk. Nie wiedzieć czemu, sprawiło mu to dodatkową przykrość. Coś było nie w porządku. Nie zastanawiał się nad tym; nie był nawet świadomy, że ta myśl przemknęła mu przez głowę. Później, kiedy usiłował przypomnieć sobie tę chwilę, nie bardzo mógł sobie uprzytomnić, jakie uczucie wyrażał ten krzyk. Przerażenie? Zaskoczenie? Strach? Jedno było pewne: krzyczał ktoś, kto nie spodziewał się tego, co go spotkało.

Gudgeon pierwszy wyszedł na otwartą przestrzeń. Odsunął się na bok, żeby przepuścić Poirota, chrząknął i powiedział:

— Pan Poirot, proszę pani.

Mówił cicho, z szacunkiem; nagle zeszywniał i głośno wciągnął powietrze. Dobry lokaj nie powinien sobie pozwalać na takie zachowanie.

Kiedy Herkules Poirot wyszedł na otwartą przestrzeń koło basenu, również zeszywniał. Był niezadowolony.

Tego już za wiele! Nie spodziewałby się po Angkatellach takiego braku dobrego wychowania. Najpierw musiał przejść pieszko kawał drogi, potem spotkało go rozczarowanie przed drzwiami domu, a teraz jeszcze to! Anglicy nie mają poczucia humoru.

Poirot był niezadowolony i znudzony. Śmierć nigdy nie wydawała mu się zabawna. Zażartowano sobie z niego, przygotowując to widowisko.

Patrzył bowiem na scenę morderstwa. Na brzegu basenu w artystycznej pozie leżało ciało z szeroko rozrzuconymi ramionami; krople czerwonej farby powoli spływały do basenu. Ciało było niezwykle. Należało do przystojnego mężczyzny o jasnych włosach. Nad nim, z rewolwerem w dłoni, stała niska, mocno zbudowana kobieta w średnim wieku. Miała dziwnie nieprzenikniony wyraz twarzy.

Była jeszcze trójka innych aktorów. Po drugiej stronie basenu stała wysoka młoda kobieta o włosach brązowych jak jesienne liście; trzymała w ręce koszyk pełen dalii. Nieco z boku stał wysoki, niepozorny mężczyzna w stroju myśliwskim i ze strzelbą. Na lewo od niego stała gospodyni, lady Angkatell, z koszykiem pełnym jaj.

Herkules Poirot zrozumiał, że tutaj, przy basenie zbiega się kilka ścieżek i że każdy z tych ludzi nadszedł z innej strony. Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane i było bardzo nienaturalne.

Poirot westchnął. *Enfin*, czego się po nim spodziewają? Że uwierzy w to „morderstwo”? Przestraszy się? A może powinien się uklonić i pogratulować gospodyni? „To urocze! Przygotowała się pani do tego bardzo starannie”.

Jakie to głupie, zupełnie nie *spirituel*! Zdaje się, że to królowa Wiktoria była autorką powiedzenia: „Nie bawi nas to”. Miał ochotę powiedzieć to samo: „Herkulesa Poirot to nie bawi”.

Lady Angkatell podeszła do ciała. Poirot zrobił to samo. Za swoimi plecami słyszał ciężki oddech Gudgeona.

Jego w to nie wtajemniczyli — pomyślał.

Z dwóch stron basenu zbliżyła się dwójka pozostałych świadków tej sceny. Wszyscy stanęli, przyglądając się ciału leżącemu na brzegu basenu.



Nagle Herkules Poirot doznał takiego wrażenia, jakie się ma w kinie, zanim ostrość projektora zostanie ustawiona: scena, na którą patrzył, przez moment była jakby rozmazana, ale po chwili zobaczył ją z całą przerażającą ostrością. Bowiem mężczyzna, na którego patrzył, jeśli nawet był jeszcze żywy, to z pewnością umierał.

To nie farba spływała po betonie i kapąła do basenu, lecz krew. Mężczyzna został postrzelony, i to bardzo niedawno.

Poirot spojrzął na kobietę z rewolwerem w dłoni. Twarz miała pustą, wypraną z wszelkich emocji. Sprawiała wrażenie dość głupiej.

Ciekawe — pomyślał.

Czyżby — zastanawiał się — zabiła w sobie wszystkie emocje, wszelkie odczucia w chwili, gdy nacisnęła spust? Czy dlatego teraz, kiedy minął ten dramatyczny moment, została z niej tylko zmęczona skorupa? Możliwe — pomyślał.

Potem spojrzął na postrzelonego mężczyznę i drgnął. Umierający otworzył oczy. Były bardzo niebieskie i miały dziwny wyraz, którego Poirot nie potrafił zrozumieć; jakby mężczyzna był całkowicie przytomny.

Poirot nigdy jeszcze nie spotkał człowieka tak pełnego życia. Inni byli cieniami, drugoplanowymi aktorami; tylko umierający był w pełni żywy.

John Christow otworzył usta i przemówił. Głos miał mocny, pewny i natarczywy.

— Henrietta... — powiedział.

Potem zamknął oczy i głowa opadła mu na bok. Herkules Poirot uklęknął nad nim. Kiedy wstał, mechanicznie otrzepał spodnie.

— Tak — powiedział. — Nie żyje.

Przez moment nic nie widział, po chwili jednak znów był w pełni świadomy wszystkiego, co działo się wokół niego. Każdy po swojemu zareagował na to, co się stało. Poirot starał się wszystko widzieć i słyszeć; wszystko zapamiętać. Lady Angkatell rozluźniła chwyt na ręczce koszyka; Gudgeon szybko postąpił kilka kroków i wyjął go z ręki swojej pani.

— Pani pozwoli.

Odruchowo, całkiem naturalnie, lady Angkatell odparła:

— Dziękuję, Gudgeon.

Po krótkim wahaniu powiedziała:

— Gerda...

Kobieta z rewolwerem dopiero teraz się poruszyła. Rozejrzała się wkoło. Kiedy przemówiła, w jej głosie słychać było bezbrzeżne zdumienie.

— John nie żyje — powiedziała. — John nie żyje. Wysoka młoda kobieta z włosami w kolorze brązowych liści powiedziała do niej rozkazującym tonem:

— Daj mi to, Gerdo!

Była tak szybka i zreźna, że zanim Poirot zdążył jej przeszkodzić, wyjęła rewolwer z ręki Gerdy Christow. Poirot postąpił krok do przodu.

— Nie powinna pani tego robić...

Na dźwięk jego głosu młoda kobieta drgnęła nerwowo i rewolwer wysunął się z jej ręki, a ponieważ stała na brzegu basenu, wpadł do wody. Kobieta otworzyła usta, jęknęła z rozpaczą i spojrzała na Poirota.

— Ależ jestem głupia — powiedziała przepraszącym tonem. — Bardzo mi przykro.

Poirot przez chwilę nic nie odpowiadał, tylko patrzył w piwne oczy, wpatrujące się w niego bez zmrużenia powiek. Zaczął mieć wątpliwości, czy zrodzone nagle podejrzenie nie jest jednak zbyt pochopne.

— Nie powinniśmy niczego dotykać bez potrzeby — powiedział spokojnie. — Wszystko powinno pozostać na swoim miejscu aż do przybycia policji.

Po tych słowach ktoś się poruszył, widocznie zaniepokojony tym, co usłyszał.

— Oczywiście — mruknęła lady Angkatell z odrazą. — Chyba rzeczywiście... policja...

Mężczyzna w stroju myśliwskim odpowiedział na to spokojnie, głosem przyjemnym, ale pełnym niechęci:

— Obawiam się, Lucy, że tego nie da się uniknąć. Zapadła cisza; nagle wszyscy uświadomili sobie powagę chwili. W tej ciszy rozległy się czyjeś pewne, szybkie kroki i dobiegł ich wesoły, nieświadomy tragedii głos.

Na ścieżce prowadzącej do domu pojawili się sir Henry Angkatell i Midge, pogrążeni w wesołej rozmowie.

Sir Henry pierwszy zobaczył stojących koło basenu. Stanął jak wryty i spytał ze zdumieniem:

— O co chodzi? Coś się stało?

— Gerda... — powiedziała jego żona, ale natychmiast ugryzła się w język. — Chciałam powiedzieć, że John został...

— John został zastrzelony. Nie żyje — powiedziała bezbarwnym głosem Gerda, jakby nie mogła w to uwierzyć.

Wszyscy byli zażenowani.

— Moja kochana — powiedziała szybko lady Angkatell — powinnaś chyba pójść i... położyć się. Może wszyscy wrócimy już do domu? Henry, zostań tu z panem Poirotem do chwili przybycia policji.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się z żoną sir Henry.

— Zadzwoń na policję, Gudgeon — polecił lokajowi. — Powiedz im, co się tu wydarzyło. Kiedy przyjadą, przyprowadź ich tutaj.

— Tak, proszę pana — odparł Gudgeon, skłoniwszy głowę. Był blady, ale zachowywał się jak przystało na dobrego służącego.

— Chodź, Gerdo — powiedziała wysoka młoda kobieta. Wzięła Gerdę Christow pod rękę i poprowadziła ścieżką ku domowi. Gerda poruszała się jak we śnie. Gudgeon odsunął się, puszczając je przodem, i ruszył za nimi, niosąc koszyk pełen jaj.

— Co to ma znaczyć, Lucy? — zwrócił się do żony surowym głosem sir Henry. — Co się stało?

Lady Angkatell rozłożyła ręce; był to piękny gest, wyrażający całkowitą bezradność. Herkules Poirot nie pozostał obojętny na jego urok.

— Sama nie wiem, kochanie. Byłam w kurniku. Słyszałam gdzieś blisko strzał, ale nie zwróciłam na to uwagi. Człowiek — powiedziała do wszystkich — nie zważa na takie rzeczy. Potem przyszedł tutaj i John leżał na brzegu basenu, a Gerda stała nad nim z rewolwerem w ręce. Henrietta i Edward przyszli prawie równocześnie... stamtąd — pokazała dłonią na drugą stronę basenu, gdzie zbiegały się dwie ścieżki wychodzące z lasu.

Herkules Poirot chrząknął.

— Kim są John i Gerda? Jeśli wolno mi spytać — dodał przepaszająco.

— Ależ oczywiście. — Lady Angkatell odwróciła się do niego gwałtownie, jakby się zawstydzila, że niedobrze pełni obowiązki gospodyni. — Człowiek się zapomina, ale trudno pamiętać o przedstawieniu sobie ludzi, kiedy ktoś właśnie został zabity. John to John Christow... Doktor Christow. Gerda Christow jest jego żoną.

— A ta pani, która odprowadziła panią Christow do domu?

— To moja kuzynka, Henrietta Savernake.

Mężczyzna stojący na lewo od Poirota poruszył się lekko.

Henrietta Savernake — pomyślał Poirot. — Nie spodobało mu się, że lady Angkatell to powiedziała, choć przecież i tak by się dowiedział.

Henrietta — powiedział umierający. Dziwnie to zabrzmiało. Z czymś się Poirotowi skojarzyło... Z jakąś sytuacją... Co to mogło być? Nieważne, samo mu się przypomniało.

Lady Angkatell postanowiła nadrobić swoje zaniedbanie.

— To jest Edward Angkatell, również nasz kuzyn. A to panna Hardcastle.

Poirot ukłonił się. Midge zachciało się śmiać. Z trudem nad sobą zapanowała.

— Teraz, kochanie — powiedział sir Henry — powinnaś chyba zrobić tak, jak powiedziałaś: pójść do domu. Ja tymczasem zamienię tutaj z panem Poirotem kilka słów.

Lady Angkatell spojrzała na nich z namysłem.

— Mam nadzieję — powiedziała — że Gerda już się położyła. Co powinnam z nią zrobić? Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś podobnego. Co można powiedzieć kobiecie, która przed chwilą zastrzeliła męża?

Spojrzała na nich tak, jakby oczekiwała jednoznacznej odpowiedzi. Potem ruszyła ścieżką ku domowi. Midge poszła za nią. Edward szedł ostatni.

Poirot został sam z gospodarzem. Sir Henry chrząknął. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Christow — odezwał się w końcu — był zdolnym człowiekiem; był bardzo utalentowany.

Poirot spojrzął na zmarłego. Nadal miał dziwne wrażenie, że w zmarłym jest więcej życia niż w żywych. Ciekawe, skąd się to wzięło.

— To wielka tragedia i nieprzyjemna sprawa — powiedział do sir Henry'ego.

— Pan zna się na tym lepiej niż ja — odparł sir Henry. — Pierwszy raz mam do czynienia z zabójstwem. Mam nadzieję, że postępuję właściwie?

— Jak najbardziej — uspokoił go Poirot. — Wezwał pan policję; do momentu ich przybycia nie mamy tu nic do roboty. Trzeba tylko przypilnować, żeby nikt nie dotykał ciała i nie próbował zatrzeć dowodów.

Powiedziawszy to, spojrzął na dno basenu, gdzie leżał rewolwer, pod błękitną wodą wyglądający nieco inaczej niż normalnie.

Zdaje mi się — pomyślał — że dowody już zostały zatarte, a Herkules Poirot nie zdołał temu zapobiec. Niewykluczone jednak, że był to czysty przypadek.

— Pewnie nie powinniśmy się stąd ruszać? — powiedział z goryczą sir Henry. — Zrobiło się chłodno. Moglibyśmy chyba schronić się w pawilonie?

Poirot, czując, że buty mu przemokły i że zaczynają nim wstrząsać lekkie dreszcze, ochoczo przystał na tę propozycję. Pawilon znajdował się po przeciwnej stronie basenu niż dom. Przez jego otwarte drzwi widać było basen, zwłoki i ścieżkę prowadzącą do domu, na której lada moment powinni się pojawić policjanci.

Pawilon został ładnie umeblowany. Były tam wygodne siedzenia i tkane ręcznie chodniki. Na metalowym, pomalowanym farbą stoliku, stała taca z kilkoma szklankami i karafką z sherry.

— Poczęstowałbym pana — powiedział sir Henry — ale lepiej niczego nie dotykać przed przybyciem policji. Nie sądzę, żeby tu było coś, co ich zainteresuje. Lepiej jednak zachować ostrożność. Widzę, że Gudgeon nie przyniósł jeszcze koktajli. Czekał na pana.

Usiedli w wiklinowych fotelach ustawionych przy drzwiach i spoglądali na ścieżkę prowadzącą ku domowi. Byli skrepowani. Znaleźli się w sytuacji, w której trudno prowadzić zdawkową rozmowę.

Poirot rozejrzał się po pawilonie, ale nie zauważył nic niezwykłego. Na oparciu jednego z foteli pozostawiono beztrosko futrzaną narzutkę ze srebrnych lisów. Ciekawe, do kogo może należeć? Nie pasuje do żadnej z osób, które tu dzisiaj spotkał. Nie potrafił jej sobie wyobrazić na ramionach lady Angkatell. To go zaniepokoiło. Taki strój podkreśla zamożność właścicielki i zwraca na nią uwagę, ale żadna z osób, które tu widział, nie chciałaby tego.

— Wolno mi chyba zapalić? — spytał sir Henry, podsuwając papierośnicę Poirotowi.

Ten przyjął wprawdzie papierosa, ale zaczął węszyć w powietrzu. Francuskie perfumy... Bardzo drogie. Już prawie wywietrzały; one również nie pasowały do mieszkańców i gości The Hollow.

Poirot pochylił się nad zapalniczką sir Henry'ego i jego wzrok padł na pudełka zapalek; było ich sześć i leżały na stoliku obok jednego z foteli. Poirot uznał to za bardzo dziwne.

## XII

— W pół do trzeciej — powiedziała lady Angkatell.

Siedziała w salonie, z Midge i Edwardem. Zza zamkniętych drzwi gabinetu sir Henry'ego dobiegał szmer rozmowy. Konferowali tam Herkules Poirot, gospodarz i inspektor Grange.

Lady Angkatell westchnęła.

— Wiesz, Migde, wydaje mi się, że mimo wszystko powinno się coś zrobić z obiadem. Człowiek czuje się jak istota pozbawiona serca na myśl, że mielibyśmy zasiąść do stołu, jakby nic się nie stało. Jednak zaprosiłam pana Poirota na obiad i z pewnością jest głodny. W przeciwieństwie do nas. Jego przecież śmierć Johna Christowa wcale nie zmartwiła. Ja wprawdzie nie mam jakoś apetytu, ale Henry i Edward po kilkugodzinnym strzelaniu pewnie umierają z głodu.

— O mnie nie musisz się martwić, Lucy — powiedział na to Edward Angkatell.

— Jesteś bardzo wyrozumiała, Edwardzie. Nie można też zapominać o Davidzie. Zauważyłam, że wczoraj bardzo dużo zjadł na kolację. Zdaje się, że intelektualiści muszą dużo jeść. Nawiasem mówiąc, gdzie jest David?

— Poszedł do siebie — powiedziała Midge — kiedy się dowiedział, co się stało.

— Postąpił bardzo taktownie. Przypuszczam, że poczuł się zażenowany. Bądź co bądź, morderstwo jest żenujące. Służba jest tym zdenerwowana i wszystko stoi na głowie. Mieliśmy podać na obiad kaczkę. Na szczęście, na zimno są równie smaczne jak na ciepło. Jak sądzisz, co powinno się zrobić z Gerdą? Zanieść jej coś na tacy? Może odrobinę zupy?

Słowo daję — pomyślała Midge — Lucy jest nieludzka. Potem jednak doszła do wniosku, że Lucy szokuje wszystkich właśnie dlatego, iż jest zbyt ludzka! Bo tak naprawdę, wszelkim katastrofom towarzyszą zwykłe, trywialne rozterki i wątpliwości. Lucy wypowiedziała na głos te myśli, do których inni starali się nie przyznawać nawet przed sobą. Wszyscy martwili się o służbę i myśleli o jedzeniu. Byli głodni. Nawet Midge czuła głód. Jestem głodna — myślała — a jednocześnie mdli mnie. Dziwne.

Każdy czuł zażenowanie i rozterkę. Jak traktować tę przeciętną kobietę, o której jeszcze wczoraj mówiło się „biedna Gerda”, a która wkrótce najprawdopodobniej stanie przed sądem, oskarżona o zabójstwo.

Takie rzeczy zdarzają się innym — myślała Midge — ale nie nam.

Spojrzała na Edwarda, siedzącego po drugiej stronie pokoju. To nie powinno się przydarzać ludziom takim jak Edward; ludziom nie potrafiącym zadać gwałtu — myślała. Patrząc na Edwarda poczuła się lepiej. Był taki spokojny, rozsądny, uprzejmy i cichy.

Wszedł Gudgeon, pochylił się lekko i powiedział dyskretnie ścisłym głosem:

— Przygotowałam kanapki i kawę, proszę pani. Są na stole w jadalni.

— Dziękuję ci, Gudgeon... Gudgeon — powiedziała lady Angkatell, kiedy lokaj wyszedł — jest cudowny. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. On zawsze wie, co wypada, a co nie. Kanapki zaspokoją głód, ale nie ma w nich nic bezdusznego, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

— Och, Lucy, przestań!

Midge poczuła na policzkach gorące łzy. Lady Angkatell wyglądała na zaskoczoną.

— Biedactwo — mruknęła. — To wszystko jest bardzo przygnębiające.

Edward podszedł do Midge, usiadł obok niej na sofie i otoczył ją ramieniem.

— Nie martw się, mała Midge — powiedział.

Midge ukryła twarz na jego ramieniu i zaczęła szlochać; było jej bardzo wygodnie. Przypomniała sobie, jaki miły był dla niej Edward, kiedy podczas wakacji wielkanocnych w Ainswick zdechł jej królik.

— To straszne. Lucy, mogę dać jej brandy? — spytał Edward ze współczuciem.

— Jest na kredensie w jadalni. Nie sądzę... Przerwała, ponieważ do pokoju nagle weszła Henrietta.

Midge wyprostowała się. Poczwała, że Edward zeszywniał.

Ciekawe — pomyślała Midge — co czuje Henrietta. Z ociąganiem spojrzała na kuzynkę, ale nic nie zobaczyła. Henrietta wyglądała całkiem normalnie; może tylko była nastawiona bardziej wojowniczo. Głowę trzymała wysoko, twarz miała niezmienioną, poruszała się szybko.

— Wreszcie jesteś, Henrietto! — zawołała lady Angkatell.

— Zastanawiałam się, gdzie też się możesz podziewać. Policja rozmawia z Henrym i z panem Poirotem. Co dałaś Gerdzie? Brandy? A może herbatę i aspirynę?

— Dałam jej trochę brandy i butelkę ciepłej wody.

— Słusznie — powiedziała z zadowoleniem lady Angkatell.

— Tak właśnie radzą w podręcznikach pierwszej pomocy. To znaczy, butelka z ciepłą wodą na szok; o brandy nic nie piszą. Dzisiaj środki stymulujące nie są w modzie. Moim zdaniem, to tylko sprawa mody. Kiedy byłam mała, w Ainswick zawsze dawano brandy po jakimś ciężkim przeżyciu. Chociaż w przypadku Gerdy nie można mówić o szoku. Nie wiem, co można czuć, kiedy się zabiło własnego męża. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie można jednak nazwać tego szokiem. Chodzi mi o to, że nie ma tutaj elementu zaskoczenia.

Lodowaty głos Henrietty zburzył atmosferę spokoju.

— Taka jesteś pewna — spytała — że to Gerda zabiła Johna? Zapadło pełne napięcia milczenie. Midge wyczuła zmieszanie, niepokój, a na koniec czujność.

Po chwili lady Angkatell powiedziała całkiem naturalnym głosem:

— Wydawało mi się to całkiem oczywiste. Co ty sądzisz?

— Możliwe, że Gerda poszła nad basen, znalazła tam postrzelonego Johna, podniosła rewolwer i w tej samej chwili zjawiliśmy się my.

Znów zapadła cisza.

— Tak twierdzi Gerda? — spytała lady Angkatell.

— Tak.

Lady Angkatell uniosła brwi.

— W jadalni czekają na nas kanapki i kawa — powiedziała zmieniając temat.

Zamilkła i sapnęła głośno, kiedy w otwartych drzwiach stanęła Gerda Christow.

— Ja — powiedziała przepraszającym tonem — nie mogłam dłużej leżeć. Czuję się... niespokojna.

— Musisz sobie usiąść — zawołała lady Angkatell. — Usiądź, proszę. — Odsunęła Midge, posadziła na jej miejscu Gerdę i podłożyła jej pod plecy poduszkę. — Biedactwo — powiedziała.

Mówiła to z ostentacją, ale jej słowa wydawały się pozbawione głębszego znaczenia. Edward podszedł do okna. Gerda odsunęła z czoła rozczochrane włosy.

— Ja... — odezwała się zmartwionym, zdumionym głosem.

— Dopiero zaczynam rozumieć... Do tej pory nic nie czułam. Nadal mam wrażenie, że to jakieś nieporozumienie... Że John żyje. — Zadrzała. — Kto mógł go zabić? Nie mam pojęcia, kto?

Lady Angkatell głośno wciągnęła powietrze i odwróciła głowę. Drzwi do gabinetu sir Henry'ego otworzyły się. Wszedł gospodarz w towarzystwie inspektora Grange'a — potężnego, korpulentnego mężczyzny ze smutnym, opadającym wąsem.

— To moja żona... Inspektor Grange. Grange uklonił się.

— Czy mógłbym — spytał — porozmawiać z panią Christow?

Lady Angkatell wskazała siedzącą na sofie kobietę.

— Pani Christow?

— Tak, to ja — odparła Gerda.

— Nie chciałbym pani niepokoić, ale muszę zadać kilka pytań. Oczywiście, może pani najpierw wezwać swojego adwokata, jeśli pani chce...

— To byłoby wskazane, Gerdo... — wtrącił sir Henry.

— Adwokat? — przerwała mu Gerda. — Dlaczego? Skąd adwokat miałby coś wiedzieć o śmierci Johna?

Inspektor Grange zakaszłał. Sir Henry chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu Henrietta.

— Inspektor chce się dowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło — powiedziała.

Gerda spojrzała na policjanta.

— Mam wrażenie, że to tylko zły sen — powiedziała głosem pełnym zdumienia. — Nie mogę nawet płakać... i nic nie czuję.

— Przeżyła pani szok — powiedział uspokajającym tonem Grange.

— Tak. Pewnie ma pan rację. To stało się tak nagle. Wyszłam z domu i poszłam w stronę basenu...

— Która była godzina?

— Dochodziła pierwsza. Wychodząc spojrzałam na zegar. Poszłam tam i John leżał na brzegu basenu, a na betonie była krew.

— Słyszała pani strzał?

— Tak... Nie... Nie wiem. Wiem, że sir Henry i pan Angkatell strzelali. Zobaczyłam Johna...

— Tak?

— Johna... krew... rewolwer. Podniosłam go.

— Dlaczego?

— Słucham?

— Dlaczego podniosła pani rewolwer?

— Nie wiem.

— Nie powinna pani była niczego dotykać.

— Nie? — Gerda wyglądała tak, jakby nic z tego nie rozumiała. — Ale podniosłam go. Trzymałam go w ręce.

Podniosła dłoń tak, jakby nadal trzymała w niej broń. Nagle odwróciła się do inspektora.

— Kto mógł go zabić? — spytała głosem ostrym, przerażonym. — Nikt nie mógł życzyć mu śmierci. Był najlepszym człowiekiem pod słońcem. Zawsze uprzejmy i życzliwy. Był gotów zrobić wszystko, żeby służyć innym. Wszyscy go kochali, inspektorze. Był wspaniałym lekarzem, najlepszym mężem. To musiał być wypadek. Musiał! — powiedziała, wyciągając rękę. — Niech pan ich spyta, inspektorze. Nikt nie mógł życzyć Johnowi śmierci, prawda? — zwróciła się do wszystkich obecnych.

Inspektor Grange zamknął notes.

— Dziękuję pani — powiedział, nie okazując żadnych emocji. — To wszystko.

Herkules Poirot i inspektor Grange poszli razem przez kasztanowy las nad basen. To, co niedawno było Johnem Christowem, a co teraz nazywano „ciałem”, zostało zmierzone, opisane i zbadane przez policyjnego lekarza i zmierzało już do kostnicy. Basen — myślał Poirot — wygląda bardzo niewinnie. Wszystko, co widział tego dnia, było dziwnie nieuchwytnie. Z wyjątkiem Johna Christowa. W jego przypadku nawet śmierć miała swój cel. Basen nie był teraz zbiornikiem wody, w którym można popływać, lecz miejscem, na którym przed chwilą leżało ciało Johna Christowa i gdzie jego krew skapywała z betonu do nienaturalnie niebieskiej wody.

Nienaturalne — przez moment Poirot zastanawiał się nad tym słowem. Tak, było w tym wszystkim coś nienaturalnego. Jakby...

Do inspektora podszedł człowiek w stroju kąpielowym.

— To ten rewolwer — powiedział.

Grange wziął do ręki ociekający wodą przedmiot.

— Teraz nie ma nadziei na znalezienie odcisków palców — powiedział — ale w tym przypadku nie ma to większego znaczenia. Pani Christow trzymała go w ręce, kiedy pan nadszedł, prawda, Poirot?

— Tak.

— Należy zidentyfikować rewolwer — powiedział Grange.

— Sądzę, że pomoże nam w tym sir Henry. Pewnie zabrała go z jego gabinetu.

Rozejrzał się.

— Dla jasności, powtórzmy to jeszcze raz. Ta ścieżka w dole prowadzi do części gospodarczej i stamtąd przysła lady Angkatell. Pozostała dwójka, pan Edward Angkatell i panna Savernake nadeszli od strony lasu, ale nie byli razem. On przyszedł tą ścieżką na lewo, a ona tą na prawo, biegnącą do ogrodu kwiatowego za domem. Kiedy pan przyszedł, obydwójce stali już na brzegu basenu?

— Tak.

— Ta ścieżka obok pawilonu prowadzi na Podder's Lane. Pójdziemy tędy.

Po drodze Grange mówił głosem spokojnym i ponurym:

— Nigdy nie lubiłem takich spraw. W zeszłym roku miałem coś podobnego. Koło Ashridge. Emerytowany żołnierz, mający za sobą lata nieposzlakowanej służby. Żona była miła, cicha i staroświecka. Miała sześćdziesiąt pięć lat i siwe włosy, układające się w łagodne fale. Lubiała zajmować się ogrodem. Jednego dnia wstała z łóżka, wzięła jego rewolwer, poszła do ogrodu i zastrzeliła go. Ot tak, po prostu! Oczywiście, wiele się kryło za tymi wydarzeniami i trzeba było to wszystko odgrzebać. Czasem wymyślają jakąś głupią historyjkę o włóczędze. Udajemy, że w to wierzymy, ale nie przerywamy śledztwa, ponieważ cały czas wiemy, jaka jest prawda.

— Chce pan powiedzieć — wtrącił Poirot — że jest pan pewien, że pani Christow zastrzeliła męża?

Grange spojrział na niego ze zdumieniem.

— Pan jest innego zdania?

— Równie dobrze mogło być tak, jak powiedziała. Inspektor Grange wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście, mogło tak być, ale to mało prawdopodobne. Oni również myślą, że ona go zabiła. Wiedzą coś, czego my nie wiemy. — Spojrzął z zainteresowaniem na swojego towarzysza. — Sam pan pomyślał, że ona to zrobiła, kiedy pan tu przyszedł, prawda?

Poirot przymknął oczy. Idzie ścieżką... Gudgeon odsuwa się na bok... Gerda Christow stoi nad mężem, z rewolwerem w dłoni i z pustym wyrazem twarzy. Tak jak powiedział Grange, myślał, że to ona... że takie wrażenie powinien odnieść.

Tak, ale to nie to samo.

Scena przygotowana zawczasu po to, by oszukać.

Czy Gerda Christow wyglądała jak kobieta, która właśnie zastrzeliła męża? O to pytał inspektor Grange.

Poirot ze zdziwieniem uświadomił sobie, że mimo wieloletniego doświadczenia z morderstwami i mordercami, nigdy jeszcze nie widział kobiety, która przed chwilą zabiła własnego męża. Jak powinna wyglądać w takich okolicznościach? Zwycięska, przerażona, zadowolona, oszołomiona, niedowierzająca, pusta?

Pewnie wszystko naraz — pomyślał.

Inspektor Grange mówił bez przerwy. Poirot usłyszał tylko ostatnie zdanie z jakiegoś dłuższego wywodu:

— ...Kiedy już poznam wszystkie fakty, a tego zwykle można się dowiedzieć od służby.

— Pani Christow wraca do Londynu?

— Tak. Ma dwoje dzieci. Musimy ją puścić. Oczywiście, będziemy mieli na nią oko, ale ona się nie zorientuje. Myśli, że się wyłgała. Sprawiała na mnie wrażenie dość głupiej...



Czy Gerda wie — zastanawiał się Poirot — co myśli policja i co myślą Angkatellowie? Sprawiała takie wrażenie, jakby nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Naturalnie, reagowała na wszystko bardzo powoli, a śmierć męża oszołomiła ją i pogrążyła w rozpacz.

Wyszli na drogę. Poirot zatrzymał się przed swoją furguską.

— Tutaj pan mieszka? — spytał Grange. — Przyjemnie tu i wygodnie. No, to do zobaczenia, przyjacielu. Dziękuję za współpracę. Wpadnę do pana za kilka dni, żeby opowiedzieć o naszych postępach.

Spojrzał na drogę.

— Kto jest pańskim sąsiadem? Chyba nie ta gwiazda?

— Zdaje się, że panna Veronica Cray, aktorka; spędza tu czasem wolne dni.

— Jasne. Dovecotes. Podobała mi się w „Damie na oklep na tygrysie”, ale jak na mój gust jest trochę za bardzo wyniosła. Wolę Hedy Lamarr.

Odwrócił się.

— Muszę wracać do pracy. Do zobaczenia, panie Poirot.

— Poznaje go pan, sir Henry?

Inspektor Grange położył rewolwer przed gospodarzami na biurku. Patrzył na niego z nadzieją.

— Mogę wziąć go do ręki?

Sir Henry przyglądał się broni z wahaniem. Grange skinął głową.

— Był w basenie. Nawet jeśli były na nim odciski palców, już ich nie ma. Szkoda, że panna Savernake pozwoliła, żeby wysunął się jej z ręki.

— Tak... Cóż, wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani. Kobiety łatwo tracą głowę i... wszystko leci im z rąk.

Inspektor Grange pokiwał głową.

— Panna Savernake sprawia wrażenie osoby opanowanej i zręcznej.

Powiedział to bez złośliwości, ale coś w jego słowach sprawiło, że sir Henry nagle podniósł głowę.

— I co, poznaje go pan? — spytał inspektor.

Sir Henry wziął rewolwer i zaczął się mu przyglądać. Odczytał numer, zajrzał do oprawnego w skórę zeszytu, po czym zamknął go z westchnieniem.

— Tak, inspektorze, pochodzi z mojej kolekcji — potwierdził.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Wczoraj po południu. Strzelaliśmy w ogrodzie do celu i używaliśmy między innymi tego rewolweru.

— Kto wówczas z niego strzelał?

— Zdaje się, że każdy strzelił co najmniej raz.

— Pani Christow również? — Tak.

— Co pan zrobił z rewolwerem po zakończeniu strzelania?

— Odłożyłem go na miejsce. Tutaj.

Wyciągnął szufladę dużego biurka. Była do połowy wypełniona bronią różnego rodzaju.

— Ma pan dużą kolekcję broni palnej.

— Od wielu lat powiększam swoje zbiory.

Inspektor Grange w zamyśleniu patrzył na tego przystojnego mężczyznę, byłego zarządcę Wysp Hollowene. Takiego człowieka inspektor Grange chętnie by widział jako swojego zwierzchnika. Wolałby go od swojego obecnego przełożonego. Inspektor Grange nie był dobrego mniemania o komisarzu okręgowym Wealdshire, zręcznym i despotycznym snobie. Ta myśl przypominała inspektorowi o jego obowiązkach.

— Rewolwer nie był naładowany, kiedy go pan odkładał?

— Jestem pewien, że nie.

— Gdzie pan trzyma amunicję?

— Tutaj.

Sir Henry wyjął z kieszonki kluczyk i otworzył niższą szufladę.

To proste — pomyślał Grange. — Christow wiedziała, gdzie jest broń i amunicja. Mogła się tu bez trudności zaopatrzyć w jedno i drugie. Zazdrość — myślał — doprowadza kobiety do obłądu. Mógłby się założyć, że Christow była zazdrosna. Sprawa się wyjaśni, kiedy skończymy pracę tutaj i zajmiemy się Harley Street. Na wszystko jest właściwa pora.

— Dziękuję. Powiadomię pana o terminie rozprawy — powiedział Grange i wstał.

## XIII

Na kolację podano kaczki na zimno, a po nich krem karmelowy, co — jak powiedziała lady Angkatell — było dowodem właściwego wycucia sytuacji przez panią Medway. Jedzenie — stwierdziła — dyskretnie podkreśla uczucia.

— Wie, że nie bardzo lubimy krem karmelowy. Tylko nieokrzesany człowiek zajadałby się swoim ulubionym puddingiem w dniu śmierci przyjaciela. Ale krem karmelowy jest łatwy; śliski, że tak powiem i człowiek zawsze musi zostawić trochę na talerzu.

Westchnęła i dodała, że ma nadzieję, iż słusznie postąpili pozwalając Gerdzie wrócić do Londynu.

— Dobrze, że Henry z nią pojechał.

Sir Henry uparł się, że osobiście odwiezie Gerdę na Harley Street.

— Będzie musiała przyjechać na rozprawę, rzecz jasna — ciągnęła lady Angkatell, w zamyśleniu jedząc krem karmelowy — ale można zrozumieć, że sama chciała powiedzieć o tym dzieciom. Mogłyby przeczytać coś w gazecie, a w domu jest tylko ta Francuzka. Wszyscy wiedzą, jakie one są nerwowe. *Crise de nerfs*, jak przypuszczam. Ale Henry sobie z nią poradzi. Myślę, że Gerda weźmie się w garść. Pewnie wezwie na pomoc krewnych, najprawdopodobniej siostry. Znając Gerdę, zakładam, że ma siostry. Trzy albo cztery. Podejrzewam, że mieszkają w Tunbridge Wells.

— Dziwne rzeczy opowiadasz, Lucy — odezwała się Midge.

— Niech będzie Torquay, jeśli wolisz, kochanie... Chociaż nie, nie Torquay. Gdyby tam mieszkały, musiałyby mieć koło siedemdziesiątki. Może Eastbourne albo St Leonards.

Lady Angkatell patrzyła na ostatnią łyżkę kremu karmelowego tak, jakby się z nią żegnała, po czym delikatnie odłożyła ją na talerzyk.

David, który przepadał za słodczymi, ponuro gapił się na swój pusty talerz. Lady Angkatell wstała.

— Sądę, że dzisiaj wszyscy zechcemy się wcześniej położyć — powiedziała. — Wiele się dziś wydarzyło. Czytając o takich rzeczach w gazetach, człowiek wcale sobie nie wyobraża, jakie to męczące. Czuję się tak, jakbym zrobiła ze trzydzieści kilometrów pieszo. Tymczasem prawie cały dzień siedziałam; ale to też było męczące, bo człowiek nie chciał czytać książki czy gazety, żeby nie wydać się bezdusznym. Chociaż można by, jak sądę, przeczytać artykuł redakcyjny w „Observerze”. Na pewno nie w „News of the World”. Zgodzisz się ze mną, Davidzie? Lubię wiedzieć, co myślą młodzi. Dzięki temu człowiek nie traci kontaktu ze współczesnością.

David odparł gburowatym tonem, że nigdy nie czytał „News of the World”.

— Ja zawsze czytam — powiedziała lady Angkatell. — Udajemy, że kupujemy go dla służby, ale Gudgeon dobrze nas rozumie i nigdy nie zabiera go przed herbatą. To bardzo ciekawa gazeta. Piszą o kobietach, które wkładają głowy do piecyków gazowych. Jest ich niewiarygodnie dużo!

— Co będą robiły w przyszłości, kiedy wszystko będzie elektryczne? — spytał Edward Angkatell, uśmiechając się nieznacznie.

— Pewnie będą się musiały nauczyć cieszyć tym, co mają. To znacznie bardziej rozsądne.

— Nie zgadzam się z panem — powiedział David. — W przyszłości domy nie będą całkowicie zelektryfikowane. Będzie ogrzewanie komunalne, rozprowadzane z jednego miejsca. Każdy przedstawiciel klasy robotniczej powinien mieć w domu wszelkie udogodnienia.

Edward Angkatell zapewnił młodzieńca, że na tych sprawach, niestety, nie zna się zbyt dobrze. David z pogardą wyduł usta.

Gudgeon przyniósł tacę z kawą. Poruszał się nieco wolniej niż zwykle, dla podkreślenia żaloby.

— Ach, Gudgeon — powiedziała lady Angkatell — jeśli chodzi o te jaja... Zamierzałam, jak zwykle, napisać na nich ołówkiem datę. Zechciej poprosić panią Medway, żeby to za mnie zrobiła.

— Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona. Dopilnowałem, żeby zrobiono wszystko jak należy — odparł i chrząknął. — Zająłem się tym osobiście.

— Dziękuję, Gudgeon. Gudgeon jest cudowny — powiedziała po wyjściu lokaja. — Cała służba jest wspaniała. Człowiek im współczuje z powodu obecności policji. To musi być dla nich straszne. Nawiasem mówiąc, czy ktoś tu jeszcze jest?

— Chodzi ci o policję? — spytała Midge.

— Tak. Zdaje się, że zwykle zostawiają kogoś przy drzwiach. A może ktoś obserwuje wejście, ukryty w krzakach?

— Dlaczego miałby pilnować drzwi?

— Nie mam pojęcia. W książkach tak robią. A potem, w nocy, mordują następną osobę.

— Przestań, Lucy — poprosiła Midge.

Lady Angkatell spojrzała na nią z zainteresowaniem.

— Przepraszam, kochanie. Jestem bezmyślna. Oczywiście, że nikt więcej nie zostanie zamordowany. Gerda wróciła do domu... Chciałam powiedzieć... Przepraszam, Henrietto. Nie chciałam, żeby to tak wyszło.

Henrietta nie odpowiedziała. Stała przy okrągłym stoliku i patrzyła na zapis robra, który rozegrali poprzedniego wieczora.

— Mówiłaś coś, Lucy? — spytała, wracając do teraźniejszości.

— Zastanawiałam się, czy kogoś tu zostawili.

— Jak resztki z wyprzedaży? Nie sądzę. Wszyscy wrócili na posterunek, żeby ubrać to, co im powiedzieliśmy, we właściwe słowa.

— Na co patrzysz, Henrietto?

— Na nic.

Henrietta podeszła do kominka.

— Jak sądzisz, co robi dzisiaj Veronica Cray? — spytała.

Na twarzy lady Angkatell pojawił się wyraz zażenowania.

— Ależ kochanie! Nie sądzisz chyba, że znowu tu przyjdzie? Musiała się już o wszystkim dowiedzieć.

— Tak — przyznała Henrietta. — Pewnie już wie.

— Przypomniałam sobie właśnie, że powinnam zadzwonić do Careyów. Nie możemy przyjąć ich jutro jakby nigdy nic — powiedziała lady Angkatell i wyszła z pokoju.

David, pełen niechęci do krewnych, stwierdził, że musi coś sprawdzić w „Encyclopaedia Britannica”. W bibliotece — myślał — znajdzie trochę spokoju.

Henrietta podeszła do drzwi na taras, otworzyła je i opuściła pokój. Edward, po chwili wahania, poszedł za nią. Henrietta stała z zadartą głową i patrzyła w niebo.

— Jest chłodniej niż wczoraj — powiedziała.

— Rzeczywiście, czuje się chłód — przytaknął Edward. Henrietta przeniosła spojrzenie na dom. Patrzyła na okna. Potem odwróciła się i spojrzała na las. Edward nie miał pojęcia, co jej chodzi po głowie. Zrobił krok w kierunku otwartych drzwi.

— Lepiej wróćmy do środka. Jest zimno. Henrietta pokręciła głową.

— Idę na spacer. Nad basen.

— Moja kochana — powiedział Edward, przysuwając się bliżej. — Pójdę z tobą.

— Dziękuję, Edwardzie — odparła ostro. — Chcę być sama ze swoim zmarłym.

— Henrietto! Kochanie... Nic ci nie mówiłem, ale chyba wiesz, jak bardzo mi przykro...

— Przykro ci? Że John Christow nie żyje? Jej głos był ostry i nieprzyjemny.

— Przykro mi ze względu na ciebie, Henrietto. Przeżyłaś... szok.

— Szok? Jestem twarda, Edwardzie. Wytrzymam to. Ty byłeś wstrząśnięty? Co czuleś, kiedy patrzyłeś na jego ciało? Pewnie radość. Nie lubiłeś Johna Christowa.

— Nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego — burknął Edward.

— Wszystko umiesz ubrać w eleganckie słowa! Jesteś taki powściągliwy. W rzeczywistości jednak mieliście jedną rzecz wspólną: mnie. Obaj mieliście do mnie słabość. Tyle że to was do siebie nie zbliżyło. Raczej przeciwnie.

Kapryśny księżyc wyłonił się właśnie zza chmur. Twarz, którą oświetlił, przeraziła Edwarda. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale myślał o Henriecie jak o dziewczynie, która bywała w Ainswick: zawsze uśmiechnięta i pełna jak najlepszych myśli. Kobieta, którą teraz dostrzegł, była mu obca; błyszczące zimne oczy patrzyły na niego wrogo.

— Henrietta, kochanie... Uwierz mi, że ci współczuję. Wiem, że jest ci smutno.

— Czy to jest smutek?

Jej pytanie zaskoczyło go. Miał wrażenie, że stawia je sobie samej, nie jemu.

— Tak szybko — powiedziała. — To się może stać tak szybko. W jednej chwili żyje, oddycha, a w następnej jest martwy, odszedł, została tylko pustka. Ach, pustka! My zajadamy krem karmelowy i nazywamy się żywymi, a John, który miał w sobie więcej życia niż my wszyscy razem wzięci, jest martwy. Powtarzam sobie to słowo bez przestanku: martwy, martwy, martwy. W końcu przestaje ono mieć znaczenie. Nic nie znaczy. To tylko pusty dźwięk, jak trzask łamanej gałęzi. Martwy, martwy, martwy. Jak tam-tam bijący w dżungli. Martwy, martwy, martwy...

— Przestań, Henrietto! Na miłość boską, przestań! Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— Nie wiedziałeś, że właśnie tak się czuję? A co sądziłeś? Że usiądę, pochlipując w chusteczkę, a ty będziesz mnie pocieszał, gładząc moją dłoń? Że przeżyję szok, ale szybko się z tego otrząsnę? Że mnie pocieszysz? Jesteś bardzo miły, Edwardzie, ale ty mi nie wystarczysz.

Cofnął się. Twarz miał nieruchomą.

— Zawsze o tym wiedziałem — stwierdził sucho.

— Jak sądzisz — mówiła dalej Henrietta — co mogłam czuć siedząc tu cały wieczór, wiedząc, że John nie żyje i że nikogo oprócz mnie i Gerdy to nie obchodzi? Ty się cieszysz, David jest zmieszany, Migde zdenerwowana, a Lucy, delikatnie mówiąc, jest uradowana, że historia żywcem wzięta z „News of the World” rozegrała się u niej w domu! Nie widzisz, jakim koszmarem jest dla mnie to wszystko?

Edward nic nie powiedział. Cofnął się o krok, kryjąc się w cieniu. Henrietta spojrzała na niego i dodała:

— Dzisiaj wszystko wydaje mi się nierealne i nic nie jest bardziej rzeczywiste od Johna.

— Wiem — powiedział zamyślony Edward. — Jestem nierzeczywisty.

— Jestem okropna, Edwardzie, ale nic na to nie poradzę. Nie mogę przestać się smucić, bo John, zawsze pełen życia, nie żyje.

— A ja, mimo że na wpół umarły, jestem wśród żyjących.

— Tego nie chciałam powiedzieć.

— Myślę, że chciałaś. Pewnie masz rację. Henrietta wróciła do poprzedniej myśli.

— To nie smutek. Możliwe, że w ogóle nie potrafię się smucić. Może nigdy się tego nie nauczę. A przecież chciałabym się teraz smucić z powodu śmierci Johna.

Edward nic z tego nie zrozumiał. Tym bardziej zaskoczyło go, że Henrietta odezwała niespodziewanie rzeczowym tonem.

— Muszę iść nad basen.

I zniknęła między drzewami.

Edward wrócił do pokoju. Midge przyglądała mu się, kiedy szedł jak niewidomy. Twarz miał ściągniętą i szarą, jakby odpłynęła z niej cała krew. Nie zwrócił uwagi na krótki szloch, który Midge szybko zdusiła.

Edward podszedł do krzesła i usiadł. Wiedział, że powinien coś powiedzieć.

— Jest zimno — stwierdził.

— Zimno ci, Edwardzie? Może rozpalimy w kominku?

— Co?

Midge wzięła do ręki zapalki i przykłęła, żeby rozniecić ogień. Ukradkiem zerknęła na Edwarda. Świat — pomyślała — przestał dla niego istnieć.

— Ogień przyjemnie rozgrzewa — odezwała się. Wygląda tak, jakby przemarzył do szpiku kości — myślała.

— Przecież nie jest aż tak zimno. Co ona mu powiedziała?

— Przysuń krzesło bliżej ognia, Edwardzie.

— Co?

— Nic. Chodziło mi o ogień.

Mówiła powoli i głośno, jak do głuchawego dziadka. Nagle — tak nieoczekiwanie, że Midge poczuła nagły skurcz serca — znów zobaczyła dawnego Edwarda, uśmiechającego się łagodnie.

— Mówiłaś coś do mnie, Midge? Przepraszam. Niestety, byłem zamyślony.

— Nie szkodzi. Chodziło mi o ogień.

Patyki trzaskały, szyszki płonęły jasnym, czystym płomieniem. Edward spojrzął na nie i powiedział:

— Ładnie płoną.

Wyciągnął w kierunku ognia długie, chude ramiona. Poczuł, że napięcie go opuszcza.

— W Ainswick zawsze mieliśmy szyszki — przypomniała Midge.

— Nadal je zbieram. Codziennie stawiają koło kominka pełny koszyk.

Edward i Ainswick — Midge przymknęła oczy, wyobrażając to sobie. On siedzi w bibliotece w zachodniej części domu. Wielka magnolia zasłania jedno okno. Po południu pokój napęłnia się złocistozielonym światłem. Z drugiego okna można wyrzeć na trawnik i wysoką wellingtonię, stojącą niewzruszenie na swoim miejscu. Na prawo od niej był wielki, miedziany buk.

Ainswick... Och, Ainswick!

Poczuła słodki zapach magnolii. We wrześnie drzewo powinno jeszcze mieć kilka wielkich, wonnych kwiatów. Płonące szyszki. I lekki zapach pleśni z książki, którą czyta Edward. Siedzi w wygodnym krześle i od czasu do czasu spogląda w ogień, myśląc o Henriecie.

Midge poruszyła się i spytała:

— Gdzie jest Henrietta?

— Poszła nad basen.

— Dlaczego? — zdziwiła się Midge.

Jej głęboki głos wyrwał Edwarda z zamyślenia.

— Droga Midge, musiałaś przecież wiedzieć... Domyślałaś się... Henrietta bardzo dobrze znała Christowa.

— Oczywiście, że o tym wiem, ale i tak nie rozumiem, dlaczego się kręci koło miejsca, gdzie został zastrzelony. To do niej niepodobne. Nigdy nie była melodramatyczna.

— Czy ktokolwiek zna drugiego człowieka? Na przykład Henriettę?

Midge skrzywiła się.

— Przecież oboje znamy ją od dziecka — przypomniała.

— Zmieniła się.

— Nie całkiem. Moim zdaniem, człowiek się nie zmienia.

— Henrietta się zmieniła.

Midge spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Bardziej niż ty czy ja?

— Ja stoję w miejscu, dobrze o tym wiem. A ty...

Nagle spojrzał na nią bacznie, klęczącą przy ogniu, jakby jej dawno nie widział. Patrzył na kwadratową szczękę, ciemne oczy i reżolutne usta.

— Żałuję, że tak rzadko się widzimy, mała Midge. Midge uśmiechnęła się do niego.

— Wiem. W dzisiejszych czasach łatwo jest stracić się z oczu — odparła.

Z tarasu dobiegł ich jakiś dźwięk. Edward wstał.

— Lucy miała rację — powiedział. — To był męczący dzień; pierwsze w życiu spotkanie ze zbrodnią. Pójdę się położyć. Dobranoc.

Wychodził właśnie z pokoju, kiedy z tarasu weszła Henrietta. Midge odwróciła się ku niej.

— Co zrobiłaś Edwardowi?

— Edwardowi?

Henrietta nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie. Czoło miała zmarszczone; widać było, że myśli o czym innym.

— Tak, Edwardowi. Kiedy tu wrócił, był zimny i szary na twarzy.

— Skoro tak bardzo ci na nim zależy, dlaczego się nim nie zajmiesz?

— Nie zajmę się? Co masz na myśli?

— Nie wiem. Stań na krześle i zacznij wrzeszczeć. Zwróć na siebie uwagę. Nie wiesz, że w przypadku mężczyzny takiego jak Edward to jedyny sposób?

— Edward nigdy nie pokocha nikogo oprócz ciebie, Henrietto.

— To niemądre z jego strony — powiedziała i rzuciła Midge krótkie spojrzenie. — Widzę, że sprawiłam ci przykrość. Przepraszam, ale dzisiaj nie mogę ścierpieć Edwarda.

— Edwarda?

— Tak! Nawet nie wiesz...

— Czego?

— Przypomina mi różne rzeczy, o których wołałabym zapomnieć — powiedziała z namysłem Henrietta.

— Jakie rzeczy?

— Na przykład Ainswick.

— Ainswick? Chciałabyś zapomnieć o Ainswick? — spytała Midge z niedowierzaniem.

— Tak, tak, tak! Byłam tam szczęśliwa. Nie mogę znieść niczego, co przypomina mi minione szczęście. Nie rozumiesz? W tamtych czasach nie miałam pojęcia o tym, co mnie spotka. Mówiłam z przekonaniem, że wszystko się dobrze ułoży. Niektórzy są na tyle mądrzy, że nie liczą na to, iż kiedykolwiek będą szczęśliwi. Ja nie byłam mądra... — Nigdy nie wrócę do Ainswick — oznajmiła po chwili.

— Ciekawe — powiedziała Midge.

## XIV

Midge obudziła się w poniedziałkowy rano i przez chwilę miała dobry humor. Spoglądała na drzwi, jakby się spodziewała, że lada moment stanie w nich lady Angkatell. Co powiedziała Lucy, wchodząc tu pierwszego ranka? Że czekają ją trudne dni. Martwiła się, że może się wydarzyć coś nieprzyjemnego.

I rzeczywiście, coś takiego się zdarzyło; coś, co leżało ciężkim kamieniem na sercu Midge i popsuło jej nastrój. Coś, o czym wolałaby nie myśleć. Coś, o czym chętnie by zapomniała; co ją przerażało. To coś miało związek z Edwardem. Nagle sobie przypomniała. Jedno wstrętne słowo: morderstwo.

No nie — pomyślała Midge — to nie może być prawda. To tylko zły sen. John Christow leżał zamordowany na brzegu basenu. Do wody skapywała krew. Jak w kiepskim kryminale. To fantastyczne, nierzeczywiste. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę. Gdyby tak mogła się teraz obudzić w Ainswick. W Ainswick to nie mogłoby się zdarzyć.

Nagle zaczęła myśleć jaśniej; poczuła mdłości. To nie był sen. To działo się naprawdę, a ona, Edward, Lucy, Henry i Henrietta, wszyscy są w to zamieszani.

To niesprawiedliwe. Cóż oni mają wspólnego z tym, że Gerda zabiła swojego męża?

Midge poruszyła się niespokojnie. Cicha, głupia Gerda. Trudno ją sobie wyobrazić w roli bohaterki dramatu. Nikt by jej nie posądzał o mordercze skłonności. Nie, Gerda nie mogła nikogo zastrzelić.

Midge znów poczuła niepokój. Nie wolno jej tak myśleć. Kto inny mógłby zabić Johna? Przecież to Gerda stała nad jego ciałem z rewolwerem w dłoni. Przedtem pewnie zabrała broń z gabinetu Henry'ego.

Gerda powiedziała, że znalazła Johna martwego i podniosła rewolwer z ziemi. Co miała powiedzieć? Coś przecież musiała wymyślić, biedaczka.

Dobrze, że Henrietta stanęła w jej obronie i powiedziała, że rzeczywiście mogło tak być. Henrietta nie zajmowałaby się rzeczą niemożliwą. Wczoraj wieczorem zachowywała się jednak bardzo dziwnie. To dlatego, że śmierć Johna Christowa bardzo ją poruszyła. Biedna Henrietta, zależała jej na Johnie. Cóż, z czasem jej to przejdzie. Człowiek w końcu zapomina... Potem wyjdzie za Edwarda, zamieszka w Ainswick i Edward będzie wreszcie szczęśliwy.

Henrietta zawsze bardzo lubiła Edwarda. Dopiero agresywny, dominujący John Christow przyćmił kuzyna. Edward wypadał przy nim bardzo blado.

Przy śniadaniu Midge ze zdziwieniem zauważyła, że pod nieobecność przyćmiewającego wszystkich Johna Christowa Edward jakby odżył i nabrał sił. Był bardziej pewny siebie, rzadziej się wahał i zamykał w sobie. Prowadził uprzejmą rozmowę z gapiącym się bezmyślnie i milczącym Davidem.

— Powinieneś częściej bywać w Ainswick, Davidzie. Chciałbym, żebyś czuł się tam jak u siebie w domu i żebyś poznał to miejsce.

David, nakładając sobie marmolady, odpowiedział:

— Te wielkie majątki są groteskowe. Powinno się je podzielić.

— Mam nadzieję, że za mojego życia do tego nie dojdzie — uśmiechnął się Edward. — Moi dzierżawcy są zadowoleni.

— Nie powinni być — odparował David. — Nikt nie powinien być zadowolony.

— Gdyby małpy potrafiły cieszyć się swoimi ogonami... — mruknęła lady Angkatell. Stała koło kredensu, podejrzliwie przyglądając się cynaderkom. — Nauczyłam się tego wierszyka w dzieciństwie, ale nie pamiętam, co było dalej. Muszę z tobą porozmawiać, Davidzie, i dowiedzieć się czegoś więcej o tej nowoczesnej ideologii. Jeśli dobrze rozumiem, powinno się wszystkich nienawidzić, a jednocześnie zapewnić im bezpłatną opiekę medyczną,



doskonale wykształcenie (biedne są te dzieciaki, zaganiane siłą do szkoły) i tran dla wszystkich niemowląt. Wlewają go biedactwom na siłę, nawet jeśli niektóre tego nie lubią. To świństwo okropnie cuchnie.

Lucy — pomyślała Midge — zachowuje się jakby nigdy nic.

Gudgeon, kiedy mijala go w korytarzu, był również taki jak dawniej. Życie w The Hollow wracało do normy. Gerda wyjechała i wszystko to, co się wydarzyło, było jak zły sen.

Raptem na podjeździe dał się słyszeć zgrzyt opon i zajechał samochód sir Henry'ego. Pan domu noc spędził w swoim klubie, by z samego rana wrócić do siebie.

— I co, kochanie — spytała Lucy. — Wszystko w porządku?

— Tak. Była tam sekretarka. Kompetentna dziewczyna. Wszystkim się zajęła. Zdaje się, że rzeczywiście jest siostra. Sekretarka wysłała do niej telegram.

— Wiedziałam, że musi być siostra — ucieszyła się lady Angkatell. — W Tunbridge Wells?

— Zdaje się, że Bexhill — odparł zdziwiony sir Henry.

— Coś podobnego. — Lucy zastanawiała się nad Bexhill. — Tak, to możliwe.

Podszedł do nich Gudgeon.

— Dzwonił inspektor Grange. Rozprawa odbędzie się w środę o jedenastej.

Sir Henry kiwnął głową.

— Midge, powinnaś chyba zadzwonić do siebie do sklepu — powiedziała lady Angkatell.

Midge niechętnie podeszła do telefonu. Jej życie było dotąd tak normalne i zwyczajne, że nie wiedziała, jakimi słowami powinna poinformować swoją pracodawczynię, że po czterodniowym urlopie nie wróci do pracy, ponieważ jest zamieszana w morderstwo. Nikt w to nie uwierzy. Nawet Midge z trudem przyjmowała ten fakt do wiadomości. W dodatku madame Alfregie nie należała do wyrozumiałych.

Midge zacisnęła zęby i wzięła słuchawkę do ręki. Rozmowa rzeczywiście była nieprzyjemna. Złośliwa Żydówka odezwała się gniewnym, chrapliwym głosem:

— Czo takiego, panno Harkasztle? Szmierć? Pogrzeb? Powinna pani wiedzieć, że bez pani trudno będzie dacz szobie radę. Na nicz te wymówki. Pewnie dobrze szę tam bawisz!

Midge przerwała jej; mówiła głośno i wyraźnie.

— Policzia? — zaniepokoiła się madame Alfregie. — Policzia? Czo pani robi na policzii?

Midge zebrała się w sobie i jeszcze raz powtórzyła to, co powiedziała już wcześniej. Dziwne, ale nagle wszystko stało się odrażające. Wulgarna zbrodnia, policja... Niektórzy potrafią każdą rzecz, której się dotkną, uczynić wstrętą.

Edward otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Kiedy zobaczył, że Midge rozmawia przez telefon, chciał się wycofać, ale Midge powstrzymała go ruchem ręki. Bliskość Edwarda dodała jej sił, zadziałała jak antidotum na jad sączony przez madame.

— Słucham? — odezwała się do telefonu. — Tak. Bardzo mi przykro, ale to nie moja wina...

Wstrętny, chrapliwy głos krzyczał na nią ze złością.

— Kim są czy przyjaczele? Czo to za ludzie, że mają u szebie policzię i żasztzelonego człowieka? Żasztanawiam się, czy mogę panią dalej zatrudniacz. Nie mogę szobie pozwolicz na to, żeby przesztaly mnie odwiedzacz czo bogatsze klientki.

Midge odpowiadała spokojnie i pokornie. W końcu, z westchnieniem ulgi, odłożyła słuchawkę. Poczula nudności i miała dreszcze.

— Dzwoniłam do pracy — wyjaśniła. — Musiałam dać znać, że ze względu na rozprawę wrócę dopiero w czwartek.

— Mam nadzieję, że byli dla ciebie grzeczni? Jaki jest ten twój sklep z sukienkami? Czy właścicielka jest sympatyczna? Dobrze się u niej pracuje?

— Bynajmniej! To Żydówka z Whitechapel. Ma farbowane włosy i głos jak derkacz.

— Ależ, droga Midge...

Midge roześmiała się, widząc zmieszanie Edwarda. Zmartwiły go jej słowa.

— Drogie dziecko — mówił — nie możesz się na to godzić. Skoro już musisz pracować, znajdź sobie miejsce, gdzie panuje pogodna atmosfera i pracują ludzie, których będziesz mogła polubić.

Midge patrzyła na niego. Nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Jak mam to wytłumaczyć — myślała — komuś takiemu jak Edward? Co on wie o rynku pracy? Nagle ogarnął ją żal. Lucy, Edward, Henry, a nawet Henrietta — dzieli ich od niej przepaść nie do przebycia. Oni są wolni, ona musi pracować, żeby zarobić na życie. Oni nie mają pojęcia o tym, jak trudno jest znaleźć pracę i jak się trzeba starać, żeby ją utrzymać. Ktoś mógłby powiedzieć, że Midge nie musi pracować. Lucy i Henry chętnie przyjęliby ją pod swój dach i bez żalu przydzieliliby jej jakieś pieniądze na własne wydatki. Edward pewnie też by się do tego dołożył. Ale Midge nie chciała wygodnego życia na koszt krewnych. Przyjemnie było skorzystać od czasu do czasu z luksusów oferowanych przez Lucy, ale Midge była zbyt niezależna, żeby zamieszkać tu na stałe i korzystać z hojności lady Angkatell. Z tego samego powodu nie pożyczyła od krewnych pieniędzy, żeby otworzyć własny sklep. Znała dziewczyny, które tak zrobiły.

Nie, nie pożyczycy pieniędzy i nie skorzysta z koligacji rodzinnych. Sama znalazła sobie pracę za cztery funty tygodniowo; jeśli madame Alfrege zatrudniając ją liczyła na to, że Midge zaprosi do sklepu swoje eleganckie znajome, to się rozczarowała. Midge stanowczo odradzała koleżankom zakupy w swoim sklepie.

Nie miała złudzeń co do swojej pracy. Nie lubiła sklepu, nie cierpiała madame Alfrege i mierzyła ją wymuszona pokora w kontakcie z poirytowanymi, niegrzecznymi klientkami. Wiedziała jednak, że innej pracy nie dostanie, ponieważ brak jej jakichkolwiek kwalifikacji.

Zirytowało ją przekonanie Edwarda, że wystarczy chcieć, żeby znaleźć coś lepszego. Czy ma prawo do życia w świecie iluzji? Ci Angkatellowie! Tylko połowa krwi płynącej w jej żyłach należała do tej rodziny. Czasem — na przykład dzisiaj rano — wcale nie czuła się krewną Angkatellów. Dzisiaj była nieodrodną córką swojego ojca.

O ojcu — siwowłosym mężczyźnie w średnim wieku i ze zmęczoną twarzą — zawsze myślała z miłością i z żalem. Całymi latami walczył o utrzymanie swojej maleńkiej firmy, chociaż jego walka z góry była skazana na niepowodzenie. Nie dlatego, żeby brakowało mu zdolności; musiał w końcu paść ofiarą postępu.

To dziwne, ale Midge zawsze była bardziej oddana swojemu cichemu, zmęczonemu ojcu niż błyskotliwej matce z rodziny Angkatellów. Za każdym razem, kiedy wracała z Ainswick, gdzie było jej tak dobrze, w odpowiedzi na nieme pytanie w oczach ojca rzucała mu się w ramiona.

— Cieszę się, że jestem w domu — zapewniała. — Bardzo się cieszę.

Matka umarła, kiedy Midge miała trzynaście lat. Czasem miała wrażenie, że prawie jej nie znała. Była nieobecna duchem, urocza i wesoła. Czy żałowała, że wychodząc za mąż za ubogiego mężczyznę znalazła się poza klanem Angkatellów? Midge nie miała pojęcia. Po śmierci żony ojciec Midge posiwiął i stał się jeszcze bardziej milczący. Coraz trudniej przychodziło mu borykać się z kłopotami zawodowymi. Umarł cicho i niespodziewanie, kiedy Midge miała osiemnaście lat.

Midge mieszkała u krewnych z rodziny Angkatellów, przyjmowała od nich prezenty, dobrze się z nimi czuła, ale nie chciała być zależna od ich dobrej woli. Kochała ich, ale czasem — tak jak dzisiaj — czuła, że jest inna.

Oni nic nie wiedzą — pomyślała rozgoryczona. Nawet wrażliwy Edward patrzy na nią teraz ze zdziwieniem.

— Zdenerwowałem cię? — spytał. — Czym?

Do pokoju weszła Lucy, kończąc jakieś zdanie.

— ...człowiek nie wie, czy wołałaby White Hart, czy raczej zaprosić ją do nas.

Midge spojrzała na nią nie rozumiejąc, o czym mówi. Potem przeniosła wzrok na Edwarda.

— Nie patrz na niego — powiedziała lady Angkatell. — Edward nic tu nie pomoże. Midge, ty zawsze jesteś taka praktyczna!

— Nawet nie wiem, o czym mówisz. Lucy była zdziwiona.

— O rozprawie, kochanie. Przyjedzie Gerda. Czy powinnam zaprosić ją do nas? Czy może raczej powinna się zatrzymać w White Hart? Tutaj obudzą się bolesne wspomnienia, za to w White Hart wszyscy będą się na nią gapić i będzie oblegana przez reporterów. W środę o jedenastej, słyszałaś? Czy może o wpół do dwunastej? — Lady Angkatell uśmiechnęła się lekko. — Nigdy jeszcze nie byłam na rozprawie. Myślałam o szarym kostiumie i kapeluszu, jak do kościoła, ale bez rękawiczek. Wiesz — mówiła dalej; podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i patrzyła na nią z uwagą — zdaje mi się, że oprócz rękawic do pracy w ogrodzie nie mam dzisiaj ani jednej pary rękawiczek. Oczywiście, zostało mi wiele długich, wieczorowych, z czasów, kiedy Henry pracował w rządzie. Rękawiczki są głupie, nie sądzisz?

— Jednak dzięki nim nie zostawia się odcisków palców na miejscu zbrodni — wtrącił z uśmiechem Edward.

— To ciekawe, Edwardzie... Bardzo ciekawe. Co ja z tym robię?

Lady Angkatell z niechęcią spojrzała na słuchawkę telefonu.

— Chciałaś do kogoś zadzwonić?

— Chyba nie.

Lady Angkatell pokręciła głową i szybko odłożyła słuchawkę na widełki. Spoglądała to na Edwarda, to na Midge.

— Nie powinienes denerwować Midge, Edwardzie. Ta niespodziewana śmierć wywarła na niej większe wrażenie niż na nas.

— Ależ Lucy! — zaprotestował Edward. — Martwię się pracą Midge. To nie jest miejsce dla niej.

— Edward uważa, że powinnam mieć sympatycznego pracodawcę, wysoko sobie ceniącego moje zalety — wyjaśniła Midge.

— Kochany Edward.

Lucy była zachwycona. Uśmiechnęła się do Midge i wyszła z pokoju.

— Mówię poważnie, Midge — powiedział Edward. — Naprawdę jestem zmartwiony.

— Ta wstętna kobieta — przerwała mu Midge — płaci mi cztery funty tygodniowo i tylko to się liczy. — Przeszła obok Edwarda i wyszła prosto do ogrodu.

Sir Henry jak zwykle siedział na murku, ale Midge odwróciła się od niego i ruszyła w kierunku ogródka z kwiatami. Bardzo lubiła swoich krewnych, ale tego dnia nie miała ochoty na ich towarzystwo.

Na końcu ścieżki siedział na ławce David Angkatell. Chłopak był całkowicie pozbawiony wdzięku i tylko dlatego Midge usiadła obok niego. Ze złośliwą satysfakcją stwierdziła, że nie spodobało mu się to.

Jak trudno jest — pomyślał David — znaleźć chwilę samotności.

Musiał wyjść ze swojego pokoju, kiedy rozpoczął się najazd pokojówek ze ścierkami i miotłkami w rękach. Biblioteka (i „Encyclopaedia Britannica”) nie była takim sanktuarium, jak się David spodziewał. Lady Angkatell wpadała tam dwa razy mówiąc coś, na co David nie znajdował mądrej odpowiedzi. Przyszedł więc tutaj, żeby w spokoju pomyśleć. Z niechęcią przyjął zaproszenie na dwa dni, a teraz, z powodu czyjejś nagłej śmierci, będzie musiał spędzić tu prawie cały tydzień.

David lubił akademickie rozważania o przeszłości albo dyskusje o przyszłości lewicy, nie potrafił natomiast poradzić sobie z nieprzyjemną terażniejszością. Powiedział lady Angkatell

prawdę: nigdy nie czytał „News of the World”, tymczasem wydarzenia godne tej szmatławej gazety dopadły go w The Hollow.

Morderstwo! — David zatrzęsł się z obrzydzenia. Co pomyślą o tym jego przyjaciele? Jak powinno się traktować morderstwo? Jaką zająć postawę? Ostentacyjnie okazywać znudzenie? Wstręt? Rozbawienie?

Rozważał właśnie tę kwestię, nic więc dziwnego, że wcale się nie ucieszył na widok Midge. Spojrzał na nią z niechęcią. Zdziwił się, kiedy stwierdził, że w oczach dziewczyny zapłonął gniew. Co za nieprzyjemna osoba; do tego pozbawiona rozumu.

— Jak ci się podobają krewni? — spytała Midge. David wzruszył ramionami.

— Komu by się chciało myśleć o krewnych?

— Czy w ogóle o czymś chce ci się myśleć? — spytała Midge.

Ty — pomyślał David — z pewnością o niczym nie myślisz.

— Zastanawiałem się nad swoimi reakcjami na to morderstwo — powiedział łaskawie.

— Dziwnie jest — stwierdziła Midge — być zamieszanym w coś takiego.

David westchnął.

— To męczące. — Tak, taką powinien zająć postawę. — Wszystkie te rzeczy istniały dotąd jedynie na kartach powieści kryminalnych!

— Pewnie żałujesz, że tu przyjechałeś. David znów westchnął.

— Tak. Mogłem się zatrzymać u kolegi w Londynie. On prowadzi lewicową księgarnię — dodał.

— Ale tutaj jest wygodniej.

— Komu zależy na wygodzie? — spytał z pogardą David.

— Czasem mam wrażenie, że na świecie nie ma nic ważniejszego.

— To postawa ludzi, którym wszystko zawsze przychodziło z łatwością. Gdybyś musiała pracować...

— Ależ ja pracuję! — przerwała mu Midge. — I dlatego tak lubię wygodne życie. Wielkie łóżka, puchowe poduszki, poranna herbata, zanim jeszcze wstaniesz, porcelanowa wanna, mnóstwo ciepłej wody i sole do kąpieli. Potem wygodny fotel... — Midge nagle zamilkła.

— Robotnicy — stwierdził David — powinni mieć to wszystko.

Miał tylko wątpliwości co do porannej herbaty podanej do łóżka. To nie pasowało do jego wizji starannie uporządkowanego świata.

— Całkowicie się z tobą zgadzam — przytaknęła Midge.

## XV

Herkules Poirot rozkoszował się właśnie przedpołudniową filiżanką gorącej czekolady, kiedy zadzwonił telefon. Poirot wstał i podniósł słuchawkę.

— Allo!

— Pan Poirot?

— Lady Angkatell?

— Miło mi, że poznał mnie pan po głosie. Nie przeszkadzam?

— Ależ nie! Mam nadzieję, że zdążyła pani nieco odpocząć po przykrych wydarzeniach wczorajszego dnia?

— Niestety, nie. Człowiek jest jakiś rozbity. Dzwonię, żeby spytać, czy mógłby pan nas odwiedzić. Wiem, że się narzucam, ale bardzo się martwię.

— Oczywiście, lady Angkatell. Mam przyjść zaraz?

— Tak, bardzo proszę. Jak najszybciej. To bardzo miło z pańskiej strony.

— Drobiazg. Mogę przyjść ścieżką przez las?

— Oczywiście, to najkrótsza droga. Serdecznie panu dziękuję.

Poirot przejechał szczotką po klapach marynarki, narzucił lekki płaszcz, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł na ścieżkę biegnącą przez kasztanowy las. Koło basenu było pusto. Policja skończyła swoją pracę i odjechała. Okolica, oświetlona przez zamglone, jesienne słońce, wyglądała niewinnie i spokojnie.

Poirot zajrzał do pawilonu. Spostrzegł, że narzutka ze srebrnych lisów znikła, ale pudełka zapalek nadal leżą na stoliku obok jednego z foteli. Zastanowiło go to.

To nie jest odpowiednie miejsce do przechowywania zapalek. Zbyt dużo tu wilgoci. Wystarczyłoby jedno pudełko na wszelki wypadek, ale nie sześć.

Spojrzał na stolik z pomalowanego metalu. Tacę już zabrano. Na blacie ktoś narysował ołówkiem dziwaczne drzewo. Herkulesowi Poirot, miłośnikowi porządku, sprawiło to przykrość.

Pokręcił głową, westchnął i ruszył w kierunku domu zastanawiając się, z jakiego powodu go wezwano.

Lady Angkatell czekała w drzwiach wychodzących na taras i zaprosiła go do pustego salonu.

— To bardzo miło z pańskiej strony, że pan przyszedł — powiedziała, ściskając jego dłoń.

— Madame, stawiam się na pani usługi.

Lady Angkatell uniosła obie ręce i szeroko otworzyła piękne, wielkie oczy.

— Widzi pan, to bardzo trudne. Inspektor osobiście wypytuje... nie, spisuje zeznanie... przesłuchuje... Jak oni to mówią? Gudgeona. Gudgeon kieruje życiem tego domu i człowiek mu współczuje. Dla niego składanie zeznań przed policją jest czymś strasznym. Nawet inspektor Grange, który moim zdaniem jest człowiekiem sympatycznym i pewnie bardzo oddanym rodzinie... Ma zapewne synów; co wieczór pomaga im montować mechaniczne modele, podczas gdy jego żona zajmuje się domem. Jestem pewna, że panuje u nich nienaganny porządek, chociaż jest trochę ciasno...

Herkules Poirot słuchał jej ze zdumieniem.

— Nawiasem mówiąc, wasy inspektora opadają w dół — mówiła dalej lady Angkatell. — Moim zdaniem dom, w którym zawsze panuje zbyt wielki porządek, jest przygnębiający. Jak te wypucowane twarze pielęgniarek w szpitalach. Co za połysk! Tak jest tylko na prowincji, gdzie czas płynie wolniej; w Londynie mają mnóstwo pudru i jaskrawo umalowane usta. Musi pan przyjść do nas na prawdziwy obiad, kiedy już z tym skończymy.

— Bardzo mi będzie miło.

— Mnie policja nie przeszkadza — powiedziała lady Angkatell. — To nawet interesujące. „Chcę pomóc, jeśli tylko będę mogła”, powiedziałam inspektorowi Grange’owi. Zdaje się, że należy on do ludzi spokojnych, ale metodycznych. Policję zapewne bardzo interesują motywy — ciągnęła. — Skoro już mowa o szpitalnych pielęgniarzach, to zdaje się, że John Christow i ta rudowłosa pielęgniarka z zadartym nosem... Bardzo atrakcyjna. Ale to było dawno temu i policja pewnie nie będzie tym zainteresowana. Nikt chyba tak naprawdę nie wie, jak ciężkie życie miała Gerda Christow. Z natury jest lojalna, zgodzi się pan ze mną? A może po prostu wierzy w to, co się jej mówi? Moim zdaniem ktoś, komu brakuje inteligencji, mądrze robi postępując w ten sposób.

Nieoczekiwanie lady Angkatell otworzyła drzwi gabinetu i wepchnęła Poirota do środka, mówiąc: „Oto i pan Poirot”, po czym obróciła się na pięcie i wyszła.

Inspektor Grange i Gudgeon siedzieli przy biurku. W kącie tkwił jakiś młody człowiek z notesem. Gudgeon wstał. Poirot zaczął przepraszać.

— Już stąd wychodzę. Zapewniam, że nie miałem pojęcia, co lady Angkatell...

— Nic dziwnego.

Wąsy Grange’a przedstawiały jeszcze bardziej ponury widok niż wczoraj. Może — pomyślał Poirot, przejęty tym, co opowiadała o inspektorze lady Angkatell — było zbyt dużo sprzątanina, albo kupiono nowy mosiężny stół i biedny policjant nie ma się teraz gdzie ruszyć.

Ze złością odpędził te myśli. Czysty, chociaż zagracony dom inspektora Grange’a, jego żona i synowie składający mechaniczne modele — wszystko to było owocem bujnej wyobraźni lady Angkatell. Ciekawe jednak, że wydaje się tak niesamowicie realne.

— Proszę usiąść, panie Poirot — zaprosił Grange. — Chciałbym pana o coś spytać, a tutaj już właściwie kończę.

Spojrzał na Gudgeona, który wyraźnie nie kwapił się siadać na krzesło w obecności gościa. Minę miał nieprzeniknioną.

— Nic więcej nie pamiętacie?

— Nie. Wszystko było tak, jak zwykle. Nie było żadnych nieprzyjemności.

— Pozostaje jeszcze sprawa tej futrzanej narzutki z domku koło basenu. Do której z pań należy?

— Mówi pan o narzutce ze srebrnych lisów? Zauważyłem ją wczoraj, kiedy zanosłem do pawilonu kieliszki, ale ona nie należy do żadnego z mieszkańców tego domu.

— Kto więc jest jej właścicielem?

— Przypuszczalnie panna Cray. Panna Veronica Cray, aktorka filmowa. Miała na sobie coś podobnego.

— Kiedy?

— Przedwczoraj wieczorem, kiedy tu przyszła.

— Nie wspominaliście, że była tu gościem.

— Nie była gościem. Panna Cray mieszka w Dovecotes, tej... willi przy drodze. Przyszła tutaj po kolacji. Skończyły się jej zapalki i chciała od nas pożyczyć.

— Wzięła sześć pudełek? — spytał Poirot. Gudgeon odwrócił się ku niemu.

— Tak, proszę pana. Pani spytała, czy mamy duży zapas, i wcisnęła pannie Cray sześć pudełek.

— Które ta zostawiła potem w pawilonie — dodał Poirot.

— Rzeczywiście, zauważyłem je tam dzisiaj rano.

— Ten człowiek wszystko zauważy — stwierdził Poirot po wyjściu Gudgeona.

— Pozostała nam jeszcze — powiedział Grange, ożywiając się nieco — pomoc kuchenna. One mówią, w przeciwieństwie do starszego personelu. Jeden z moich ludzi prowadzi śledztwo na Harley Street — ciągnął. — Ja również wybiorę się tam jeszcze dzisiaj. Zdaje się, że żona Christowa na wiele spraw musiała przemykać oczy. Zdziwiłby się pan, gdyby

wiedział, co robią niektórzy z tych modnych lekarzy ze swoimi pacjentkami! Od lady Angkatell dowiedziałem się, że były jakieś kłopoty z powodu pielęgniarki w szpitalu. Oczywiście, nie powiedziała nic konkretnego.

— Tak — przytaknął Poirot. — To do niej podobne. Zręcznie podsunięta myśl: romanse Johna Christowa z pielęgniarkami; okazje, nadarzające się lekarzowi. Gerda Christow miała mnóstwo powodów do zazdrości i skończyło się to morderstwem.

Tak, zręcznie podsunięta myśl zwracająca uwagę na życie na Harley Street i odwracająca ją od The Hollow i od momentu, gdy Henrietta Savernake zrobiła kilka kroków, wyjęła pistolet z uległej dłoni Gerdy Christow... I od tego drugiego momentu, gdy Christow, umierając, powiedział „Henrietta”.

Poirot nagle otworzył półprzymknięte oczy i z zainteresowaniem zapytał:

— Czy pańscy synowie składają mechaniczne modele?

— Co takiego? — Inspektor Grange, wyrwany z zamyślenia, patrzył na Poirota ze zdziwieniem. — Dlaczego pan o to pyta? Są jeszcze za mali, ale myślałem, żeby kupić Teddy’emu mały zestaw na Boże Narodzenie. Dlaczego pan o to pyta?

Poirot pokręcił głową.

Lady Angkatell jest niebezpieczna — pomyślał — właśnie dlatego, że jej intuicyjne, szalone wnioski często okazują się prawdziwe. Beztroskim (może tylko z pozoru?) słówkiem buduje cały obraz; kiedy się potem okazuje, że jakaś jego część jest prawdziwa, człowiek jest gotów uwierzyć w całość.

Inspektor Grange mówił dalej:

— Chcę panu o czymś powiedzieć. Ta panna Cray, aktorka... I długa wędrówka tylko po to, żeby pożyczyć zapalki. Skoro chodziło jej o zapalki, dlaczego nie poszła do pana? Przecież ma bardzo blisko. Nie musiałaby iść taki kawał pieszo.

Herkules Poirot wzruszył ramionami.

— Może istniał jakiś powód? Na przykład snobizm. Moja willa jest mała, nieważna i przyjeżdżam tu tylko na kilka dni, podczas gdy sir Henry i lady Angkatell są kimś i mieszkają tu na stałe. Ta panna Veronica Cray mogła chcieć ich poznać i wymyśliła taki fortel.

Inspektor Grange wstał.

— Tak — zgodził się — to możliwe, ale człowiek nie chciałby czegoś przegapić. Mimo to, nadal mam wrażenie, że nie wszystko rozumiem. Sir Henry przyznał, że rewolwer należał do jego kolekcji. Okazuje się, że po południu strzelano z niego. Pani Christow mogła za nim pójść, zobaczyć, gdzie go odkłada i gdzie chowa amunicję. To proste!

— Tak — mruknął Poirot. — Zdaje się, że to całkiem proste.

W taki właśnie sposób — pomyślał — kobieta pokroju Gerdy Christow popełniłaby morderstwo. Nie uciekając się do żadnych podstępów, całkiem po prostu; kierowana nagłą złością i strachem, jaki potrafi odczuwać osoba prosta, ale gorąco kochająca.

Jednak... tak, musiała mieć podstawowy odruch samoobrony. A może działała w takim zaślepieniu, w takim wewnętrznym wzburzeniu, że nie myślała o niczym?

Przypomniał sobie jej nieruchomą, pozbawioną wyrazu twarz. Nie wiedział, ale czuł, że powinien wiedzieć.

## XVI

Gerda Christow ściągnęła przez głowę czarną sukienkę i rzuciła ją na krzesło. W jej oczach malowała się żalсна niepewność.

— Nie wiem; po prostu nie wiem — powiedziała. — Teraz nic już nie ma znaczenia.

— Wiem, kochanie; wiem.

Pani Patterson była miła, ale zdecydowana. Dobrze wiedziała, jak należy traktować ludzi, których dotknęła tragedia. „W trudnych chwilach Elsie jest niezastąpiona” — mawiano o niej w rodzinie.

Teraz siedziała w sypialni swojej siostry Gerdy przy Harley Street i „była niezastąpiona”. Elsie Patterson, kobieta wysoka i tryskająca energią, patrzyła na Gerdę z mieszaniną irytacji i współczucia.

Biedna, kochana Gerda. To prawdziwa tragedia, że w taki straszny sposób straciła męża. Gerda jeszcze nie rozumiała wszystkich implikacji tego smutnego wydarzenia. Co prawda — myślała pani Patterson — Gerda zawsze była powolna, a teraz jeszcze ten wstrząs...

— Na twoim miejscu zdecydowałabym się na tę sukienkę z czarnego dżerseju, za dwanaście gwinei.

Zawsze trzeba było podejmować za Gerdę decyzje. Gerda stała bez ruchu, ze zmarszczonym czołem.

— Nie jestem pewna, czy John pochwalał żałobę. Zdaje mi się, że raz powiedział, że nie — zawahała się.

John — pomyślała. — Gdyby John tu był, powiedziałby mi, co mam zrobić. Ale Johna nie ma i nie będzie. Nigdy, nigdy, nigdy... Stygnąca jagnięca pieczeń, sos krzepnący na stole, trzaśnięcie drzwi gabinetu... i John biegnie po dwa stopnie, jak zwykle spieszący się, pełen życia... żywy. Leży na wznak na brzegu basenu... krew powoli skapuje do wody... zimna stal rewolweru w jej dłoni...

Koszmar, zły sen, z którego zaraz się obudzi.

Głos siostry wyrwał ją z ponurego zamyślenia.

— Na rozprawie musisz mieć na sobie coś czarnego. Dziwnie byś wyglądała, gdybyś się tam pokazała w błękitnej sukience.

— Ta okropna rozprawa! — powiedziała Gerda, przytykając oczy.

— Na pewno będzie to dla ciebie bardzo przykre, kochanie — zmartwiła się Elsie Patterson — ale zaraz potem wrócisz do domu i zajmiemy się tobą.

Nagle Gerdzie rozjaśniło się w głowie.

— Co ja zrobię bez Johna? — spytała przerażona. Elsie Patterson miała na to gotową odpowiedź.

— Masz dzieci i musisz żyć dla nich.

Zena, szlochając i krzycząc: „Mój tatuś nie żyje!”, rzuca się na łóżko. Terence, pobladły, bez jednej łzy zadaje pytania.

Wypadek z rewolwerem — powiedziała dzieciom. — Biedny tatuś miał wypadek.

Beryl Collins (okazała się bardzo troskliwa) schowała poranne gazety, żeby dzieci ich nie przeczytały. Pouczyła służbę. Beryl jest nadspodziewanie miła i pomocna.

Terence przyszedł do matki, siedzącej w zacienionym salonie; usta miał zaciśnięte, twarz zieloną.

— Dlaczego tata został zastrzelony?

— To był wypadek, kochanie. Nie chcę o tym rozmawiać.

— To nie był wypadek. Dlaczego mówisz nieprawdę? Tata został zastrzelony. To było morderstwo. Tak napisali w gazecie.

— Terence, skąd wzięłeś gazetę? Powiedziałam panie Collins...



Chłopak pokiwał głową jak stary, zmęczony człowiek.

— Poszedłem do kiosku i kupiłem. Wiedziałem, że w gazetach musi być coś, o czym nam nie powiedziałaś. Inaczej nie byłoby powodu, żeby panna Collins...

Przed Terence'em nigdy się nie dało niczego ukryć. Jego dziwna, przenikliwa, naukowa ciekawość musiała zostać zaspokojona.

— Dlaczego go zabili, mamó? Gerda załamała się.

— Nie pytaj mnie o to. Nie mów o tym. Nie mogę... To straszne.

— Dowiedzą się prawdy. Muszą. To konieczne.

Taki rozsądny i opanowany. Gerda miała ochotę krzyknąć, śmiać się i płakać jednocześnie. Nic go nie obchodzi — myślała — nic a nic; po prostu zadaje pytania, jak zwykle. Nawet nie płacze.

Terence odszedł, by uniknąć współczucia ciotki Elsie. Był samotnym, małym chłopcem z zachmurzoną twarzą. Zawsze czuł się samotny, ale dopiero dzisiaj ten stan rzeczy go zmartwił. Dzisiaj — myślał — jest jakoś inaczej. Gdyby ktoś mądrze i inteligentnie odpowiedział na jego pytania! Jutro jest wtorek, razem z Nicholsonem Minorem spróbują wyprodukować nitroglicerynę. Terence czekał na ten dzień z niecierpliwością, ale teraz wcale nie jest ucieszony. Przestało mu na tym zależeć.

Terence był zdumiony samym sobą. Nie rozumiał, dlaczego eksperymenty naukowe nagle przestały go interesować. Cóż, kiedy człowiekowi zamordują ojca... — myślał. — Mój ojciec został zamordowany. Nagle coś się w nim poruszyło, zagnieździło, rosło... Był to gniew.

Beryl Collins zapukała do drzwi sypialni i weszła. Była blada, opanowana, energiczna.

— Przyszedł inspektor Grange — powiedziała. Gerda patrzyła na nią żałośnie. — Powiedział — mówiła dalej — że nie chce pani niepokoić. Zanim wyjdzie, zechce zamienić z panią kilka słów, tymczasem chce uzyskać odpowiedzi na rutynowe pytania dotyczące praktyki doktora Christowa. Sama będąc w stanie zaspokoić jego ciekawość.

— Dziękuję, Collie.

Beryl wyszła. Gerda westchnęła.

— Collie bardzo mi pomaga. Jest niezwykle praktyczna.

— Rzeczywiście — zgodziła się pani Patterson. — To doskonała sekretarka. Niestety, nie jest, biedaczka, zbyt urodziwa. Nie, żebym tego żałowała. W przypadku mężczyzny tak atrakcyjnego jak John, można było się z tego tylko cieszyć. Gerda wpadła w złość.

— Co ci chodzi po głowie, Elsie? John by nigdy... Nigdy... Mówisz tak, jakby John miał flirtować czy robić jakieś okropne rzeczy, gdyby miał ładną sekretarkę. John nie był z takich!

— Oczywiście, że nie, kochanie — uspokoiła ją pani Patterson. — Wszystkie jednak wiemy, jacy są mężczyźni!

W gabinecie inspektor Grange patrzył w chłodne, nieżyczliwe oczy Beryl Collins. Zauważył, że jest do niego wrogo nastawiona. Cóż, to chyba naturalne.

Całkiem przeciętna uroda — pomyślał. — Nie sądzę, żeby między nią a doktorem coś było. Chociaż niewykluczone, że ona coś do niego czuła. Takie rzeczy się zdarzają.

Ale nie w tym przypadku — zawyrokował, kiedy kwadrans później rozsiadł się wygodniej na swoim krześle. Beryl Collins na wszystkie pytania odpowiadała rzeczowo, bez wahania. Wszystko, co wiązało się z praktyką doktora, miała w małym palcu. Po chwili inspektor zmienił temat i zaczął dyskretnie wypytywać o stosunki między Johnem Christowem a jego żoną. Beryl stwierdziła, że Christowie byli zgodnym małżeństwem.

— Podejrzewam, że kłócili się od czasu do czasu, jak to zwykle bywa? — spytał inspektor, dyskretnie ścisząc głos.

— Nie przypominam sobie żadnych sprzeczek. Pani Christow była bardzo oddana mężowi; zachowywała się jak niewolnica — powiedziała z lekką pogardą.

Inspektor Grange zwrócił na to uwagę. Feministka z tej dziewczyny — pomyślał.

— Nigdy nie upierała się przy swoim? — spytał.

— Nie. Wszystko kręciło się wokół doktora Christowa.

— Był tyranem?

Beryl zastanawiała się chwilę.

— Nie, tego bym nie powiedziała. Był jednak człowiekiem samolubnym. Uważał za oczywiste, że pani Christow zawsze się z nim zgodzi.

— Nie miał kłopotów z pacjentami? Chodzi mi szczególnie o kobiety. Niech się pani nie waha, panno Collins. Wiadomo, że lekarze mają z tym trudności.

— Ach, o to chodzi! — zawołała Beryl z odrazą. — Doktor Christow potrafił sobie dać z tym radę. Pacjenci nie sprawiali mu kłopotów. Był wspaniałym lekarzem — dodała. W jej głosie słychać było szczerzy podziw.

— Miał jakieś romanse? — spytał Grange. — Niech pani zapomni o lojalności. Powinniśmy wiedzieć o wszystkim.

— Rozumiem to. O ile wiem, nic takiego nie miało miejsca. Powiedziała to zbyt szybko — pomyślał Grange. — Nie wie nic pewnego, ale chyba się czegoś domyśla.

— A pani Henrietta Savernake? — spytał nagle. Beryl zacisnęła usta.

— Była przyjaciółką rodziny.

— Państwo Christow nigdy się o nią nie sprzeczekali?

— Z całą pewnością nie.

Odpowiedź była zdecydowana (może nawet za bardzo).

— A panna Veronica Cray? — spytał inspektor.

— Veronica Cray? — powtórzyła Beryl z niekłamany zdumieniem.

— Była przyjaciółką doktora Christowa.

— Nigdy o niej nie słyszałam. Chociaż mam wrażenie, że skądś znam to nazwisko...

— To aktorka filmowa. Twarz Beryl rozjaśniła się.

— Oczywiście! Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie słyszałam to nazwisko. Nie miałam pojęcia, że doktor Christow ją znał.

Powiedziała to z taką pewnością, że inspektor zrezygnował z drażenia tego tematu. Zaczął wypytywać o zachowanie doktora Christowa w sobotę. Po raz pierwszy Beryl straciła pewność siebie.

— Zachowywał się inaczej niż zwykle — powiedziała powoli.

— Co niezwykłego było w jego zachowaniu?

— Był rozkojarzony. Zrobił sobie długą przerwę, zanim wezwał ostatnią pacjentkę. Zwykle, kiedy zamierzał wyjechać, bardzo się spieszył. Miałam wtedy wrażenie, że czymś się gryzie.

Nie umiała jednak powiedzieć nic bardziej konkretnego.

Inspektor Grange nie był zadowolony z tej rozmowy.

Nie udało mu się odkryć motywu, a musi mieć motyw, zanim przekaże sprawę do sądu.

Był przekonany, że Gerda Christow zastrzeliła męża. Podejrzewał, że zrobiła to z zazdrości, ale dotąd nie udało mu się znaleźć nic konkretnego. Sierżant Coombes rozmawiał z pokojówkami, ale wszystkie mówiły to samo. Pani Christow uwielbiała swojego męża.

Coś się stało — myślał inspektor — kiedy pojechali do The Hollow. Myśl o domu na wsi zaniepokoiła go. Jego mieszkańcy byli bardzo dziwni.

Zadzwoił telefon stojący na biurku. Panna Collins odebrała go.

— Do pana, inspektorze — powiedziała, podając mu słuchawkę.

— Grange, słucham. Co takiego?

Beryl zauważyła, że głos mu się zmienił, i spojrzała na niego z zainteresowaniem, ale twarz inspektora pozostała równie nieruchoma, jak zawsze. Słuchał i burczał do słuchawki:

— Tak... Tak, rozumiem. To pewne? Nie ma mowy o pomyłce? Tak... Tak... Przyjadę. Już skończyłem. Tak.

Kiedy odłożył słuchawkę, przez chwilę siedział bez ruchu. Beryl przyglądała mu się zaciekawiona.

Inspektor pozbiierał się szybko i spytał całkiem innym tonem:

— Przypuszczam, że nie ma pani na ten temat własnego zdania?

— Chodzi panu o...

— Chodzi mi o to, kto zabił doktora Christowa.

— Nie mam zielonego pojęcia, inspektorze — odparła.

— Kiedy znaleziono ciało, pani Christow stała nad nim z rewolwerem w dłoni...

Celowo nie dokończył zdania. Beryl zareagowała na tę sugestię spokojnie, bez emocji.

— Jeśli pan sądzi, że to pani Christow zabiła męża, jest pan w błędzie. Pani Christow nie jest skłonna do użycia przemocy. Jest uległa, pokorna i doktor robił z nią, co tylko chciał. Rozumiem, że okoliczności świadczą przeciwko niej, ale i tak dziwię się, że ktokolwiek może ją podejrzewać.

— Jeśli nie ona, to kto? — spytał Grange.

— Nie mam pojęcia — odparła Beryl. Inspektor podszedł do drzwi.

— Chce się pan zobaczyć z panią Christow? — spytała Beryl.

— Nie... Tak, chyba powinienem.

Beryl była zdziwiona. Zanim zadzwonił telefon, inspektor zachowywał się całkiem inaczej. Ciekawe, czego się dowiedział, że nagle się tak zmienił.

Gerda weszła do pokoju nerwowym krokiem. Wyglądała na nieszczęśliwą i zdezorientowaną. Mówiła cicho, drżącym głosem.

— Dowiedział się pan już, kto zabił Johna?

— Jeszcze nie.

— To niemożliwe, niemożliwe.

— Ale prawdziwe, pani Christow.

Pokiwała głową, patrząc w podłogę i nerwowo zwijając chusteczkę.

— Czy pani mąż miał wrogów? — spytał Grange spokojnie.

— John? Ależ nie! Był wspaniały. Wszyscy go uwielbiali.

— Nie zna pani nikogo, kto miałby do niego żal? Albo do pani? — spytał po krótkim wahaniu.

— Do mnie? — zdziwiła się. — Nie, inspektorze. Inspektor Grange westchnął.

— A panna Veronica Cray?

— Veronica Cray? Ta, która przyszła wieczorem pożyczyć zapalki?

— Tak. Znała ją pani? Gerda pokręciła głową.

— Tego wieczoru zobaczyłam ją po raz pierwszy. John ją kiedyś znał... Przynajmniej ona tak twierdzi.

— Może miała do niego o coś żal. Pani nie musiała o tym wiedzieć.

— Nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł mieć do Johna żal — powiedziała z godnością. — John był najlepszym, najbardziej oddanym... najszlachetniejszym z ludzi.

— Hm — mruknął inspektor. — Tak, oczywiście. Cóż, pożegnam się już. Zna pani termin rozprawy? W środę, o jedenastej, w Market Depleach. Wszystko będzie dobrze, nie musi się pani niepokoić. Prawdopodobnie rozprawa zostanie przełożona na następny tydzień, żebyśmy mieli więcej czasu na zebranie dowodów.

— Rozumiem. Dziękuję panu.

Stała i patrzyła na niego tępym wzrokiem. Inspektor był ciekaw, czy pani Christow zdążyła już zrozumieć, że jest główną podejrzaną.

Grange zatrzymał taksówkę. Informacja, którą otrzymał przez telefon, usprawiedliwiła ten wydatek. Nie wiedział, co ma myśleć. Ten fakt wszystko zmienia, ale jak go sobie wytłumaczyć? Był bowiem przekonany, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie. W każdym razie, sprawa nie jest tak prosta, jak mu się na początku wydawało.

## XVII

Sir Henry patrzył na inspektora Grange'a z zainteresowaniem.

— Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem — powiedział.

— To proste. Prosiłem, żeby pan sprawdził całą swoją kolekcję broni. Zakładam, że ma pan jakiś katalog.

— Oczywiście, że mam, ale przecież już potwierdziłem, że rewolwer pochodzi z mojej kolekcji.

— To nie jest takie proste.

Grange zamyślił się. Nie chciał powiedzieć więcej, niż było to konieczne, ale w tej sytuacji nie mógł uniknąć wyjaśnień. Sir Henry ma rozległe znajomości. Z pewnością spełni prośbę inspektora, chce jednak znać jej powód. Grange zdecydował się powiedzieć prawdę.

— Doktor Christow nie został zastrzelony z tego rewolweru, który zidentyfikował pan dzisiaj rano.

Sir Henry uniósł brwi.

— Interesujące! — powiedział.

Grange był tego samego zdania. Był zadowolony, że sir Henry to powiedział i że tylko tym jednym słowem skomentował niezwykłą sytuację. Bo też nic więcej nie było do powiedzenia. Interesujące — poza tym nic na razie nie wiadomo.

— Czy ma pan powód sądzić, że broń, z której padł śmiertelny strzał, pochodzi z mojej kolekcji? — spytał sir Henry.

— Nie, ale chcielibyśmy mieć co do tego pewność. Sir Henry pokiwał głową.

— Rozumiem. Zabierzmy się więc do pracy. Nie zajmie nam to dużo czasu.

Otworzył biurko i wyjął oprawny w skórę zeszyt. Otwierając go, powtórzył:

— Nie zajmie nam to dużo czasu...

Coś w jego głosie zaskoczyło Grange'a i inspektor spojrzał na gospodarza z uwagą. Sir Henry miał pochylone ramiona; wyglądał tak, jakby się nagle postarzał o kilka lat. Inspektor zmarszczył brwi.

Nie mam pojęcia, co myśleć o tych ludziach — przemknęło inspektorowi przez głowę.

— Ach!

Grange odwrócił się i spojrzał na zegar. Minęło dwadzieścia minut od chwili, kiedy sir Henry powiedział: „Nie zajmie nam to dużo czasu”.

— Tak? — spytał zniecierpliwiony.

— Brakuje rewolweru Smith and Wesson kaliber 38. Był w kaburze z brązowej skóry. Zajmował miejsce na końcu rzędu w tej szufladzie.

— Ach! — głos inspektora brzmiał spokojnie, ale Grange był podniecony. — Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Sir Henry zastanawiał się chwilę.

— Trudno mi powiedzieć, inspektorze. Ostatni raz otwierałem tę szufladę tydzień temu i sądzę... Jestem prawie pewien, że gdyby rewolweru brakowało, zauważyłbym to. Nie mogę jednak przysiąc, że go wówczas widziałem.

Inspektor Grange pokiwał głową.

— Dziękuję panu. To zrozumiałe. Muszę wracać do swoich obowiązków.

Wyszedł z gabinetu pewnym, zdecydowanym krokiem.

Po odejściu inspektora Grange'a sir Henry stał chwilę bez ruchu; potem wyszedł na taras. Jego żona, w rękawicach roboczych i z koszykiem w ręce, przycinała sekatorem jakieś krzaki. Pomachała mężowi radośnie.

— Czego chciał inspektor? Mam nadzieję, że nie będzie już zawracał głowy służbie. Oni tego nie lubią. Dla nich nie ma w tym nic zabawnego ani nowego.

— A dla nas jest?

Lady Angkatell uważnie spojrzała na męża. Ton jego głosu był jakiś dziwny. Uśmiechnęła się niewinnie.

— Jesteś zmęczony. Czy musisz tak się tym martwić?

— Morderstwo to nieprzyjemna rzecz, Lucy.

Lady Angkatell zamilkła na chwilę. Nadal przycinała gałęzie, ale widać było, że myśłami przebywa gdzie indziej. Potem jej twarz zachmurzyła się.

— Najgorsze w sekatorach jest to, że czynią obcinanie tak zajmującym, że człowiek przycina więcej gałęzi, niżby chciał. Co mówiłeś? Że morderstwo jest nieprzyjemną rzeczą? Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego. Każdy musi kiedyś umrzeć. Bez różnicy: na raka czy gruźlicę, w jakimś okropnym sanatorium, na wylew, który wykręca człowiekowi twarz, czy też od strzału, dźgnięcia nożem albo uduszenia. Koniec jest taki sam. To znaczy, zawsze jest trup. Tak kończą się wszystkie zmartwienia. Tylko krewni mają kłopoty. Kłócą się o pieniądze i o to, czy nosić żałobę, czy nie, i kto powinien dostać biurko cioci Celiny, i temu podobne.

Sir Henry usiadł na murku.

— Lucy, to będzie bardziej nieprzyjemne, niż sądziliśmy — powiedział.

— Musimy sobie z tym jakoś poradzić, kochanie. Kiedy to wszystko się skończy, wyjedziemy gdzieś, żeby trochę odpocząć. Zamiast się zamartwiać problemami dnia dzisiejszego, pomyślmy o przyszłości. Podoba mi się ten pomysł. Zastanawiałam się, czy pojechać na Boże Narodzenie do Ainswick, czy też raczej odłożyć tę przyjemność na Wielkanoc. Jak sądzisz?

— Mamy jeszcze dużo czasu na myślenie o Bożym Narodzeniu.

— To prawda, ale ja tak lubię wyobrażać sobie różne rzeczy! Może na Wielkanoc... Tak

— Lucy uśmiechnęła się radośnie. — Do tego czasu na pewno już się z tego otrząśnie.

— Kto? — Sir Henry był zdziwiony.

— Henrietta — wyjaśniła spokojnie lady Angkatell. — Myślałam, że gdyby się pobrali w październiku... Oczywiście w przyszłym roku... to moglibyśmy spędzić u nich święta Bożego Narodzenia. Myślałam też...

— Wolałbym, żebyś już przestała, kochanie. Za dużo sobie myślisz.

— Pamiętasz stodołę? Można by tam urządzić piękną pracownię. Henrietta będzie potrzebowała pracowni. Ma prawdziwy talent. Edward będzie z niej bardzo dumny. Dwóch synów i córka, tak byłoby najlepiej. Albo dwóch synów i dwie córki.

— Lucy! Ależ ty masz bujną wyobraźnię.

— Ależ, kochanie. — Lady Angkatell otworzyła szeroko swoje piękne oczy. — Edward może się ożenić tylko z Henrietta. Jest bardzo uparty. Przypomina tym mojego ojca. Trudno mu coś wybić z głowy. Henrietta musi za niego wyjść. Teraz, kiedy John Christow nie żyje, na pewno mu nie odmówi. Musiała przez niego wiele wycierpieć.

— Biedak!

— Dlaczego? Ach, chodzi ci o to, że nie żyje! Cóż, każdy musi kiedyś umrzeć. Nigdy się nie martwiłam tym, że ludzie umierają...

: Sir Henry spojrzał na żonę z zainteresowaniem.

— Zawsze sądziłem, że lubiłaś Christowa.

— Był zabawny. I miał wiele wdzięku. Ja jednak uważam, że człowiek nie powinien się do nikogo przywiązywać zbyt mocno.

Mówiąc to, lady Angkatell z uśmiechem na twarzy, bez cienia litości przycinała gałęzie kaliny.

## XVIII

Herkules Poirot wyjrzał przez okno i zobaczył Henriettę Savernake, zmierzającą do jego drzwi. Miała na sobie ten sam kostium z zielonego tweedu, co w dniu tragedii. Towarzyszył jej spaniel.

Poirot podszedł do drzwi i otworzył je. Młoda kobieta uśmiechnęła się pogodnie.

— Mogę wejść i obejrzeć pański dom? Lubię odwiedzać różne domy. Wysłałam z psem na spacer.

— Oczywiście. Spacer z psem to bardzo angielski zwyczaj.

— Wiem — przytaknęła Henrietta. — Myślałam o tym. Zna pan ten wiersz? „Powoli mijał dzień za dniem. Karmienie kaczek, z żoną spór. Do «Larga» Haendla grałem wtór, na spacer wychodziłem z psem”. — Znów uśmiechnęła się promiennie, bez żadnego powodu.

Poirot zaprosił ją do salonu. Henrietta rozejrzała się po pedantycznie wysprzątanym pokoju i pokiwała głową.

— To miłe — powiedziała. — Wszystko tu jest parzyste. Nie spodobałaby się panu moja pracownia.

— Dlaczego?

— Wszystko jest usmarowane gliną; do tego gdzieś zobaczyłby pan pojedyncze przedmioty, które mi się podobają, ale straciłyby swój urok, gdyby miały pary.

— Rozumiem. Pani jest artystką.

— A pan, panie Poirot? Poirot pochylił głowę na bok.

— Ciekawe pytanie. Sądzę, że mimo wszystko nie jestem. Spotkałem się z artystycznymi zabójstwami, dowodzącymi wielkiej wyobraźni, ale rozwikływanie zagadek nie wymaga zdolności twórczych. Do tego potrzebne jest umiłowanie prawdy.

— Umilowanie prawdy — zamyśliła się Henrietta. — Tak, to czyni pana niebezpiecznym. Czy prawda pana zadowoli?

Poirot spojrział na nią z zainteresowaniem.

— Co ma pani na myśli?

— Rozumiem, że chciałby pan wiedzieć. Pytam, czy to panu wystarczy? Czy też będzie pan musiał zrobić następny krok i podjąć dalsze działania?

Poirota zaciekawiło takie podejście.

— Sugeruje pani, że gdybym dowiedział się prawdy o śmierci doktora Christowa, mógłbym się tym zadowolić i nic w tej sprawie nie zrobić. Czy pani zna prawdę?

Henrietta wzruszyła ramionami.

— Najprościej jest podejrzewać Gerde. Jakież to cyniczne, że żona czy mąż są zawsze najbardziej podejrzani.

— Pani się z tym nie zgadza? — Mam otwarty umysł.

— Po co pani tu przyszła, panno Savernake? — spytał Poirot spokojnie.

— Muszę przyznać, że nie podzielam pańskiego umiłowania prawdy, panie Poirot. Spacer z psem dostarczył mi zręcznej, bardzo angielskiej wymówki. Angkatellowie nie mają psa, co pewnie pan wczoraj zauważył.

— Ten fakt nie umknął mojej uwagi.

— Pożyczyłam spaniela od ogrodnika. Musi pan wiedzieć, że nie jestem przesadnie prawdomówna.

Znów uśmiechnęła się promiennie. Poirot był zdziwiony; wzruszyła go tym wyznaniem.

— Jednak jest pani uczciwa — powiedział.

— Dlaczego pan tak mówi?

Była zdziwiona, może nawet zaniepokojona.

— Sądzę, że to prawda.

— Szczerłość — powtórzyła Henrietta w zamyśleniu. — Zastanawiam się, co to słowo znaczy.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w dywan; potem uniosła głowę i spojrzała Poirotowi prosto w oczy.

— Nie chce pan wiedzieć, po co przyszłam?

— Widzę, że trudno pani ubrać to w słowa.

— Chyba tak. Jutro odbędzie się rozprawa. Trzeba się zdecydować...

Przerwała. Wstała, podeszła do kominka, przesunęła kilka stojących tam ozdób, zdjęła ze środka stolika wazon z kwiatami i postawiła go nad kominkiem.

— Jak się panu podoba, panie Poirot?

— Nie podoba mi się, mademoiselle.

— Tak sądziłam. — Zaśmiała się i szybko ustawiła wszystko tak, jak było. — Cóż, jeśli człowiek chce coś powiedzieć, powinien to powiedzieć! Nie wiem dlaczego, ale z panem mogę rozmawiać. Niech pan posłucha! Czy sądzi pan, że policja powinna wiedzieć, że byłam przyjaciółką Johna Christowa?

Powiedziała to beznamiętnie. Nie patrzyła na Poirota, tylko na ścianę nad jego głową. Jednym palcem przesuwiała po wazonie, w którym stały purpurowe kwiaty. Poirot pomyślał, że w ten sposób daje upust swoim uczuciom.

— Rozumiem, że byliście kochankami? — spytał obojętnym głosem.

— Jeśli woli pan tak to ująć... Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Pani by tak tego nie ujęła?

— Nie.

— Dlaczego?

Henrietta wzruszyła ramionami, podeszła do sofy i usiadła obok Poirota.

— Lubię... precyzyjnie określać rzeczywistość — powiedziała z namysłem.

Tym wyznaniem jeszcze bardziej zainteresowała Poirota.

— Była pani kochanką doktora Christowa od... kiedy?

— Od sześciu miesięcy.

— Zdaje się, że policja bez trudu się o tym dowie.

Henrietta zastanawiała się chwilę.

— Pewnie tak. To znaczy, jeśli będą szukali takich informacji.

— Zapewniam panią, że będą.

— Ja też tak myślę. — Zrobiła krótką przerwę, naciągnęła palce, opierając je o kolano, spojrzała na nie, po czym uśmiechnęła się przyjaźnie. — Cóż, panie Poirot? Co powinnam zrobić? Pójść do inspektora Grange'a i powiedzieć... Co się mówi do takich wąsów? On ma takie domowe, rodzinne wąsiska.

Dłoń Poirota odruchowo powędrowała do jego własnej, z dumą noszonej ozdoby.

— A moje, mademoiselle?

— Pańskie wąsy, panie Poirot, to zwycięstwo sztuki. Są dziełem samym w sobie i niczego nie potrzebują. Jestem pewna, że są niepowtarzalne.

— Jak najbardziej.

— Pewnie dlatego rozmawiam z panem w ten sposób. Jeśli policja dowie się o mnie i o Johnie, czy ten fakt zostanie podany do publicznej wiadomości?

— To zależy — odparł Poirot. — Jeśli uznają ten fakt za nieistotny dla sprawy, dochowają tajemnicy. Bardzo pani na tym zależy?

Henrietta pokiwała głową. Przez chwilę przyglądała się swoim palcom, po czym gwałtownie podniosła głowę. Kiedy się odezwała, w jej głosie wreszcie było słycać emocje.

— Po co gnębić biedną Gerdę bardziej, niż to konieczne? Gerda uwielbiała Johna; teraz on nie żyje. Straciła go. Po co dokładać jej ciężaru?

— Chodzi pani o nią?

— Uważa mnie pan za hipokrytkę? Pewnie pan myśli, że gdybym szczerze troszczyła się o spokój ducha Gerdy, nie zostałabym kochanką Johna? Pan nie rozumie. To nie było tak. Ja nie zrujnowałam jego małżeństwa. Byłam tylko... jedną z wielu.

— Tak po prostu? Spojrzała na niego surowo.

— Nie, nie, nie! To nie tak, jak pan myśli. I właśnie to mnie gryzie. Wszyscy będą sobie źle myśleli o Johnie, a to nieprawda. Dlatego przysłam do pana. Miałam nadzieję, że może pan to zrozumie. To znaczy, zrozumie, kim był John. Już widzę, jak to będzie; te tytuły na pierwszych stronach gazet: „Sercowe sprawy lekarza”... Gerda, ja, Veronica Cray. John nie był taki. Niewiele myślał o kobietach. Dla niego najważniejsza była praca. Tylko to go naprawdę interesowało, podniecało. Praca była przygodą jego życia. Gdyby ktoś spytał Johna, o jakiej kobiecie myśli najczęściej, wie pan, co by powiedział? O pani Crabtree.

— Pani Crabtree? — zdziwił się Poirot. — Kim jest pani Crabtree?

Henrietta odpowiedziała na to pytanie głosem, w którym słychać było jednocześnie śmiech i łzy:

— To staruszka, brzydka, brudna, zwiędła i nieuprzejma. John bardzo ją sobie cenił. Jest pacjentką szpitala pod wezwaniem świętego Krzysztofa. Ma chorobę Ridgewaya. To bardzo rzadka przypadłość. Kończy się śmiercią. Nie ma na nią lekarstwa. Ale John był bliski znalezienia tego lekarstwa. Nie potrafię panu tego wyjaśnić, to bardzo skomplikowane; chodzi o wydzielanie jakiegoś hormonu. John eksperymentował, a pani Crabtree była jego ukochaną pacjentką. Widzi pan, ona ma w sobie wolę życia i bardzo lubi Johna. Walczyli razem. Choroba Ridgewaya i pani Crabtree od miesięcy niepodzielnie zajmowały uwagę Johna. Nic więcej się nie liczyło. Takim lekarzem był John. Te wszystkie otyłe, zamożne pacjentki z Harley Street to uboczna sprawa. Najważniejsza była naukowa dociekliwość. Bardzo bym chciała, żeby pan to rozumiał.

Uniosła ręce w geście dziwnej rozpacz. Poirot spostrzegł, że Henrietta ma piękne, wrażliwe dłonie.

— Odnoszę wrażenie, że pani to doskonale rozumie — powiedział.

— Tak, ja to rozumiałam. John przychodził do mnie i opowiadał. Mówił bardziej do siebie niż do mnie. W ten sposób porządkował myśli. Czasem wpadał w rozpacz. Nie wiedział, jak sobie poradzić ze zwiększoną intoksykacją... i nagle wpadł na pomysł, żeby połączyć dwie metody leczenia. Nie potrafię tego panu wyjaśnić. To przypominało bitwę. Nie potrafi pan sobie wyobrazić tej furii, napięcia, a czasem nawet cierpienia... Tego zmęczenia.

Przez chwilę milczała, wspominając to, co minęło.

— Zdaje się, że pani sporo wie o tej chorobie — zdziwił się Poirot.

Henrietta pokręciła głową.

— Nie. Tylko tyle, ile potrzebowałam, żeby rozumieć Johna. Kupiłam książki, żeby o tym poczytać.

Znów milczała. Twarz jej się rozpuściła, usta rozchyliły. Wspomina — pomyślał Poirot. Potem, z westchnieniem, Henrietta wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na Poirota ze smutkiem.

— Szkoda, że nie mogę panu tego wytłumaczyć...

— Ależ już mi pani wytłumaczyła.

— Naprawdę?

— Tak. Potrafię rozpoznać prawdę, kiedy ją słyszę.

— Dziękuję; ale inspektorowi Grange'owi tego tak łatwo nie wytłumaczę.

— Raczej nie. Jego będzie interesował bardziej osobisty aspekt tej znajomości.

— A przecież to było nieważne... Całkiem nieistotne — powiedziała Henrietta z przekonaniem. Poirot uniósł brwi.

— Naprawdę! — odparła jego milczące oskarżenie. — Widzi pan, w końcu zaczęłam mu przeszkadzać. Zaczął dostrzegać we mnie kobietę i to mu przeszkadzało myśleć. Zaczął się



bać, że może mnie pokochać. John nie chciał nikogo kochać. Sypiał ze mną po to, żeby o mnie nie myśleć. Chciał, żeby wszystko było lekkie, łatwe i przyjemne; jak inne jego romanse.

— A pani... — Poirot przyglądał się jej uważnie. — Pani to wystarczyło?

Henrietta wstała. Kiedy się odezwała, głos znów miała oschły.

— Nie, nie wystarczyło. Jestem tylko człowiekiem... Poirot odczekał chwilę, zanim powiedział:

— W takim razie, dlaczego...

— Dlaczego? — Spojrzała mu prosto w oczy. — Chciałam, żeby John był zadowolony; żeby miał wszystko, czego zapragnie. Chciałam, żeby mógł się spokojnie zajmować tym, co miało dla niego znaczenie: pracą. Skoro nie chciał cierpieć, nie chciał się otworzyć, zgadzałam się na to. Poirot potarł nos.

— Wspomniała pani o Veronice Cray. Ona też była przyjaciółką Johna Christowa?

— W sobotę zobaczył ją po raz pierwszy od piętnastu lat.

— Znał ją piętnaście lat temu?

— Byli zaręczeni i mieli się pobrać. — Henrietta zawróciła i usiadła na sofie. — Widzę, że muszę to wyjaśnić. John bardzo kochał Veronicę. Veronica to suka. Egoistka, nie mająca sobie równych. Zażądała, żeby John zrezygnował ze wszystkiego, na czym mu zależało, i do końca życia był tylko mężem pani Veroniki Cray. John z nią zerwał i miał rację. Ale bardzo z tego powodu cierpiał. Myślał tylko o tym, żeby się ożenić z kobietą niczym nie przypominającą Veroniki. I wziął ślub z Gerdą, którą można by nieelegancko nazwać krową. Było mu dobrze; czuł się bezpieczny, ale, co nietrudno było przewidzieć, pewnego dnia ta krowa zaczęła go irytować. Miał liczne romanse, ale nigdy nie było to nic ważnego. Gerda nic o tym nie wiedziała. Jednak, moim zdaniem, od piętnastu lat z Johnem było coś nie tak i miało to związek z osobą Veroniki. Nigdy o niej nie zapomniał; i nagle w sobotę znów się spotkali.

Po dłuższej przerwie Poirot powiedział z rozmarzeniem:

— Poszedł ją odprowadzić i wrócił do The Hollow o trzeciej nad ranem.

— Skąd pan wie?

— Pokojówkę bolał ząb.

— Lucy ma zbyt liczną służbę — powiedziała Henrietta.

— Pani też o tym wiedziała.

— Tak.

— Skąd?

Henrietta zawahała się chwilę, zanim odpowiedziała.

— Wyglądałam przez okno i widziałam, kiedy wrócił.

— Ból zęba?

Henrietta uśmiechnęła się.

— Całkiem inny ból, panie Poirot.

Wstała i podeszła do drzwi.

— Pójdę z panią — powiedział Poirot.

Przeszli na drugą stronę drogi i weszli przez furtkę na teren porośnięty młodymi kasztanowcami.

— Nie musimy przechodzić obok basenu — powiedziała Henrietta. — Możemy skrócić w lewo; dojdziemy do ogródka.

Wspinali się pod górę ścieżką biegnącą do lasu. Po chwili doszli do szerszej dróżki, biegnącej powyżej kasztanowców. Kiedy dotarli do ławeczki, Henrietta usiadła. Poirot zajął miejsce obok niej. Za plecami mieli las, a pod sobą kasztanowy młodnik. Przed nimi wijąca się ścieżka zbiegała do miejsca, gdzie połyskiwała błękitna woda. Poirot przyglądał się

Henriette bez słowa. Napięcie znikło, jej twarz złagodniała, zaokrągliła się i odmłodziła. Poirot zaczął sobie wyobrażać, jak wyglądała w dzieciństwie.

— O czym pani myśli?

— O Ainswick.

— Co to jest Ainswick?

— Ainswick? To takie miejsce.

Rozmarzona, opowiedziała mu o Ainswick. Biały, piękny dom, wielka magnolia i otaczające posiadłość, zalesione wzgórza.

— To pani dom?

— Nie. Mieszkałam w Irlandii. Do Ainswick przyjeżdżaliśmy wszyscy na wakacje: Edward, Midge i ja. To był dom Lucy. Należał do jej ojca. Po jego śmierci odziedziczył go Edward.

— Nie sir Henry? To on otrzymał tytuł.

— Tak, Komandorię Orderu Łaźni — wyjaśniła. — Henry jest dalekim kuzynem.

— Kto odziedziczył Ainswick po Edwardzie Angkatellu?

— Dziwne, ale nigdy o tym nie myślałam. Jeśli Edward się nie ożeni... — zamilkła. Na jej twarzy pojawił się jakiś cień. Herkules Poirot był ciekaw, o czym teraz myśli. — Pewnie — powiedziała Henrietta po chwili — przejmie go David. Dlatego...

— Co takiego?

— Dlatego Lucy go tu zaprosiła. David i Ainswick? — Pokręciła głową. — Nie pasują do siebie.

Poirot pokazał na ścieżkę.

— Tą ścieżką zeszła pani wczoraj na dół, nad basen? Henrietta zadrżała.

— Nie, tą drugą, biegnącą bliżej domu. Stąd przyszedł Edward. — Nagle odwróciła się do Poirota. — Czy musimy o tym rozmawiać? Nienawidzę The Hollow.

Poirot zacytował:

*Nienawidzę doliny w leśnym śpiącej cieniu  
Na skraju pól maźniętej krwawej barwy wrzosem,  
Skał, szczyzących swe piargi w upiornym milczeniu,  
I echa, co „Śmierć!” woła zawsze głuchym głosem.<sup>1</sup>*

Henrietta spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Tennyson — wyjaśnił Poirot, z dumą kiwając głową. — Poezja waszego lorda Tennysona.

Henrietta powtórzyła za nim:

— I echa, co „Śmierć!” woła zawsze głuchym głosem. Oczywiście, rozumiem — powiedziała sama do siebie. — To właśnie jest echo!

— Jak to, echo?

— To miejsce, The Hollow! Przedwczoraj prawie to dostrzegłam, kiedy weszliśmy z Edwardem na górę. Echo Ainswick. My, Angkatellowie, jesteśmy echem! Nie jesteśmy prawdziwi. John był prawdziwy. Żałuję, że go pan nie znał — powiedziała, patrząc Poirotowi prosto w oczy. — W porównaniu z Johnem wszyscy jesteśmy jak cienie. John żył naprawdę.

— Zauważyłem to w chwili jego śmierci.

— Wiem. To się czuło. Teraz John nie żyje, a my, echa, tak... To kiepski żart.

Wspomnienie młodości znikło z jej twarzy. Zaciśnęła usta, jakby nagle coś ją zabolalo. Kiedy Poirot zadał jej pytanie, nie zrozumiała.

— Przepraszam, co pan powiedział?

---

<sup>1</sup> The hollow (ang) — dolina.

— Pytałem, czy pani ciotka, lady Angkatell, lubiła doktora Christowa.  
— Lucy? Jest moją kuzynką, nie ciotką. Tak, bardzo go lubiła.  
— A pani... kuzyn... pan Edward Angkatell? Czy on lubił doktora Christowa?  
— Nie bardzo — odparła chłodno. — Mało go znał.  
— A drugi kuzyn, David Angkatell? Henrietta uśmiechnęła się.  
— Mam wrażenie, że David nienawidzi nas wszystkich. Całymi dniami przesiaduje w bibliotece, czytając „Ency—clopaedia Britannica”.  
— Ach! To młodzieniec o poważnym usposobieniu.  
— Żal mi Davida. W domu nie miał łatwego życia. Jego matka była bardzo nie zrównoważoną... inwalidką. Poczucie wyższości jest jedynym sposobem obrony, jaki zna ten chłopak. Dopóki mu się udaje nie wypaść z roli, wszystko jest w porządku, ale co jakiś czas można dostrzec jego wrażliwe wnętrze.  
— Czuł się lepszy od doktora Christowa?  
— Próbował, ale chyba mu się nie udało. Podejrzewam, że David chciałby być taki jak John Christow i dlatego nie lubił Johna.  
Poirot pokiwał głową.  
— Tak... Pewność siebie, spokój, żywotność to bardzo męskie cechy. To ciekawe, bardzo ciekawe.  
Henrietta milczała.  
Poirot dostrzegł między gałęziami kasztanowców człowieka szukającego czegoś koło basenu i schylającego się często.  
— Ciekawe... — mruknął pod nosem.  
— Proszę?  
— To jeden z ludzi inspektora Grange’a; zdaje się, że czegoś szuka.  
— Pewnie śladów. Policja zawsze szuka śladów: popiołu z papierosa, odcisku buta, spalonej zapalki.  
W jej głosie słyhać było gorzką drwinę. Poirot odpowiedział z powagą:  
— Tak, szukają tego i czasem znajdują. Jednak w tym wypadku, panno Savernake, ślady można znaleźć tylko w osobistych związkach między zaangażowanymi w tę sprawę ludźmi.  
— Obawiam się, że nie rozumiem.  
— Chodzi o drobiazgi — powiedział Poirot; odchylił do tyłu głowę i zmrużył oczy. — Nie o popiół z papierosa czy odcisk obcasa, ale o gest, spojrzenie, niespodziewane zachowanie...  
Henrietta szybko odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Poirot poczuł na sobie jej wzrok, ale nie odwrócił się.  
— Ma pan na myśli coś konkretnego? — spytała Henrietta.  
— Myślałem o tym, jak pani zrobiła kilka kroków, wzięła rewolwer z ręki pani Christow i upuściła go do wody.  
Poczuł, że zadrżała. Kiedy się odezwała, głos miała jednak spokojny.  
— Gerda jest dość niezręczna. W zdenerwowaniu mogła wystrzelić, a gdyby rewolwer był naładowany, mogłaby kogoś zranić.  
— To pani okazała się niezręczna, upuszczając go do wody.  
— Ja też byłam przejęta. Co pan sobie myśli? — spytała po chwili.  
Poirot wyprostował się i powiedział bardzo rzeczowym tonem:  
— Jeśli na rewolwerze były odciski palców... To znaczy, odciski, które zostawił ten, kto trzymał go przed panią Christow, to chciałbym wiedzieć, do kogo należały. Teraz nigdy się tego nie dowiemy.  
— Sądzi pan, że należały do mnie? Sugeruje pan, że to ja zabiłam Johna i zostawiłam koło niego rewolwer, żeby Gerda po znalezieniu męża wzięła go do ręki? To chciał mi pan dać do zrozumienia? Gdybym nawet to zrobiła, to chyba uwierzy pan, że nie zabrakłoby mi inteligencji, żeby wytrzeć odciski palców.

— Jest pani wystarczająco inteligentna, żeby rozumieć, że gdyby pani to zrobiła i gdyby na rewolwerze nie było innych odcisków palców niż pani Christow, byłoby to bardzo wymowne. Poprzedniego dnia wszyscy strzelaliście z tego rewolweru. Gerda Christow nie wycierałaby go przed użyciem, bo i po co?

— Myśli pan, że to ja zabiłam Johna? — spytała Henrietta.

— Umierając, doktor Christow wymówił pani imię.

— Sądzi pan, że to było oskarżenie? Nie.

— A więc co?

Henrietta wyciągnęła stopę i zaczęła coś rysować czubkiem buta.

— Chyba pan pamięta — powiedziała cicho — co panu przed chwilą wyznałam. Mam na myśli to, co nas łączyło...

— Tak, był pani kochankiem... Dlatego umierając wypowiedział pani imię. To wzruszające.

Spojrzała na niego ze złością.

— Musi pan ze mnie szydzić?

— Nie szydę, ale nie lubię, kiedy się mnie okłamuje, a pani, jak sądzę, właśnie to robi.

— Uprzedziłam, że nie jestem bardzo prawdomówna — powiedziała Henrietta spokojnie.

— Kiedy John wymówił moje imię, nie oskarżał mnie. Nie potrafi pan zrozumieć, że ludzie tacy jak ja, ludzie, którzy tworzą, nie potrafią zabierać życia? Ja nie zabijam ludzi, panie Poirot. Nie potrafiłabym. To szczerza prawda. Podejrzewa mnie pan tylko dlatego, że umierający człowiek, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wymówił moje imię...

— Doktor Christow doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Jego głos był pełen życia i całkiem trzeźwy; jak głos lekarza, wykonującego trudną operację.

— Ale... — Henrietta nie wiedziała, co powiedzieć.

— Nie chodzi tylko o to, co przed śmiercią powiedział doktor Christow. Ani przez moment nie sądziłem, żeby była pani zdolna zabić z premedytacją. Nie! Ale mogła pani strzelić w nagłym napadzie zazdrości. Ma pani wystarczająco bujną wyobraźnię, żeby zatrzeć za sobą ślady.

Henrietta wstała. Była blada i drżąca.

— A ja myślałam, że pan mnie lubi — powiedziała, uśmiechając się smutno.

Herkules Poirot westchnął.

— Na swoje nieszczęście, rzeczywiście panią lubię.

## XIX

Henrietta odeszła, a Poirot został na ławce. Po pewnym czasie zobaczył na dole inspektora Grange'a, mijającego basen i stanowczym krokiem skręcającego na ścieżkę obok pawilonu. Inspektor wyglądał jak człowiek, który wie, co robi. Szedł do Resthaven albo do Dovecotes. Poirot był ciekaw, o który dom chodzi. Wstał więc i wrócił tą samą drogą, którą tu przyszedł. Jeśli inspektor Grange idzie do niego, to musi mieć coś ciekawego do powiedzenia.

W Resthaven nie było jednak ani śladu gościa. Poirot spojrział w kierunku Dovecotes. Wiedział, że Veronica Cray wróciła do Londynu.

Coraz bardziej ciekawiła go ta Veronica Cray. Jasne, lśniące lisy, stos pudełek z zapalkami, nagle najście w sobotę wieczorem i w końcu rewelacje Henrietty Savernake dotyczące Johna Christowa i Veroniki. Ciekawy wzór — pomyślał Poirot. Dla niego wszystko układało się w jeden wzór: zawikłanych emocji i konfliktowych osobowości.

Czy Gerda Christow zastrzeliła męża? Czy też sprawa jest bardziej skomplikowana?

Poirot przypomniał sobie rozmowę z Henrietta i doszedł do wniosku, że tu nic nie jest proste. Henrietta doszła do wniosku, że Poirot ją podejrzewa. W rzeczywistości Poirot nie posunął się aż tak daleko. Był jednak pewien, że Henrietta coś wie albo coś ukrywa; tylko co?

Pokręcił głową. Nie był zadowolony.

Scena przy basenie. Zamierzony efekt. Wszystko z góry zaplanowane.

Przez kogo zaplanowane? Dla kogo?

Podejrzewał, że na to drugie pytanie należałoby odpowiedzieć: dla Herkulesa Poirot. Od pierwszej chwili tak myślał. Tylko że wówczas wziął to wszystko za impertynencki żart. Okazało się jednak, że to nie był żart; ale impertynencja — niewątpliwie tak.

Co do pierwszego pytania... Pokręcił głową. Nie wiedział. Nie miał pojęcia.

Przymknął oczy i przywołał w pamięci to, co wówczas zobaczył. Sir Henry — wyprostowany, odpowiedzialny, oddany sługa imperium. Lady Angkatell — wiotka, nieuchwytna, niespodziewanie i zdumiewająco uroczą, uzbrojona w groźną zdolność wypowiedzenia zaskakujących myśli. Henrietta Savernake — kochająca Johna Christowa bardziej niż siebie. Łagodny i skromny Edward Angkatell. Ciemna, silna dziewczyna — Midge Hardcastle. Oszołomiona, zdumiona twarz Gerdy Christow, trzymającej w ręce rewolwer. Urażony, młodzieńczy David Angkatell.

Wszyscy znaleźli się w kręgu zainteresowania policji. Na krótko połączyły ich wydarzenia związane z nagłą śmiercią. Każdy przeżywa tę tragedię po swojemu i każdy wkrótce wróci do swojego życia.

W grze różnych charakterów i uczuć należy odszukać prawdę. Dla Herkulesa Poirot istniała tylko jedna rzecz, bardziej interesująca od poznawania ludzi — szukanie prawdy. Uparł się, że pozna prawdę o śmierci Johna Christowa.

— Oczywiście, inspektorze — powiedziała Veronica. — Chętnie panu pomogę.

— Dziękuję, panno Cray.

Veronica Cray rozczarowała inspektora. Spodziewał się po niej przepychu, pozy, może nawet popisywania się. Nie zdziwiłby się, gdyby panna Cray urządziła dla niego przedstawienie. Chociaż i tak podejrzewał, że gra. Było jednak inaczej, niż się spodziewał. Aktorka nie przyjmowała podkreślających jej kobiecość póz i nie zaskakiwała przepychem. Inspektor miał wrażenie, że siedzi naprzeciw ładnej, doskonale ubranej kobiety z głową do interesów. Veronica Cray — pomyślał — nie jest głupia.

— Chcemy spisać pani zeznania. W sobotę wieczorem odwiedziła pani The Hollow?

— Tak. Skończyły mi się zapalki. Człowiek zapomina, że na wsi zapalki są konieczne potrzebne.

— Poszła pani aż do The Hollow? Dlaczego nie do najbliższego sąsiada, pana Poirot?

Veronica uśmiechnęła się promiennym, pewnym siebie uśmiechem, jakby miała przed sobą kamerę.

— Na pewno poszłabym do niego, gdybym wiedziała, kim jest mój sąsiad. Słyszałam tylko, że to jakiś cudzoziemiec, i obawiałam się, wie pan, że nie da mi spokoju, jeśli go raz odwiedzę.

Tak — pomyślał Grange — to doskonale wytłumaczenie. Była przygotowana na to pytanie.

— Wzięła pani zapalki — powiedział — i w jednym z gości poznała pani swojego dawnego przyjaciela, doktora Christowa?

W odpowiedzi Veronica kiwnęła głową.

— Biedny John. Nie widziałam go od piętnastu lat.

— Naprawdę? — inspektor okazał uprzejme zdziwienie.

— Naprawdę — potwierdziła bez wahania.

— Czy to spotkanie panią ucieszyło?

— Bardzo. Chyba zgodzi się pan ze mną, inspektorze, że przyjemnie jest spotkać starych znajomych?

— Czasem tak.

Veronica nie czekała na dalsze pytania.

— John odprowadził mnie do domu — powiedziała. — Chce pan pewnie wiedzieć, czy mówił coś, co pomogłoby wyjaśnić tę tragedię. Dużo o tym myślałam, ale nie mogę sobie przypomnieć nic, co mogłoby mieć znaczenie.

— O czym rozmawialiście?

— O starych dziejach. Pamiętasz to, pamiętasz tamto... — Uśmiechnęła się, rozmarzona. — Poznaliśmy się na południu Francji. John niewiele się zmienił. Postarzał się, rzecz jasna, i zrobił się bardziej pewny siebie. Jeśli dobrze zrozumiałam, jest sławny. O swoim życiu osobistym nic nie wspominał. Odniosłam wrażenie, że w małżeństwie nie był bardzo szczęśliwy, ale nie jestem tego pewna. Podejrzewam, że jego żona należy, biedaczka, do zazdrosnych i pewnie się awanturowała o każdą dobrze zbudowaną pacjentkę.

— Wcale nie — zaprzeczył Grange. — Raczej taka nie była.

— Chce pan powiedzieć — przerwała mu Veronica — że dusiła wszystko w sobie? Tak, to bywa jeszcze bardziej niebezpieczne.

— Jak widzę, jest pani przekonana, że to pani Christow zabiła męża.

— Nie powinnam tak mówić. Przed rozprawą nie należy nikogo oskarżać. Bardzo przepraszam, inspektorze. Wszystko dlatego, że moja pokojówka powiedziała, że ktoś widział panią Christow stojącą nad ciałem z rewolwerem w ręce. Pan powinien wiedzieć, jak w tych małych miejscowościach wszystko wyolbrzymiają, a służba przekazuje te nowiny z domu do domu.

— Czasem służba bardzo nam pomaga.

— Pewnie znaczna część pańskich informacji pochodzi od nich?

Grange wrócił do interesujących go tematów.

— Najważniejsze jest wiedzieć, kto miał motyw... — powiedział i zamilkł.

— Żona jest zawsze główną podejrzaną? — spytała Veronica, uśmiechając się smutno. — Jakież to cyniczne! Zwykle jest jeszcze, jak to mówią, „ta druga”. Trzeba by się zapytać, czy ona nie miała motywu.

— Sądzi pani, że w życiu doktora Christowa była jeszcze jakaś kobieta?

— Tak sądzę. Takie odniosłam wrażenie.

— Wrażenia okazują się czasem bardzo ważne — stwierdził Grange.

— Z tego, co mówił, zrozumiałam... że ta rzeźbiarka jest jego bliską przyjaciółką. Pan, jak sądzę, już o tym słyszał?

— Musieliśmy przyjrzeć się tym sprawom.

Inspektor Grange powiedział to rzeczowym, nie zobowiązującym tonem; nie dał tego po sobie poznać, ale w wielkich niebieskich oczach zauważył krótki, złośliwy błysk.

— Mówiła pani, że doktor Christow odprowadził panią do domu — powiedział Grange bardzo oficjalnym tonem. — O której godzinie się pożegnaliście?

— Niech pan sobie wyobrazi, że nie potrafię sobie przypomnieć! Chwilę rozmawialiśmy. Musiało być już bardzo późno.

— Doktor wszedł do środka?

— Tak, zaprosiłam go na kieliszek.

— Rozumiem. Myślałam, że może rozmawialiście w... pawilonie koło basenu.

Zauważył, że jej powieki drgnęły nerwowo. Wahała się chwilę, ale potem postanowiła powiedzieć prawdę.

— Dobry z pana detektyw, co? Tak, siedzieliśmy tam jakiś czas, paliliśmy papierosy i rozmawialiśmy. Skąd pan o tym wie?

Patrzyła na niego z ciekawością i z napięciem, jak dziecko, któremu pokazano ciekawą sztuczkę.

— Zostawiła pani tam futro — powiedział. Po chwili wahania dodał: — I zapalki.

— Rzeczywiście.

— Doktor Christow wrócił do The Hollow o trzeciej rano — oświadczył spokojnie inspektor.

— Naprawdę było aż tak późno? — zdziwiła się Veronica.

— Tak, panno Cray.

— Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Nie widzieliśmy się przecież ładnych parę lat.

— Jest pani pewna, że nie widziała się pani z doktorem Christowem aż tak długo?

— Już mówiłam, że nie widzieliśmy się od piętnastu lat.

— Na pewno się pani nie pomyliła? Odniosłem wrażenie, że mogła pani widywać się z nim dość często.

— Co pan ma na myśli?

— Na przykład ten liścik.

Inspektor Grange wyjął z kieszeni kartkę, spojrzął na nią, chrząknął i przeczytał:

*Przyjdź dzisiaj rano. Muszę się z tobą zobaczyć. Veronica.*

— Tak — uśmiechnęła się. — Rzeczywiście brzmi to trochę despotycznie. Obawiam się, że Hollywood czyni człowieka aroganckim.

— Nazajutrz, zgodnie z wezwaniem, doktor Christow odwiedził panią. Pokłóciliście się. Zechce mi pani powiedzieć, co was poróżniło?

Inspektor wyciągnął swoją tajną broń. Zauważył nagły gniew i zaciśnięte wargi.

— Nie kłóciliśmy się.

— Ależ tak, panno Cray. Powiedziała pani na koniec: „Bardzo cię nienawidzę. Nie wiedziałam, że potrafię tak nienawidzić”.

Veronica Cray milczała. Inspektor czuł, że usiłuje pozbierać myśli. Inna kobieta zasypałaby go gradem słów, ale Veronica była na to za sprytna. Po pewnym czasie wzruszyła ramionami i powiedziała, wcale nie zdenerwowana:

— Rozumiem. Znowu jakieś plotki, powtarzane przez służbę. Jak pan wie, wszystko można powiedzieć w różny sposób, mając różne rzeczy na myśli. Zapewniam pana, że w tym, co powiedziałam, nie było nic melodramatycznego. To była tylko kokieteria. Przekomarzaliśmy się ze sobą.

— Więc to nie zostało powiedziane na poważnie?

— Oczywiście, że nie. Zapewniam pana, inspektorze, że przez piętnaście lat nie widziałam Johna Christowa na oczy. Może pan to sprawdzić.

Znów była spokojna, opanowana, pewna siebie. Grange nie zaprzeczył.

— Na dzisiaj to wszystko — powiedział wstając.

Po wyjściu z Dovecotes inspektor Grange ruszył w kierunku Resthaven.

Herkules Poirot spojrział na inspektora ze zdumieniem.

— Rewolwer, który Gerda Christow trzymała w ręce i który później upuszczono do wody, nie jest tą bronią, z której padł śmiertelny strzał? — spytał z niedowierzaniem. — To nadzwyczajne.

— Ano właśnie, panie Poirot. To nie ma sensu.

— Rzeczywiście, to bez sensu — mruknął Poirot pod nosem. — Mimo to, musi być w tym jakiś sens. Zgodzi się pan ze mną?

Inspektor ciężko westchnął.

— Otóż to. Musimy się dowiedzieć, gdzie tu sens, ale w tej chwili nic z tego nie rozumiem. Prawdę mówiąc, dopóki nie znajdziemy broni, z której zastrzelono doktora, nie posuniemy się naprzód. Ona również pochodzi z kolekcji sir Henry'ego. W każdym razie brakuje tam jeszcze jednego egzemplarza, a to znaczy, że tak czy inaczej cała ta sprawa ma związek z The Hollow.

— Tak — mruknął Poirot. — Ta sprawa ma związek z The Hollow.

— Na początku zanosilo się na to, że wszystko się szybko wyjaśni — mówił inspektor. — Teraz pojawiły się nieoczekiwane komplikacje.

— Rzeczywiście — przyznał Poirot — sprawa się skomplikowała.

— Trzeba się zastanowić, czy to wszystko nie zostało zaplanowane tak, żeby rzucić podejrzenie na Gerde Christow. Tylko dlaczego nie zostawiono przy zwłokach tamtego rewolweru?

— Może tamtego by nie podniosła?

— Możliwe, gdyby jednak nie było na nim żadnych odcisków palców, to znaczy, gdyby go po użyciu wytarto, i tak byśmy ją podejrzewali. A o to chyba mordercy chodziło?

— Tak pan sądzi?

Grange patrzył na Poirota ze zdziwieniem.

— Gdyby pan popełnił morderstwo, chciałby pan zrzucić winę na kogoś innego, prawda? To naturalne.

— Tak — powiedział Poirot. — Nie można jednak wykluczyć, że mamy tu do czynienia z bardzo szczególnym morderstwem. Może to rozwiąże nasze problemy?

— Jakie pan widzi rozwiązanie?

— To nie jest zwykłe morderstwo — powiedział Poirot w zamyśleniu.

Inspektor Grange popatrzył na detektywa z zainteresowaniem.

— O co mordercy mogło chodzić? Do czego zmierzał?

Poirot westchnął i bezradnie rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia... Nie mam zielonego pojęcia. Mam jednak wrażenie...

— Tak?

— Że mordercy zależało na śmierci Johna Christowa, ale nie chciał, żeby podejrzewano Gerde Christow.

— Ba! Przecież to ona była pierwszą podejrzaną.

— Tak, skoro jednak prawda o rewolwerze wyszła na jaw, a to było nieuniknione, zaczęliśmy brać pod uwagę inne możliwości. Tymczasem morderca zdążył... — Poirot zamilkł w pół zdania.

— Zdążył co?

— Ach, *mon ami*, przyłapał mnie pan. Znów muszę powiedzieć, że nie mam pojęcia.

Inspektor Grange przeszedł się po pokoju, po czym stanął przed Poirotem.

— Przyszedłem dzisiaj do pana z dwóch powodów. Po pierwsze wiem, jak wszyscy w resorcie, że jest pan człowiekiem doświadczonym i rozwikłał pan niejednego zagmatwany



problem. To pierwszy powód. Jest jednak jeszcze drugi. Pan tam był. Był pan naocznym świadkiem. Widział pan to.

Poirot pokiwał głową.

— Tak, widziałem, co się stało, ale oczy, inspektorze Grange, nie są wiarygodnymi świadkami.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Czasem oczy widzą to, co się im podsuwa.

— Sądzi pan, że wszystko zostało wcześniej przygotowane?

— Podejrzewam, że tak. Wszystko to wyglądało jak z góry przygotowana scena. To, co widziałem, było dość oczywiste. Mężczyzna, którego przed chwilą zastrzelono, i kobieta trzymająca w dłoni rewolwer, z którego padł śmiertelny strzał. To właśnie widziałem, ale już wiemy, że co najmniej w jednym szczególe nie było to prawdą. Nie z tego rewolweru zastrzelono Johna Christowa.

— Hm! — inspektor ze smutkiem zaczął szarpać zwisające wąsy. — Chce pan powiedzieć, że inne szczegóły również nie musiały być prawdziwe?

— Oczywiście, nie traktuję tego bardzo poważnie — powiedział szybko Grange. — To, co myślał pan Poirot, nie może stanowić dowodu. Dobrze o tym wiem. Chodzi mi tylko o jakąś wskazówkę.

— Doskonale pana rozumiem. Wrażenie, jakie odniósł naoczny świadek, bywa czasem bardzo pomocne. Muszę jednak z pokorą stwierdzić, że moje wrażenia nie wnoszą do sprawy nic nowego. Na podstawie tego, co widziałem, byłem przekonany, że pani Christow zastrzeliła swojego męża. Dlatego kiedy doktor Christow otworzył oczy i powiedział „Henrietta”, nie przyszło mi do głowy, że to może być oskarżenie. Wspominając dzisiaj ten moment, skłonny jestem przypisywać temu wydarzeniu całkiem inne znaczenie.

— Rozumiem — powiedział Grange. — Jednak moim zdaniem, jeśli „Henrietta” było ostatnim słowem wypowiedzianym przez doktora Christowa, może to znaczyć tylko dwie rzeczy: albo to było oskarżenie, albo bardzo osobiste wyznanie. On umiera, a ona jest panią jego serca. Która z tych dwóch możliwości wydaje się panu bardziej prawdopodobna?

Poirot westchnął, zamknął oczy, poruszył się, otworzył je i załamał ręce.

— W jego głosie słyhać było naleganie, tylko tyle mogę powiedzieć. Nie wydało mi się to ani oskarżycielskie, ani sentymentalne. Tylko natarczywe! Jednego jestem pewien. Christow doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. Odezwał się tonem lekarza, który ma do czynienia z jakimś nagłym wypadkiem, na przykład z umierającym pacjentem. — Poirot wzruszył ramionami. — Nic więcej nie potrafię powiedzieć.

— Jak lekarz, co? — upewnił się inspektor. — Tak... tak też można na to patrzeć. Został zastrzelony, czuł, że umiera, i chciał, żeby mu szybko udzielono pomocy. Jeśli, jak twierdzi lady Angkatell, panna Savernake była pierwszą osobą, na którą padł jego wzrok, mógł chcieć ją o coś poprosić. Ale to mnie nie przekonuje.

— W tym przypadku nic nie jest satysfakcjonujące — powiedział Poirot z goryczą.

Scena przedstawiająca zabójstwo przygotowana po to, by zwieść Herkulesa Poirot. I rzeczywiście, udało się go oszukać. Nie, to nie może być satysfakcjonujące.

Inspektor Grange wyglądał przez okno.

— Coś podobnego — powiedział. — To Clark, mój sierżant. Zdaje się, że coś ma. Rozmawiał ze służbą. Potrafi być bardzo miły. Do tego jest przystojny i wie, jak się obchodzić z kobietami.

Sierżant Clark wpadł do środka lekko zdyszany. Było widać, że jest z siebie zadowolony, chociaż zachowywał się bardzo służbiście.

— Wiedziałem, gdzie pana szukać, pomyślałem więc, że przyjdę tu i od razu o wszystkim powiem.

Zawahał się i rzucił nieufne spojrzenie Poirotowi, którego cudzoziemski wygląd nie budził zaufania.

— Mów, chłopcze — zniecierpliwził się Grange. — Nie krępuj się obecnością pana Poirota. Minie wiele lat, zanim dowiesz się o morderstwach tyle, ile pan Poirot w ciągu swojego życia zdążył zapomnieć.

— Tak jest. Chodzi o to, że dowiedziałem się czegoś od pomocy kuchennej...

Grange spojrział na Poirota z zadowoleniem i powiedział:

— Co panu mówiłem? Tam, gdzie jest pomoc kuchenna, zawsze jest nadzieja. Nie wiem, co będziemy robili, kiedy ludzi nie będzie stać na utrzymywanie licznej służby, szczególnie w kuchni. Pomoce kuchenne wiecznie miały językami. Kucharka i starszy personel tak je ustawiają, że kiedy dziewczyny znajdą wreszcie kogoś, kto zechce ich wysłuchać, chętnie mówią wszystko, co tylko wiedzą. Mów, Clark.

— Dziewczyna twierdzi, że w niedzielę po południu widziała Gudgeona, tego lokaja, w hallu, z rewolwerem w ręce.

— Gudgeona?

— Tak jest. — Clark zajrzał do notesu. — Oto, co powiedziała: „Nie wiem, co robić, ale zdaje mi się, że powinnam powiedzieć, co widziałam. Widziałam, jak pan Gudgeon stał w hallu i miał rewolwer w ręce. Pan Gudgeon bardzo dziwnie wyglądał”. Moim zdaniem — Clark przerwał czytanie — to, że dziwnie wyglądał, nic nie znaczy. Pewnie to sobie wymyśliła. Pomyślałem jednak, że zechce się pan o tym jak najszybciej dowiedzieć.

Inspektor Grange wstał. Miał minę człowieka zabierającego się do wypełnienia zadania, z którym doskonale potrafi sobie poradzić.

— Gudgeon? — zdziwił się raz jeszcze. — Zaraz sobie porozmawiam z panem Gudgeonem.

## XX

Inspektor Grange znów usiadł za biurkiem w gabinecie sir Henry'ego. Spojrzał na nieruchomą twarz siedzącego naprzeciw niego mężczyzny. Gudgeon był bez zarzutu.

— Bardzo mi przykro — powtórzył. — Zdaję sobie sprawę z tego, że powinienem o tym powiedzieć, ale całkiem zapomniałem o tej sprawie. — Spojrzał na inspektora z pokorą. — Było około wpół do szóstej, jeśli dobrze pamiętam. Szedłem przez hall, żeby sprawdzić, czy są jakieś listy do wysłania, kiedy zauważyłem leżący na stole rewolwer. Pomyślałem, że to jeden z egzemplarzy z kolekcji pana, wziąłem go więc i odniosłem na miejsce. Na półce koło kominka było puste miejsce i tam go odłożyłem.

— Proszę mi go pokazać — powiedział Grange. Gudgeon wstał i podszedł do półki. Inspektor poszedł za nim.

— To ten, proszę pana.

Gudgeon pokazał małego mausera na końcu rzędu. Miał kaliber 25; mała broń, na pewno nie ta, z której zabito Johna Christowa.

Nie odrywając wzroku od oczu Gudgeona, Grange stwierdził:

— To jest pistolet automatyczny, a nie rewolwer. Gudgeon zakaszał.

— Tak? Obawiam się, że nie znam się na broni palnej. Może zbyt pochopnie stwierdziłem, że to był rewolwer.

— Jest pan pewien, że właśnie ten pistolet znalazł pan na stole w hallu i odłożył na miejsce?

— Tak; nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Grange powstrzymał służącego, który wyciągnął rękę w kierunku pistoletu.

— Proszę go nie dotykać. Muszę zbadać odciski palców i upewnić się, czy broń nie jest nabita.

— Nie sędzę, żeby była nabita. Sir Henry nie trzyma naładowanej broni. Jeśli zaś chodzi o odciski palców, to przed odłożeniem na miejsce wytarłem to ściereczką. Znajdzie pan tam tylko moje odciski palców.

— Dlaczego pan to zrobił? — spytał surowo Grange. Gudgeon uśmiechnął się ze skruchą.

— Miałem wrażenie, że jest zakurzony.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła lady Angkatell. Uśmiechnęła się do inspektora.

— Miło pana widzieć, inspektorze Grange! Co to za historia z Gudgeonem i rewolwerem? Ta mała z kuchni zalewa się łzami. Pani Medway ją zbesztala, chociaż dziewczyna dobrze zrobiła. Powinna powiedzieć, co widziała, skoro uznała to za swój obowiązek. Nawet mnie trudno jest czasem odróżnić dobro od zła. Łatwo jest wówczas, kiedy to, co dobre, jest nieprzyjemne, a to, co złe, sprawia przyjemność, bo wtedy człowiek wie, na czym stoi; ale kiedy jest odwrotnie, można się w tym pogubić. Nie wiem, czy pan się ze mną zgodzi, inspektorze, ale moim zdaniem każdy powinien robić to, co uważa za słuszne. Co im powiedziałeś na temat tego pistoletu, Gudgeon?

— Pistolet leżał na dużym stole w hallu, proszę pani. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Przyniosłem go tutaj i odłożyłem na miejsce. Powiedziałem o tym inspektorowi i spotkałem się ze zrozumieniem.

Lady Angkatell pokręciła głową.

— Nie powinieneś był tego robić, Gudgeon — skarciła go łagodnym głosem. — Sama porozmawiam z inspektorem.

Gudgeon drgnął.

— Rozumiem, co tobą kierowało — powiedziała lady Angkatell z ujmująco niewinną miną. — Wiem, że jesteś gotów zrobić wszystko, żeby zaoszczędzić nam kłopotów. Dziękuję.

Gudgeon zawahał się, rzucił krótkie spojrzenie sir Henry'emu, potem inspektorowi, na koniec uklonił się i wyszedł z pokoju.

Grange zrobił krótki ruch, jakby chciał go zatrzymać, ale z niezrozumiałego nawet dla niego samego powodu jego ręka zamarła w pół drogi. Gudgeon zamknął za sobą drzwi.

Lady Angkatell opadła na krzesło i uśmiechnęła się do mężczyzn.

— Uważam, że Gudgeon jest uroczy — powiedziała spokojnie. — Taki niedzisiejszy, że tak powiem.

— Czy mam rozumieć — odezwał się surowym głosem Grange — że pani, lady Angkatell, wie o tej sprawie więcej niż Gudgeon?

— Oczywiście. Gudgeon wcale nie znalazł go w hallu. Znalazł go, kiedy wyjmował jajka.

— Jajka? — Grange zdawał się nie rozumieć.

— Z koszyka — wyjaśniła lady i zamilkła. Widocznie uznała, że teraz wszystko jest już jasne.

— Musisz nam to wyjaśnić, kochanie — poprosił sir Henry. — Ani inspektor, ani ja nic z tego nie rozumiemy.

— Och! — Lady Angkatell postanowiła mówić jasno i wyraźnie. — Pistolet był w koszyku, pod jajkami.

— Co za koszyk i jakie jajka, lady Angkatell?

— Koszyk, z którym poszłam do kurnika. Pistolet był w koszyku, jajka ułożyłam na wierzchu i na śmierć o tym zapomniałam. Kiedy znaleźliśmy nad basenem biednego Johna Christowa, byłam tym tak poruszona, że upuściłam koszyk, ale Gudgeon na szczęście zdążył go złapać (mam na myśli jajka; gdyby koszyk upadł na ziemię, wszystkie by się potłukły). Potem przyniósł koszyk do domu. Później poprosiłam go, żeby zapisał na jajkach datę... Zawsze tak robię, żeby nie zjeść świeżych jaj przed tymi starszymi... Odpowiedział, że wszystko zostało zrobione. Przypominam sobie, że mówił to z naciskiem. Dlatego powiedziałam, że jest niedzisiejszy. Znalazł pistolet i odłożył go na miejsce. Pewnie dlatego, że w domu była policja. Widzę, że policja działa na służbę deprymująco. To, co zrobił, było bardzo miłe i lojalne, ale głupie, ponieważ panu, inspektorze, chodzi o prawdę, jeśli dobrze rozumiem. — Na koniec lady Angkatell posłała inspektorowi promienny uśmiech.

— Zamierzam dotrzeć do pełnej prawdy — powiedział inspektor dość ponurym głosem.

Lady Angkatell westchnęła.

— To nie jest łatwe — powiedziała. — Mam na myśli to tropienie ludzi. Mam wrażenie, że ten, kto zabił Johna Christowa, wcale nie chciał tego zrobić. Jeśli to była Gerda, to jestem pewna, że nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Dziwi mnie, że nie spudłowała; człowiek spodziewałby się po niej właśnie tego. To bardzo miłe stworzenie. Jeśli wsadzi ją pan do więzienia i powiesi, co będzie z dziećmi? Jeśli to ona zastrzeliła Johna, pewnie bardzo tego teraz żałuje. Dzieciom i tak jest już trudno ze świadomością, że ich ojciec został zastrzelony; gdyby powieszono jeszcze ich matkę, byłby to dla nich straszliwy cios. Policjanci chyba często zapominają o tych rzeczach.

— Na razie nikogo nie zamierzamy aresztować, lady Angkatell.

— To bardzo rozsądne. Od początku miałam wrażenie, że pan, inspektorze, jest rozsądnym człowiekiem.

Znów posłała policjantowi promienny uśmiech. Inspektor Grange był oszołomiony; mimo to chciał uporządkować fakty.

— Jak pani wspomniała, lady Angkatell, chciałbym poznać prawdę. Wzięła pani pistolet... Nawiasem mówiąc, który to pistolet?

Lady Angkatell pokazała głową na półkę obok kominka.

— Drugi od tej strony. Mauser, kaliber 25.

Rzeczowy ton tej ostatniej wypowiedzi zabrzmiał w uchu inspektora fałszywie. Po lady Angkatell, którą określał w myślach jako „niekonkretną” i „lekkopostreloną”, nie spodziewałby się takiej technicznej precyzji.

— Wzięła pani pistolet i włożyła go do koszyka? Dlaczego?

— Wiedziałam, że pan o to spyta — powiedziała lady Angkatell triumfująco. — Musiał istnieć jakiś powód. Nie sądzisz, Henry? — zwróciła się do męża. — Nie sądzisz, że musiał istnieć jakiś powód, dla którego zabrałam ze sobą pistolet?

— Jestem pewien, że tak — powiedział sir Henry.

— Człowiek robi różne rzeczy — tłumaczyła się lady Angkatell, patrząc przed siebie w zadumie — a potem nie pamięta, dlaczego. Jednak moim zdaniem, inspektorze, zawsze jest jakiś powód, tylko czasem trudno go sobie przypomnieć. Musiałam o czymś myśleć, kiedy wkładałam mausera do koszyka. Jak pan sądzi, co to mogło być? — spytała inspektora Grange'a.

Grange patrzył na nią bez słowa. Lady Angkatell nie była speszona; raczej pełna dobrej woli. Inspektor stracił rezon. Nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak Lucy Angkatell i nie wiedział, co ma z nią począć.

— Moja żona — odezwał się sir Henry — jest bardzo roztrzępana.

— Na to wygląda — odparł Grange niezbyt przyjemnym głosem.

— Jak pan sądzi, po co wzięłam ten pistolet? — spytała znowu lady Angkatell.

— Nie mam pojęcia, lady Angkatell.

— Przyszłam tutaj — mruzczała pod nosem. — Rozmawiałam z Simmons o powłóczkach na poduszki... Pamiętam, że podeszłam do kominka i pomyślałam, że powinniśmy kupić nowy pogrzebacz...

Inspektor Grange patrzył na nią jak urzeczony. Czuł, że kręci mu się w głowie.

— Pamiętam, że wzięłam mausera do ręki... To taka mała, poręczna broń; zawsze go lubiłam. Włożyłam go do koszyka... Koszyk przyniosłam ze sobą z pokoju kwiatowego. Myślałam o różnych rzeczach. O Simmons i o powoju na klombie wśród michałków, i o tym, że dobrze by było, żeby pani Medway wyszedł murzyn w koszuli...

— Murzyn w koszuli? — przerwał inspektor Grange.

— Czekolada z kogłem-mogłem i z bitą śmietaną na wierzchu. Cudzoziemcy lubią takie desery.

— Czy załadowała pani pistolet?

Inspektor Grange powiedział to tonem surowym i niegrzecznym. Czuł się, jakby delikatne, pajęczne nici zasnuwały mu twarz i nie pozwalały wyraźnie widzieć. Miał nadzieję, że tym pytaniem zaskoczy, a może nawet trochę przestraszy lady Angkatell, ale ona popadła tylko w zadumę, szukając odpowiedzi.

— Czy go załadowałam? To głupie, ale nie pamiętam. Sądzę jednak, że tak; zgodzi się pan ze mną, inspektorze? Chodzi mi o to, że pistolet bez amunicji do niczego by mi się nie przydał. Chciałabym sobie przypomnieć, co też mi wtedy chodziło po głowie.

— Droga Lucy — przerwał jej sir Henry — to, co ci chodzi po głowie, od lat jest powodem zmartwienia dla wszystkich, którzy cię znają.

Lady Angkatell uśmiechnęła się do męża.

— Staram się to sobie przypomnieć, Henry. Człowiek robi różne dziwne rzeczy. Wczoraj podniosłam słuchawkę telefonu i patrzyłam na nią ze zdziwieniem. Nie mogłam sobie przypomnieć, co chciałam z nią zrobić.

— Pewnie zamierzała pani do kogoś zadzwonić — powiedział inspektor.

— To zabawne, ale nie. Później sobie przypominałam. Zastanawiałam się, dlaczego pani Mears, żona ogrodnika, w taki dziwny sposób trzyma dziecko. Podniosłam słuchawkę, żeby spróbować, jak bym ją trzymała, gdyby była dzieckiem, i wtedy zrozumiałam, że pani Mears

wygląda dziwnie, ponieważ jest leworęczna i ma główkę po niewłaściwej stronie. — Lady Angkatell popatrzyła na mężczyznę z zadowoleniem, jakby oczekiwała pochwały.

Cóż — pomyślał inspektor — widocznie tacy ludzie rzeczywiście istnieją.

Nie był jednak tego do końca pewien. Podejrzał, że wszystko to może być stekiem kłamstw. Pomocnica kucharki wyraźnie powiedziała, że Gudgeon trzymał w ręce rewolwer. Trudno jednak mieć co do tego pewność. Dziewczyna nie zna się na broni palnej. Słyszała, że w związku z morderstwem mówiono o rewolwerze, a sama pewnie nie potrafi odróżnić rewolweru od pistoletu.

Zarówno Gudgeon jak i lady Angkatell wskazali na mausera, nie mieli jednak nic na potwierdzenie swoich zeznań. Równie dobrze Gudgeon mógł trzymać w ręce brakujący rewolwer, którego wcale nie odniósł do gabinetu, tylko oddał lady Angkatell. Zdaje się, że cała służba ma na jej punkcie bzika.

Załóżmy, że to ona zastrzeliła Johna Christowa. (Dlaczego? Trudno odpowiedzieć na to pytanie.) Czy wówczas służba by ją kryła i kłamała? Inspektor miał niemiłe uczucie, że tak by właśnie zrobili.

Dlaczego usiłuje mu wmówić, że nie może sobie przypomnieć... Mogła przecież wymyślić coś znacznie lepszego. Zachowywała się całkiem naturalnie. Nie okazywała zażenowania ani niepokoju. Do diabła, człowiek ma wrażenie, że ona mówi prawdę.

Inspektor wstał.

— Może zechce mnie pani powiadomić, kiedy przypomni sobie coś więcej — powiedział sucho.

— Oczywiście, inspektorze — zapewniła lady Angkatell. — Czasem coś mi się przypomina całkiem nieoczekiwanie.

Grange wyszedł z gabinetu. W hallu wsunął palce za kołnierzyk koszuli i głęboko odetchnął. Miał wrażenie, że brakuje mu powietrza. Zateśknił za swoją starą fajką, za kuflem piwa i dobrym stekiem z frytkami. Za czymś zwyczajnym i nieskomplikowanym.

## XXI

W gabinecie lady Angkatell dotykała przelotnie palcem to tego przedmiotu, to owego. Sir Henry przyglądał się jej, nie wstając z fotela. W końcu spytał:

— Dlaczego wzięłaś ten pistolet, Lucy?

— Nie jestem pewna. Zdaje mi się, że myślałam o wypadkach.

— O wypadkach?

— Tak. Te korzenie drzew — powiedziała lady Angkatell — wystające z ziemi; łatwo się o nie potknąć. Ktoś mógł sobie strzelać do celu i mógł mu zostać jeden nabój w magazynku. Oczywiście, to bardzo nieodpowiedzialne, ale ludzie często są nieodpowiedzialni. Zawsze myślałam, że wypadek to najprostszy sposób załatwienia takiej sprawy. Człowiek by potem bardzo żałował i obwiniał się...

Lady Angkatell zamilkła. Mąż nie spuszczał z niej oka. Po chwili spytał tym samym łagodnym, ostrożnym głosem:

— Kto miał mieć... wypadek?

Lucy odwróciła głowę, żeby spojrzeć na męża ze zdziwieniem.

— John Christow, rzecz jasna.

— Wielki Boże, Lucy... — zaczął, ale nagle zamilkł.

— Byłam bardzo zmartwiona — zaczęła lady Angkatell. — Martwiłam się o Ainswick.

— O Ainswick, rozumiem. Zawsze bardzo ci zależało na tej posiadłości. Czasem mam wrażenie, że to jedyna ważna dla ciebie rzecz na ziemi.

— Edward i David są ostatnimi z Angkatellów. David jest do niczego. Nigdy się nie ożeni, z powodu swojej matki i tych wszystkich rzeczy. Po śmierci Edwarda odziedziczy posiadłość, ale pozostanie kawalerem, a my oboje umrzemy, zanim on osiągnie wiek dojrzały. Będzie ostatnim z Angkatellów i wszystko się skończy.

— Czy to jest aż tak ważne, Lucy?

— Oczywiście, że tak! Chodzi przecież o Ainswick!

— Powinnaś się była urodzić chłopakiem — powiedział sir Henry i uśmiechnął się pod nosem. Nie potrafił sobie wyobrazić Lucy jako mężczyzny.

— Wszystko zależy od tego, czy Edward się ożeni, a on jest uparty jak osioł. Ma taką samą podłużną czaszkę jak mój ojciec. Miałam nadzieję, że da sobie spokój z Henriettą i poślubi jakąś miłą dziewczynę, ale teraz widzę, że sprawa jest beznadziejna. Potem miałam nadzieję, że romans Henrietty i Johna potoczy się zwykłym torem. Jego związki, jak sądzę, nigdy nie były trwałe. Ale widziałam, jak na nią patrzył w sobotę. Naprawdę mu na niej zależało. Myślałam, że gdyby się udało usunąć Johna, Henrietta mogłaby wyjść za Edwarda. Ona nie należy do osób żyjących wspomnieniami i przeszłością. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby się pozbyć Johna Christowa.

— Lucy! Ty chyba nie... pozbyłaś się Johna Christowa? Lady Angkatell wstała i wyjęła z wazonu dwa zwiędłe kwiaty.

— Kochanie — powiedziała — chyba nie myślisz, że to ja zabiłam Johna Christowa? Miałam ten głupi pomysł z wypadkiem, ale potem sobie przypomniałam, że sami zaprosiliśmy Christowa do siebie; on się tu nie wpraszał. Nie można zapraszać kogoś po to, żeby zaaranżować wypadek. Nawet Arabowie przestrzegają praw gościnności. Nie martw się tym, Henry.

Stała i patrzyła na męża z pogodnym, czułym uśmiechem.

— Zawsze się o ciebie martwię, Lucy — powiedział sir Henry zmęczonym głosem.

— Niepotrzebnie, kochanie. Sam widzisz, że wszystko się dobrze ułożyło. Pozbyliśmy się Johna nie kiwnąwszy w tej sprawie palcem. To mi przypomina — dodała lady Angkatell —

tego człowieka z Bombaju, który był dla mnie taki nieuprzejmy. Trzy dni później przejechał go tramwaj. — To mówiąc, otworzyła drzwi i wyszła na taras.

Sir Henry śledził wzrokiem jej wysoką, szczupłą sylwetkę. Miał zmęczoną, postarzałą twarz człowieka, który wie, co to strach.

W kuchni Doris Emmott kurczyła się pod gradem wymówek Gudgeona. Pani Medway i panna Simmons powtarzały jego słowa, jak chór w greckiej tragedii.

— Zgłaszasz się na ochotnika i dzielisz swoimi pochopnymi wnioskami, jak jakaś niedoświadczona smarkula.

— Właśnie — przytaknęła pani Medway.

— Jeśli widziałas mnie z pistoletem w ręce, powinnaś przyjść do mnie i powiedzieć: „Panie Gudgeon, może zechciałby mi pan to uprzejmie wyjaśnić”.

— Albo mogłaś przyjść do mnie — wtrąciła pani Medway. — Zawsze chętnie powiem młodej dziewczynie nie znającej świata, co powinna myśleć.

— Nie powinnaś natomiast — powiedział srogim głosem Gudgeon — paplać przed tym policjantem; w dodatku przed sierżantem. Staraj się unikać policji, jeśli to tylko możliwe. Wystarczy, że kręcą się po całym domu.

— To bardzo przykre — mruknęła panna Simmons.

— Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nic podobnego.

— Wszyscy wiemy — ciągnął Gudgeon — jaka jest nasza pani. Nic, co pani robi, nie jest w stanie mnie zdziwić. Ale policja nie zna pani tak dobrze jak my. To nie do pomyślenia, żeby ktoś zawracał pani głowę głupimi pytaniami i podejrzeniami tylko dlatego, że chodziła sobie z bronią w koszyku. W jej przypadku nie ma w tym nic niezwykłego, ale policja wszędzie węszy morderstwa i inne niemiłe rzeczy. Pani jest zawsze nieobecna duchem i nigdy nie skrzywdziłaby nawet muchy, ale faktem jest, że odkłada różne rzeczy w przedziwne miejsca. Nigdy nie zapomnę — powiedział Gudgeon, do głębi poruszony — jak przyniosła do hallu żywego homara i położyła go na tacy. Zaskoczyła mnie tym, chociaż niejedno w życiu widziałem!

— To musiało być, zanim ja tu przyszłam — powiedziała zaciekawiona Simmons.

Pani Medway zerknęła na zbłąkaną Doris, żeby sprawdzić, jakie wywarli na niej wrażenie.

— Jeszcze o tym porozmawiamy. Mówimy to wszystko tylko dla twojego dobra, Doris. Tylko pospółstwo zadaje się z policją; nie zapominaj o tym. Możesz już wrócić do jarzyn. Uważaj na fasolkę, wczoraj była połamana.

Doris pociągnęła nosem.

— Dobrze, pani Medway — powiedziała i posłusznie podeszła do zlewu.

— Obawiam się, że nie będę dzisiaj miała dobrej ręki do ciasta — powiedziała pani Medway, pełna najgorszych przeczuc. — Jutro ta okropna rozprawa. Ile razy o tym pomyślę, wszystko się we mnie przewraca. Żeby nam się przytrafiło coś podobnego!



## XXII

Haczyk przy furtce zabrzączał. Poirot wyrzwał przez okno i zobaczył gościa. Poznał ją od razu. Był ciekaw, czego może od niego chcieć Veronica Cray.

Wniosła do pokoju delikatny zapach, który Poirot natychmiast rozpoznał. Miała na sobie kostium z tweedu i wysokie buty, jak Henrietta, ale — pomyślał Poirot — w niczym nie jest do Henrietty podobna.

— Panie Poirot! — Głos miała przyjemny, lekko niespokojny. — Dopiero teraz się dowiaduję, kto jest moim sąsiadem. Zawsze pragnęłam pana poznać.

Przyjął jej wyciągnięte dłonie i pochylił się nad nimi.

— Cała przyjemność po mojej stronie, madame.

Z uśmiechem na ustach przyjęła ten hołd. Nie chciała herbaty, kawy ani koktajlu.

— Nie, dziękuję. Przyszłam, żeby z panem porozmawiać. Poważnie. Jestem zmartwiona.

— Jest pani zmartwiona? Przykro mi. Veronica usiadła i westchnęła.

— Chodzi o śmierć Johna Christowa. Jutro odbędzie się rozprawa. Wiedział pan o tym?

— Tak, wiedziałem.

— To wszystko jest tak nieoczekiwane... — Zamilkła. — Ludzie by mi nie uwierzyli — podjęła po chwili — ale pan jest inny. Pan zna ludzką naturę.

— Odrobinę — potwierdził Poirot.

— Był u mnie inspektor Grange. Wbił sobie do głowy, że pokłóciłam się z Johnem. Do pewnego stopnia ma rację, ale to nie było tak, jak on myśli. Powiedziałam mu, że nie widziałam Johna od piętnastu lat, ale on mi nie wierzy. A przecież to prawda, panie Poirot.

— Jeśli tak, z pewnością będzie można to udowodnić. Co panią martwi? — spytał Poirot.

Veronica odwzajemniła jego przyjazny uśmiech.

— Prawda jest taka, że nie miałam odwagi powiedzieć inspektorowi, co się naprawdę wydarzyło w sobotę wieczorem. To takie niezwykle, że z pewnością by mi nie uwierzył. Czuję jednak, że muszę się komuś zwierzyć. Dlatego przychodzę do pana.

— Pani mi pochlebia — powiedział Poirot spokojnie.

Zauważył, że przyjęła te uprzejme słowa za rzecz najzupełniej naturalną. Ta kobieta — pomyślał — dobrze wie, jakie robi wrażenie. Jest tak pewna siebie, że czasem przecenia swoje możliwości.

— Piętnaście lat temu byłam z Johnem zaręczona. Był we mnie bardzo zakochany. Tak bardzo, że czasem mnie to przerażało. Chciał, żebym zrezygnowała z aktorstwa, z samodzielnego myślenia i życia. Był tak władczy i zachłanny, że nie mogłam tego znieść i zerwałam zaręczyny. Obawiam się, że John ciężko to przeżył.

Poirot mruknął coś ze współczuciem.

— Nie widziałam go aż do ostatniej soboty. Odprowadził mnie do domu. Powiedziałam inspektorowi, że rozmawialiśmy o starych czasach... i w pewnym sensie tak było. Ale to nie wszystko.

— Tak?

— John oszalał... Chciał zostawić żonę i dzieci. Zażądał, żebym się rozwiodła i wyszła za niego. Powiedział, że nigdy mnie nie zapomni, że kiedy mnie zobaczył, wszystko przestało się liczyć.

Veronica zamknęła oczy i ciężko przelknęła. Umakijażowana twarz była blada. Po chwili otworzyła oczy i uśmiechnęła się nieśmiało.

— Uwierzy pan, że takie uczucie jest możliwe? — spytała.

— Tak, myślę, że to możliwe — przyznał Poirot.

— Nigdy nie zapomnieć... Czekać... Planować... Żyć nadzieją. Być gotowym zrobić wszystko, byle tylko w końcu dostać to, czego się pragnie. Istnieją tacy mężczyźni, panie Poirot.

— I takie kobiety również. Spojrzała na niego uważnie.

— Mówię o mężczyznach... O Johnie Christowie. Tak to było. Na początku protestowałam, śmiałam się z niego, nie traktowałam go poważnie. Potem powiedziałam mu, że chyba oszalał. Do domu wrócił bardzo późno. Długo się sprzeczałyśmy. Mimo to pozostał niewzruszony. — Znów głośno przełknęła. — Dlatego nazajutrz do niego napisałam. Nie mogłam tego tak zostawić. Musiałam go przekonać, że chce rzeczy niemożliwej.

— Czy rzeczywiście było to niemożliwe?

— Oczywiście, że nie! Przyszedł do mnie. Nie chciał słyszeć, co mu mam do powiedzenia. Upierał się przy swoim. Powiedziałam mu, że nic z tego, że go nie kocham, że go nienawidzę... — przerwała na moment; ciężko oddychała. — Musiałam być brutalna. Rozstaliśmy się w gniewie. A teraz on nie żyje.

Poirot widział, jak splatała i wykręcała ręce. Dłonie miała duże, okrutne. Czuł, że jest wzburzona, ale nie było w niej smutku ani żalu; Veronica była zła. To gniew egoistki — pomyślał Poirot — której nie udało się dostać tego, czego pragnęła.

— I cóż pan powie, panie Poirot? — głos znów miała spokojny. — Co mam zrobić? Opowiedzieć o wszystkim, czy raczej zachować to w tajemnicy? Tak było, ale obcemu człowiekowi trudno będzie w to uwierzyć.

Poirot przyglądał się jej uważnie. Nie wierzył, żeby Veronica Cray mówiła prawdę, mimo to w jej słowach czuło się szczerłość. To wszystko się wydarzyło — pomyślał — ale nie w ten sposób.

Nagle zrozumiał. Jej historia była prawdziwa, ale Veronica odwróciła role. To ona nie potrafiła zapomnieć o Johnie Christowie. To ona była zaskoczona niespodziewanym odtrąceniem. Ta tygrysyca nie potrafiła się w milczeniu uporać z wściekłą złością, że odmówiono jej tego, co uważała za swoją zdobycz, i przekreśliła prawdę tak, by w ten sposób zaspokoić swoją zranioną pychę i uciszyć nieco tęsknotę za mężczyzną, który wyrwał się z jej szponów. Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że ona, Veronica Cray, nie mogła dostać tego, czego pragnie. Dlatego przekreśliła wszystko na opak.

Poirot nabrał w płuca powietrza i powiedział:

— Gdyby to mogło mieć związek ze śmiercią Johna Christowa, musiałyby pani o tym powiedzieć, jednak w tej sytuacji nie widzę takiej potrzeby. Uważam, że ma pani pełne prawo zachować tę tajemnicę dla siebie.

Był ciekaw, czy poczuje się rozczarowana. Podejrzewał, że najchętniej opowiedziałaby swoją historyjkę dziennikarzom i przeczytała ją na pierwszych stronach gazet. Dlaczego do niego przyszła? Żeby sprawdzić, jaka będzie jego reakcja? A może po to, żeby przez niego przekazać swoją historyjkę dalej?

Nawet jeśli ta odpowiedź ją rozczarowała, nie dała tego po sobie poznać. Wstała i podała mu wąską, zadbaną dłoń.

— Dziękuję, panie Poirot. To, co pan mówi, brzmi bardzo rozsądnie. Cieszę się, że do pana przyszłam. Chciałam, żeby ktoś znał prawdę.

— Będę milczał jak grób, madame.

Kiedy wyszła, Poirot uchylił okno. Był wrażliwy na zapachy. Perfumy Veroniki nie przypadły mu do gustu. Były drogie, ale duszące; jak jej osobowość.

Trzepiąc firanki zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Veronica Cray zabiła Johna Christowa. Był przekonany, że chętnie by to zrobiła. Z przyjemnością nacisnęłaby spust i przyglądała się, jak Christow się chwieje i pada. Jednak pod jej mściwym gniewem kryła się chłodna, inteligentna dusza, zdolna starannie ocenić szansę, opanowana i sprytna. Veronica

Cray miała ochotę zabić Johna Christowa, jednak Poirot miał wątpliwości, czy podjęłaby takie ryzyko.

## XXIII

Rozprawa dobiegła końca. Dopelniono ostatnich formalności. Wszystkich zainteresowanych uprzedzono, że nie powinni się spodziewać zbyt wiele, mimo to na niektórych twarzach malowało się rozczarowanie.

Na prośbę policji termin następnej rozprawy wyznaczono za dwa tygodnie.

Gerda z panią Patterson przyjechały z Londynu wynajętym daimlerem. Pani Christow była ubrana w czarną sukienkę i nie dodający jej uroku kapelusz. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i oszołomionej.

Zamierzała wsiąść do daimlera, zatrzymała się jednak na chwilę, kiedy podeszła do niej lady Angkatell.

— Jak się masz, kochanie? Mam nadzieję, że nie cierpisz na bezsenność. Moim zdaniem, wszystko poszło gładko. Żałuję, że nie zatrzymałaś się w The Hollow, rozumiem jednak, że nie byłoby to dla ciebie przyjemne.

Pani Patterson spojrzała na siostrę z dezaprobatą, niezadowolona, że jej nie przedstawiono, i wtrąciła swoim donośnym głosem:

— Pani Collins zaproponowała, żebyśmy tu przyjechały i zaraz potem wróciły do domu. To dość kosztowne, ale uznałyśmy, że to najlepsze rozwiązanie.

— Całkowicie się z panią zgadzam.

— Zabieram Gerdę i dzieci do Bexhill. Potrzeba jej odpoczynku i spokoju. Ci reporterzy! Nie ma pani pojęcia! Na Harley Street dosłownie roi się od nich — powiedziała pani Patterson, ścisząc głos.

Jakiś młody człowiek wyciągnął aparat fotograficzny. Elsie Patterson szybko wepchnęła siostrę do samochodu. Przez moment pod nietwarzowym rondem kapelusza widać było twarz Gerdy, pustą, zagubioną, jak u ograniczonego umysłowo dziecka.

— Nawet mi jej żal — mruknęła pod nosem Midge Hardcastle.

— Co ci ludzie widzieli w tym Christowie? — zirytował się Edward. — Ta kobieta wygląda tak, jakby jej serce miało pęknąć z żalu.

— Świata poza nim nie widziała — stwierdziła Midge.

— Dlaczego? Był bardzo samolubny. W towarzystwie wesoły, ale... — przerwał; po chwili spytał: — Co ty o nim sądzisz, Midge?

— Ja? — zastanowiła się Midge. Kiedy się odezwała, zdziwiły ją własne słowa: — Myślę, że darzyłam go szacunkiem.

— Szacunkiem? Dlaczego?

— Znał się na tym, co robił.

— Chodzi ci o to, że był dobrym lekarzem?

— Tak.

Nie mieli czasu na dalszą wymianę poglądów. Henrietta obiecała odwiedzić Midge do Londynu swoim samochodem. Edward wracał na obiad do The Hollow; po południu miał razem z Davidem wrócić pociągiem do domu.

— Musimy kiedyś zjeść razem obiad — powiedział do Midge. Midge odparła, że to bardzo miło z jego strony, ale że w południe ma tylko godzinną przerwę w pracy. Edward uśmiechnął się czule i powiedział:

— Nieczęsto bywam w Londynie, dlatego jestem pewien, że ten jeden raz okażą ci wspaniałość. — Zwrócił się do Henrietty i rzucił: — Zadzwoń do ciebie.

— Dzwonię; obawiam się jednak, że trudno mnie będzie zastać w domu.

— Nie będzie cię w domu?

Spojrzała na niego, uśmiechając się z drwiną.

— Będę musiała topić gdzieś swoje smutki — wyjaśniła. — Chyba nie sądzisz, że będę siedziała w domu i płakała w chusteczkę?

— Ostatnio przestałem cię rozumieć. Zmieniłaś się.

Twarz Henrietty złagodniała.

— Kochany Edward — powiedziała niespodziewanie i uścisnęła mocno jego dłoń. Potem odwróciła się do lady Angkatell. — Mogę cię odwiedzić, jeśli przyjdzie mi na to ochota?

— Oczywiście, kochanie — zapewniła ją lady Angkatell. — Tak czy inaczej, za dwa tygodnie odbędzie się kolejna rozprawa.

Henrietta poszła po samochód, zaparkowany na rynku. Bagaze Midge były już w środku. Panie wsiadły do samochodu i odjechały.

Samochód wspiął się pod górę i wyjechał na biegnącą szczytem drogę. Pod nimi brązowe i złote liście drżały w chłodzie jesiennego dnia.

— Cieszę się, że stąd wyjeżdżam — powiedziała nagle Midge. — Mam dość Lucy. Jest kochana, ale czasem mnie przeraża.

Henrietta wpatrywała się w lusterko wsteczne.

— Lucy wszystkiemu musi nadać coś z artyzmu koloratury; nawet morderstwu — powiedziała, jakby do siebie.

— Wiesz, nigdy dotąd nie myślałam o morderstwach.

— Bo i po co? O takich rzeczach człowiek woli nie myśleć. To tylko dziesięcioliterowe słowo w krzyżówkach albo przyjemna rozrywka, urozmaicająca akcję książki. W rzeczywistości jednak... — Henrietta zamilkła.

— Najbardziej zaskakujące, że to staje się tak prawdziwe — dokończyła Midge.

— Ty nie powinnaś być zaskoczona. Ciebie jedynej to nie dotyczy.

— Teraz wszyscy się od tego uwolniliśmy — powiedziała Midge. — Zostawiliśmy to za sobą.

— Tak? — mruknęła pod nosem Henrietta.

Znów patrzyła w lusterko wsteczne. Nagle mocniej nacisnęła gaz. Samochód pomknął do przodu. Zerknęła na wskaźnik prędkości. Jechały coraz szybciej.

Midge ukradkiem spojrzała na Henriettę, która nie miała w zwyczaju jeździć nieostrożnie. Lubiała wprawdzie prędkość, ale nie na krętej, górskiej drodze. Teraz na ustach rzeźbiarki błąkał się ponury uśmieszek.

— Obejrzyj się, Midge. Widzisz tamten samochód?

— Tak.

— To ventnor 10.

— Tak? — Midge nie była tym zbyt zainteresowana.

— To sympatyczne, małe auta. Niewielkie zużycie paliwa, dobrze trzymają się drogi, ale nie są szybkie.

— Nie?

To dziwne — pomyślała Midge — że Henriettę zawsze interesowały samochody i ich możliwości.

— Jak już mówiłam, nie są szybkie, ale temu udaje się jakoś zachować ten sam dystans między nami, chociaż pędzimy coraz szybciej.

Midge spojrzała na Henriettę ze zdziwieniem.

— Chcesz powiedzieć... Henrietta kiwnęła głową.

— Zdaje się, że policja ma całkiem zwykłe samochody, ale z podrasowanymi silnikami.

— Sądzisz, że będą mieli na nas oko?

— To oczywiste. Midge zadrżała.

— Henrietto, czy rozumiesz, o co chodzi z tym drugim pistoletem?

— Nie, ale to wyklucza Gerdę. Poza tym nic więcej z tego nie wynika.

— Ale jeśli to był pistolet Henry'ego...

— Tego nie wiemy. Nie zapominaj, że jeszcze nie odnaleziono tamtej broni.

— To prawda. To mógł być ktoś obcy. Wiesz, kogo chętnie widziałabym w roli mordercy? Tę kobietę.

— Veronicę Cray?

— Tak.

Henrietta nic nie powiedziała. Skoncentrowana na prowadzeniu samochodu, nie odrywała wzroku od drogi.

— Uważasz, że to możliwe? — spytała Midge.

— Możliwe? Tak — odparła z wahaniem Henrietta.

— To znaczy, że nie wierzysz...

— To na nic, myśleć coś tylko dlatego, że chcesz tak myśleć. Rzeczywiście, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Oczywiście by nas!

— .Nas? Ależ...

— Wszyscy jesteśmy w to zamieszani. Nawet ty, droga Midge, chociaż w twoim przypadku trudno by im było znaleźć motyw. Oczywiście, ja też chciałabym, żeby to była Veronica. Bardzo chętnie zobaczyłabym, jak zasiada na ławie oskarżonych i daje przedstawienie (jak to określiła Lucy)!

Midge rzuciła jej krótkie spojrzenie.

— Powiedz mi, Henrietto, nie masz ochoty się zemścić?

— Chodzi ci o to — Henrietta zrobiła krótką przerwę — że kochałam Johna?

— Tak.

W jednej chwili Midge ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy ubrała tę prawdę w słowa. Wszyscy: Lucy, Henry, Midge, a nawet Edward, uznawali za oczywisty fakt, że Henrietta kocha Johna Christowa, ale nikt nigdy o tym nie mówił.

W rozmowie nastąpiła krótka przerwa. Henrietta zastanawiała się. Po chwili powiedziała zamyślona:

— Nie potrafię powiedzieć, co czuję. Możliwe, że sama nie potrafię sobie tego uświadomić.

Były już na Albert Bridge.

— Wpadnij do mojej pracowni, Midge — poprosiła Henrietta. — Wypijemy herbatę, a potem odwiezę cię do domu.

W Londynie dzień zaczynał już gasnąć. Zatrzymały się przed drzwiami pracowni. Henrietta włożyła klucz do zamka. Weszły do środka i zapaliły światło.

— Zimno tu — powiedziała. — Zapalę w piecyku. O nie, zapomniałam kupić zapalek.

— Zapalniczka nie wystarczy?

— Popsuła mi się; zresztą i tak trudno byłoby nią zapalić w piecu gazowym. Rozgość się. Na rogu ulicy zwykle stoi ślepy staruszek. Zawsze kupuję u niego zapalki. Za chwilę będę z powrotem.

Midge została sama. Zaczęła przyglądać się dziełom Henrietty. Dziwnie się czuła w towarzystwie drewnianych i brązowych postaci.

Była tu głowa z brązu, z wystającymi kośćmi policzkowymi, przedstawiająca chyba żołnierza Armii Czerwonej. Była też przestrzenna kompozycja z czegoś, co przypominało aluminiową wstążkę; ta zaciekała Midge. Była też wielka żaba z różowawego granitu. W kącie pracowni Midge zauważyła bardzo interesującą drewnianą postać prawie naturalnych rozmiarów.

Przyglądała się jej, kiedy Henrietta otworzyła drzwi i, lekko zdyszana, weszła do środka. Midge odwróciła się do niej.

— Co to jest? Coś przerażającego?

— To? To jest Czciiciel. Dla International Group. Patrząc na rzeźbę, Midge powtórzyła:

— To przerażające.

Henrietta przyklękła, żeby zapalić ogień.

— Jestem zaskoczona — powiedziała, odwracając głowę. — Dlaczego uważasz, że to przerażające?

— Chyba dlatego, że nie ma twarzy.

— Masz rację, Midge.

— To bardzo ciekawe.

— Ładny kawałek drewna — powiedziała Henrietta, wstając z kolan. Rzuciła swoją torbę i futro na kanapę. Położyła na stoliku kilka pudełek zapalek.

Midge była zaskoczona wyrazem twarzy kuzynki. Malowało się na niej niczym nie uzasadnione wzruszenie.

— Zaraz zaparzę herbatę — powiedziała Henrietta. Midge usłyszała w jej głosie tę samą radość, którą wcześniej dostrzegła na twarzy.

Było w tym coś dziwnego, ale Midge szybko o tym zapomniała, bo widok pudełek z zapalkami obudził w niej wspomnienia.

— Pamiętasz zapalki, które dostała Veronica Cray?

— Lucy wcisnęła jej aż pół tuzina pudełek.

— Czy ktoś sprawdził, czy rzeczywiście nie miała u siebie zapalek?

— Sądzę, że policja się tym zajęła. Są bardzo dokładni.

Na ustach Henrietty pojawił się dziwny, triumfalny uśmiech. Midge była zdziwiona i odrobinę zirytowana.

Czy Henrietta rzeczywiście kochała Johna? — zastanawiała się. — Czy to możliwe? Chyba nie.

Nagle przeszył ją zimny dreszcz. Edward nie będzie musiał długo czekać — pomyślała.

To małostkowe, ale ta myśl wcale się jej nie spodobała. A przecież życzyła Edwardowi szczęścia. Wiedziała, że nie ma u niego żadnej szansy. Dla Edwarda zawsze będzie tylko „małą Midge” i nikim więcej. Nigdy nie zobaczy w niej kobiety, którą mógłby pokochać. Na nieszczęście, Edward należy do mężczyzn stałych w uczuciach, którzy zazwyczaj dostają to, czego chcą.

Edward i Henrietta w Ainswick... Tak powinna się zakończyć ta historia. Edward szczęśliwy u boku Henrietty. Midge wyobrażała to sobie bez trudu.

— Rozchmurz się, Midge — powiedziała Henrietta. — Nie możesz pozwolić, żeby to morderstwo psuło ci humor. Może zjemy dzisiaj razem kolację gdzieś na mieście?

Midge odparła, że chciałyby już wrócić do siebie. Ma jeszcze dużo pracy, musi napisać kilka listów. Szybko wypije herbatę i chciałyby już jechać.

— Odwiozę cię.

— Mogę wziąć taksówkę.

— Bzdura! Możemy przecież wziąć mój samochód, skoro stoi przed domem.

Na zewnątrz powietrze było wilgotne. Kiedy dojechały do końca Mews, Henrietta pokazała Midge stojący na poboczu samochód.

— Ventnor 10. Zobaczysz, że pojedzie za nami.

— To wstrętne!

— Tak sądzisz? Mnie to nie przeszkadza.

Henrietta odwiozła Midge, wróciła na Mews i odstawiła samochód do garażu. Potem wróciła do pracowni. Przez chwilę stała zamyślona, bębniąc palcami w gzyms nad kominkiem. Potem westchnęła i mruknęła do siebie:

— Trzeba się zabrać do pracy. Nie powinnam tracić czasu.

Przebrała się w kombinezon. Pół godziny później cofnęła się nieco, żeby spojrzeć na swoje dzieło. Policzki miała pobrudzone gliną, włosy zmierzwione, ale na widok modelu stojącego na podeście z zadowoleniem pokiwała głową.

Było to coś podobnego do konia. Poprzylepiane były do niego wielkie bryły gliny. Gdyby porucznik kawalerii zobaczył takiego konia, dostałby apopleksji, nie był on bowiem podobny do żywego zwierzęcia. Irlandzcy przodkowie Henrietty byłiby oburzeni. Mimo to bez trudu rozpoznawało się w tej rzeźbie takiego konia, jakim widział go abstrakcyjny umysł.

Henrietta zastanawiała się, co pomyślałby o rzeźbie inspektor Grange, gdyby ją kiedyś zobaczył. Wyobrażając sobie jego minę, uśmiechnęła się pod nosem.



## XXIV

Edward Angkatell stanął niepewnie w tłumie ludzi spieszących Shaftesbury Avenue. Zamierzał wejść do sklepu z wypisanym na witrynie złotymi literami nazwiskiem madame Alfregé. Instynkt podpowiedział mu, że lepiej zrobi nie dzwoniąc do Midge i nie uprzedzając o swoich zamiarach. Fragment rozmowy telefonicznej, który słyszał w The Hollow, zaniepokoił go. W głosie Midge była uległość i uniżoność; rozzłościło go to.

Pomyśleć tylko, że Midge, taka radosna i wygadana, była zmuszona do takiej uległości; że z pokorą znosi nieuprzejmość i bezczelność kobiety, z którą rozmawiała przez telefon. To nie w porządku; nie można patrzeć na to z założonymi rękami. Kiedy powiedział jej o tym, Midge bez ogródek stwierdziła, że nie może stracić tej pracy, że nową byłoby bardzo trudno znaleźć i że w pracy trzeba pogodzić się z rzeczami o wiele bardziej nieprzyjemnymi niż wypełnianie nudnych obowiązków.

Edward wiedział, że w dzisiejszych czasach wiele młodych dziewcząt podejmuje pracę. Jeśli się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że pracują, ponieważ to lubią; praca daje im poczucie niezależności i urozmaica życie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że praca od dziewiątej do osiemnastej z godziną przerwą na obiad uniemożliwia dziewczętom korzystanie z wielu przyjemności. Dopiero teraz z przykrością uświadomił sobie, że Midge musi zrezygnować z obiadu, żeby pójść do galerii sztuki; że nie może wysłuchać popołudniowego koncertu, wyjechać za miasto w pogodny dzień, spokojnie zjeść obiadu w jakiejś ustronnej restauracji; że musi poprzestać na sobotnich i niedzielnych wycieczkach za miasto i zadowolić się szybkim posiłkiem w zatłoczonym barze. Bardzo lubił Midge. Mała Midge — tak nazywał ją w myślach. Przyjeżdżała do Ainswick onieśmielona i małowówna; dopiero po pewnym czasie nabierała odwagi i zaczynała okazywać uczucia i interesować się światem.

Edward żył przeszłością. Chwilę obecną traktował podejrzliwie, jak coś, co jeszcze nie zostało sprawdzone; dlatego dotąd nie myślał o Midge jak o dorosłej kobiecie.

Dopiero tego wieczoru w The Hollow, kiedy wrócił do salonu zziębnięty i drżący po dziwnej wymianie zdań z Henriettą, kiedy Midge uklękła, żeby rozpalić ogień w kominku, po raz pierwszy zauważył, że Midge nie jest już wrażliwym dzieckiem, lecz dojrzałą kobietą. Zmartwiło go to; przez chwilę miał wrażenie, że stracił coś, co było częścią Ainswick. Pod wpływem nagłego impulsu powiedział z gniewem: „Żałuję, że tak rzadko się widzimy, mała Midge”.

Kiedy stał na tarasie zalanym światłem księżyca i rozmawiał z Henriettą, która niespodziewanie okazała się kimś innym niż kobieta, którą od dawna znał i kochał, ogarnęła go panika. Potem zmienił się kolejny element stałego wzoru, w jaki splatała się nić jego życia. Mała Midge była częścią Ainswick, ale przestała być tamtą małą Midge; wyrosła na odważną, ale smutną kobietę, której właściwie nie znał.

Od tego czasu czuł się niespokojny i miał do siebie żal, że wcale się nie troszczył o szczęście i dobro Midge. Myśl o niewdzięcznej pracy u madame Alfregé nie dawała mu spokoju, aż postanowił tu przyjechać i na własne oczy zobaczyć, jak wygląda sklep.

Edward rzucił podejrzliwym spojrzeniem na wystawę, na której wisiała skąpa czarna sukienka z cienkim złotym paseczkiem, nieprzyzwoicie obcisłe sweterki i suknia wieczorowa z tandetnej koronki. Edward nie znał się na kobiecych strojach, odniósł jednak wrażenie, że te tutaj są krzykliwe i nieeleganckie.

Nie — pomyślał — to miejsce nie jest jej godne. Ktoś (może lady Angkatell?) powinien coś z tym zrobić.

Z trudem pokonując nieśmiałość, wyprostował skulone ramiona i wszedł do środka. Czuł się skrępowany. Dwie wyzywające dziewczyny o platynowych włosach i skrzekliwych

głosach oglądały sukienki, wystawione w gablotach; obsługiwała je sprzedawczynie o ciemnej karnacji. W głębi sklepu jakaś drobna kobieta z wydatnym nosem i o nieprzyjemnym głosie klóciła się z zaskoczoną klientką o jakies poprawki w wieczorowej sukni. Z przymierzalni obok dał się słyszeć podniesiony kobiecy głos:

— Okropna, po prostu okropna. Nie może mi pani przynieść czegoś porządnego?

Midge odpowiedziała głosem cichym, pełnym szacunku, przekonującym:

— Ta w kolorze wina jest bardzo przyjemna. Powinno być w niej pani do twarzy. Może zechce pani...

— Nie zamierzam tracić czasu na przymierzanie czegoś, co nie nadaje się do niczego. Niech się pani trochę postara. Już pani mówiłam, że nie chcę nic czerwonego. Gdyby pani słuchała, co się do niej mówi...

Szyja Edwarda poczerwieniała. Miał nadzieję, że Midge ciśnie tej babie sukienkę w twarz, ale Midge powiedziała:

— Zaraz coś znajdę. Zielona pewnie też się pani nie spodoba? A brzoskwiniowa?

— Okropna. Po prostu okropna! Nie, dziękuję pani. To strata czasu.

Madame Alfregę uwolniła się od towarzystwa otyłej klientki i podeszła do Edwarda.

— Czy mógłbym rozmawiać... Czy jest tu panna Hardcastle?

Brwi madame Alfregę powędrowały w górę, ale na widok eleganckiego ubrania Edwarda uśmiechnęła się uprzejmie, co było jeszcze bardziej nieprzyjemne niż jej wrzask. Z przymierzalni znów dał się słyszeć zrzędlawy głos klientki:

— Proszę uważać! Ależ pani jest niezdarna. Rozerwała mi pani siatkę na włosach.

— Bardzo przepraszam — odparła Midge drżącym głosem.

— Głupia niezdara. Nie, sama sobie poradzę. Proszę podać mi pasek.

— Panna Hardcasztle za chwileczkę będzie wolna — powiedziała madame Alfregę, mierząc Edwarda chytrym wzrokiem.

Z przebieralni wyszła kobieta o jasnych włosach; sprawiała wrażenie osoby złośliwej. W ręce niosła kilka paczek. Midge, w skromnej czarnej sukience, otworzyła przed nią drzwi; była blada i nieszczęśliwa.

— Przyjechałem, żeby zabrać cię na obiad — powiedział Edward prosto z mostu.

Midge spojrzała na zegar.

— Będę wolna dopiero piętnaście po pierwszej — zaczęła. Było już dziesięć po pierwszej. Madame Alfregę powiedziała łaskawie:

— Jeśli pani chce, panno Hardcasztle, zwolnię panią wcześniej, szkoro przyjechał do pani przyjaciel.

— Dziękuję, madame Alfregę — mruknęła Midge. — Za chwileczkę będę gotowa — powiedziała do Edwarda i zniknęła w głębi sklepu.

Edward, zmieszany, ponieważ madame Alfregę wymówiła słowo „przyjaciel” z dwuznacznym mrugnięciem, czuł się bardzo nieswojo. Madame Alfregę już chciała rozpocząć z nim rozmowę, ale nagle otworzyły się drzwi i do sklepu weszła zamożnie wyglądająca kobieta z pekińczykiem. Madame Alfregę, wyczuwając okazję na zrobienie dobrego interesu, szybko do niej podeszła.

Po chwili wróciła Midge; miała na sobie płaszcz. Edward wziął ją za łokieć i wyprowadził na ulicę.

— Boże! — powiedział. — I ty musisz to znosić? Słyszałem, jak ta baba w przebieralni się do ciebie odzywała. Jak możesz na to pozwolić? Dlaczego nie cisnęłaś jej tych sukienek w twarz?

— Gdybym zrobiła coś podobnego, straciłabym pracę.

— Nie powiesz mi, że nie przychodzi ci ochota rzucać w te kobiety, czym popadnie.

Midge westchnęła.

— Oczywiście, że przychodzi. Czasami, szczególnie pod koniec tygodnia w czasie letnich wyprzedaży, kiedy jest strasznie duszno, obawiam się, że zamiast pokornie przytakiwać, wreszcie powiem wszystkim, żeby się wypchali.

— Midge... Kochana mała Midge, nie możesz dłużej tego znosić.

Midge zaśmiała się niepewnie.

— Nie denerwuj się, Edwardzie. Po co tu przyjeżdżałeś? Mogłeś do mnie zadzwonić.

— Chciałem zobaczyć to na własne oczy. Martwiłem się. Lucy do swojej najmłodszej służącej nie odzywa się tak, jak ta kobieta do ciebie. To nie w porządku, żebyś musiała znosić nieuprzejmość i bezczelność. Midge, jak mi Bóg miły, miałbym ochotę cię stąd zabrać i zawieźć do Ainswick. Chętnie zatrzymałbym taksówkę, wsadził cię do środka i zawiózł do Ainswick pociągiem o czternastej piętnaście.

Midge zatrzymała się. Nagle opadła z niej cała sztuczna nonszalancja. Przedpołudnie było długie i męczące, klientki nieprzyjemne, a madame uszczypliwa. Odwróciła się do Edwarda, zagniewana.

— Więc dlaczego tego nie zrobisz? Jest mnóstwo taksówek! Edward patrzył na nią oszołomiony, zaskoczony nagłą złością. To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

— Musisz tu przyjeżdżać i opowiadać takie rzeczy? — krzyczała. — Dla ciebie to tylko niewiele znaczące uprzejmości. Uważasz, że jest mi przyjemnie, kiedy po kilku godzinach prawdziwego piekła przypominasz, że istnieją takie miejsca jak Ainswick? Sądzisz, że będę ci wdzięczna za to, że będziesz tu stał i opowiadał, jak bardzo chciałbyś mnie z tego wszystkiego wyciągnąć? Jesteś taki miły i szczerzy! Ale to tylko słodkie słówka. Nie mówisz tego poważnie! Nie przyszło ci do głowy, że byłabym gotowa zaprzedać własną duszę, żeby móc wsiąść do pociągu o drugiej piętnaście i pojechać do Ainswick, zostawiając to wszystko za sobą? Chciałeś dobrze, Edwardzie, ale jesteś okrutny. Mówisz rzeczy... mówisz...

Stali twarzą w twarz, utrudniając ruch na zatłoczonej o tej porze Shaftesbury Avenue, ale nie widzieli nic oprócz siebie. Edward poczuł się, jakby nagle wyrwano go ze snu.

— Do diabła, niech ci będzie — powiedział. — Pojedziesz do Ainswick o czternastej piętnaście.

Uniósł laskę i zatrzymał taksówkę. Samochód stanął przy krawężniku. Edward otworzył drzwi. Midge, lekko oszołomiona, weszła do środka.

— Na stację Paddington — powiedział Edward do kierowcy, siadając obok Midge.

Milczeli. Midge zacisnęła wargi. Jej oczy patrzyły wyzywająco i buntowniczo. Edward patrzył przed siebie. Kiedy stanęli na światłach na Oxford Street, Midge powiedziała nieuprzejmym tonem:

— Zdaje się, że postanowiłeś mi udowodnić, że nie miałam racji.

— Nie miałaś racji — odparł Edward.

Taksówka nagle ruszyła. Dopiero kiedy skręciła z Edgware Road na Cambridge Terrace, Edward odzyskał swoją normalną postawę wobec życia.

— Nie zdążymy na czternastą piętnaście — powiedział i zastukał w szybkę. — Proszę jechać do Berkeley.

— Dlaczego nie zdążymy? Jest dopiero dwadzieścia pięć po pierwszej.

Edward uśmiechnął się.

— Nie masz żadnego bagażu, mała Midge. Koszuli nocnej, szczoteczki do zębów ani stosownego obuwia. Następnny pociąg odjeżdża o szesnastej piętnaście. Zjemy obiad i pogadamy o wszystkim.

Midge westchnęła.

— To cały ty, Edwardzie. Zawsze byłeś praktyczny. W twoim przypadku nagły impuls nie trwa długo. To było jak piękny sen, ale się skończyło.

Wsunęła rękę w jego dłoń i uśmiechnęła się jak za dawnych czasów.

— Przepraszam, że cię skrzyczałam — powiedziała. — Muszę jednak powiedzieć, że byłeś bardzo irytujący.

— Tak — przyznał. — Pewnie masz rację.

Weszli do Berkeley. Dostali stolik przy oknie. Edward zamówił jedzenie. Kiedy kończyli kurczaka, Midge westchnęła i powiedziała:

— Muszę wracać do sklepu. Przerwa się kończy.

— Dzisiaj zjesz obiad w spokoju, nawet gdybym musiał tam wrócić i kupić połowę ubrań z tego sklepu!

— Kochany Edward! Jesteś bardzo miły.

Zjedli jeszcze naleśniki. Potem kelner przyniósł kawę. Mieszając ją, Edward powiedział:

— Ty naprawdę kochasz Ainswick, prawda?

— Czy musimy rozmawiać o Ainswick? Przeżyłam to, że nie zdążyliśmy na czternastą piętnaście, i zaczyna do mnie docierać, że o szesnastej piętnaście też nie może być mowy, ale nie musimy rozgrzebywać tej świeżej rany.

Edward uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, nie będę się upierał, że pojedziemy pociągiem o szesnastej piętnaście, ale naprawdę zapraszam cię do Ainswick. Na stałe, jeśli tylko potrafisz ze mną wytrzymać.

Przyglądała mu się znad filizanki. Po chwili drżącą ręką odstawiała ją na spodek.

— Co to ma znaczyć, Edwardzie?

— Proponuję, żebyś za mnie wyszła, Midge. Nie udaję, że to bardzo romantyczna propozycja. Jestem starym nudziarzem, dobrze o tym wiem. Nie na wiele ci się przydam. Całymi dniami czytam książki i obijam się po kątach. Nie jestem nadzwyczajny, ale znamy się tak długo, a samo Ainswick... mogłoby ci chyba wystarczyć jako rekompensata... Mogłabyś być tam szczęśliwa. Pojedziesz?

Midge przełknęła głośno i powiedziała:

— Myślałam, że Henrietta... — powiedziała i zamilkła.

— Trzy razy prosiłem Henriettę o rękę — głos Edwarda brzmiał spokojnie. — Za każdym razem mi odmawiała. Henrietta wie, czego nie chce.

Zapadła chwila ciszy.

— A ty, droga Midge, co mi odpowiesz? — spytał Edward. Midge spojrzała na niego.

— To cudowne — powiedziała. — Podano mi niebo na talerzu, i to w Berkeley!

Twarz Edwarda rozjaśniła się. Na moment przykrył jej dłonie swoimi.

— Niebo na talerzu — powiedział. — Tym jest dla ciebie Ainswick? Och, Midge, bardzo się cieszę.

Oboje byli szczęśliwi. Edward zapłacił rachunek i dał suty napiwek. W restauracji było coraz mniej ludzi.

— Musimy iść — powiedziała Midge z wysiłkiem. — Powinam wracać do madame Alfregé. Czeka na mnie. Nie mogę jej tak zostawić bez słowa wyjaśnienia.

— Powinnaś pójść, żeby złożyć rezygnację czy co tam potrzeba. Ale do pracy już nie wrócisz. Na to się nie zgodzę. Najpierw jednak musimy odwiedzić Bond Street. Tam jest wiele sklepów z biżuterią.

— Biżuteria?

— Tak się chyba robi, prawda?

Midge roześmiała się.

W nieco mrocznym sklepie z biżuterią Midge i Edward pochylili się nad tackami z lśniąщими pierścionkami zaręczynowymi. Sprzedawca spoglądał na nich życzliwie. Edward odsunął wyłożoną welwetem tacę.

— Tylko nie szmaragdy — powiedział.

Henrietta w stroju z zielonego tweedu... Henrietta w sukni koloru jaspisu... Nie, nie szmaragdy. Midge poczuła w sercu nagłe ukłucie.

— Sam wybierz — powiedziała do Edwarda.

Edward pochylił się nad tacką. Wybrał pierścionek z pojedynczym diamentem. Kamień nie był wielki, ale miał piękny kolor i ślicznie błyszczał.

— Ten mi się podoba.

Midge kiwnęła głową. Pochwalała niezawodny, wyszukany gust Edwarda. Wsunęła pierścionek na palec. Edward i sprzedawca odeszli na bok.

Edward wypisał czek na trzysta czterdzieści dwa funty i z uśmiechem na ustach wrócił do Midge.

— Chodź, potraktujemy madame Alfrege bardzo niegrzecznie — powiedział.

## XXV

— Kochanie, jestem zachwycona!

Lady Angkatell wyciągnęła do Edwarda kruchą dłoń, a drugą dotknęła Midge.

— Dobrze zrobiłeś, Edwardzie, że zmusiłeś ją do zostawienia tego okropnego sklepu i przywiozłeś ją tutaj. Oczywiście, że zostanie u mnie. Stąd pojedzie do ślubu. Do Świętego Grzegorza; to prawie pięć kilometrów drogą, chociaż przez las tylko półtora kilometra, ale do ślubu nie idzie się przez las. Będziemy musieli się zadowolić proboszczem. Biedny człowiek, jesienią zawsze jest przeziębiony. Wikary ma piękny głos; wszystko byłoby o wiele bardziej wzniosłe i religijne, że tak powiem. Trudno jest zachować podniosły nastrój, kiedy ktoś mówi przez nos.

Należało się spodziewać takiego przyjęcia — pomyślała Midge. Miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie.

— Chciałabym stąd pojechać do ślubu — powiedziała.

— To już postanowione, kochanie. Kremowy atlas i książeczka do nabożeństwa, oprawna w kość słoniową, zamiast bukietu. Druhny?

— Nie. Nie chcę parady. To ma być cichy ślub.

— Wiem, co masz na myśli, kochanie, i muszę przyznać ci rację. Na jesiennych ślubach zawsze są chryzantemy, a to takie przyziemne kwiaty. Druhny należałoby wybrać bardzo starannie, bo zawsze jakaś nie pasuje do reszty i psuje efekt, ale trzeba ją poprosić, bo jest siostrą pana młodego. Chociaż Edward — ucieszyła się lady Angkatell — nie ma siostry.

— To moja wielka zaleta — odparł z uśmiechem Edward.

— Dzieci zachowują się na ślubach okropnie — mówiła dalej lady Angkatell. — Wszyscy je podziwiają; jakie słodkie, mówią, ale moja droga! Jakież to nerwy! Przydeptują welon, wołają swoją nianię albo wymiotują. Zawsze się zastanawiałam, jak dziewczyna może z powagą pójść do ołtarza, cały czas niepewna tego, co dzieje się za jej plecami.

— Za mną nikt nie musi iść — powiedziała pogodnie Midge. — Nie muszę nawet mieć welonu. Mogę pójść do ślubu w zwykłej garsonce.

— Ależ nie, Midge; nie jesteś przecież wdową. Nie; będzie suknia z kremowego atlasu. Na pewno nie od madame Alfrege.

— Na pewno nie od madame Alfrege — powtórzył za nią Edward.

— Zabiorę cię do Mireille — postanowiła lady Angkatell.

— Droga Lucy, nie mogę sobie pozwolić na zakupy u Mireille.

— Bzdury, Midge. Razem z Henrym przygotowujemy ci wyprawę. Henry odda cię panu młodemu. Mam nadzieję, że zmieści się w wyjściowe spodnie. Ostatni raz byliśmy na ślubie dwa lata temu. Ja włożę...

Lady Angkatell zamilkła i zmrużyła oczy.

— Co włożysz, Lucy?

— Coś w kolorze hortensji — powiedziała rozmarzonym głosem lady Angkatell. — Pewnie weźmiesz na drużbę któregoś ze swoich przyjaciół, Edwardzie? Bo jeśli nie, to jest przecież David. Mam wrażenie, że jemu wyszłoby to na dobre. Musiałby zachować powagę i poczułby, że go lubimy. Mogę się założyć, że to jest dla niego bardzo ważne. To bardzo zniechęcające, kiedy człowiek jest taki mądry, a mimo to nie lubiany. Chociaż to ryzykowny krok. Mógłby zgubić obrączkę albo upuścić ją w decydującej chwili. Obawiam się, że Edward byłby niespokojny. Byłoby ciekawe, gdyby ślub odbył się w tym samym gronie, w którym doszło do morderstwa. — Ostatnie zdanie lady Angkatell wypowiedziała zdawkowym tonem.

— Tej jesieni lady Angkatell zaprosiła grono przyjaciół na morderstwo — powiedziała zbulwersowana Midge.

— Tak. — Lucy była zamyślona. — Tak to, niestety, zabrzmiało. Przyjęcie ze strzelaniną. Ale przecież tak to właśnie było.

Midge zadrzała.

— Całe szczęście, że już po wszystkim — powiedziała.

— Nie całkiem. Rozprawa została przełożona na późniejszy termin. Inspektor Grange obstawił okolicę swoimi ludźmi. Zadeptują lasy i straszą rolników. Pojawiają się nagle w najmniej oczekiwanych miejscach.

— Czego szukają? — spytał Edward. — Rewolweru, z którego zastrzelono Christowa?

— Chyba tak. Przyszli do nas z nakazem rewizji. Inspektor gorąco przepraszał i był bardzo onieśmielony. Powiedziałam mu, że cała przyjemność po naszej stronie. To było bardzo ciekawe. Zaglądali wszędzie. Chodziłam za nimi i pokazałam im kilka miejsc, o których nie pomyśleli. Ale nic nie znaleźli. Byliśmy rozczarowani. Biedny inspektor Grange, schudł ostatnio i bez przerwy szarpie wąsy. W tak trudnych chwilach żona powinna mu serwować specjalnie pożywne kolacje. Coś mi się jednak wydaje, że dla tej kobiety ważniejsze jest lśniące linoleum niż solidny posiłek. Skoro już rozmawiamy o jedzeniu, to przypomniałam sobie właśnie, że muszę pójść, porozmawiać z panią Medway. To dziwne, ale służba nie potrafi pracować, kiedy w domu jest policja. Wczorajszego sufletu z serem nie dało się przełknąć. Kiedy kucharka jest zdenerwowana, suflet ani ciasto nigdy jej nie wyjdą. Gdyby nie starania Gudgeona, połowa służby już by pewnie odeszła. Może pójdziecie teraz na spacer i pomożecie policji szukać rewolweru?

Herkules Poirot siedział na ławce, z której rozciągał się widok na kasztanowy młodnik i na basen. Nie czuł się nieproszonym gościem, ponieważ lady Angkatell upoważniła go do korzystania z lasu, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Herkules Poirot zastanawiał się nad serdecznością, cechującą zachowanie lady Angkatell.

Czasem słyszał trzask gałązek, dochodzący gdzieś z lasu, albo widział jakąś postać w lasku u stóp zbocza.

Później od strony drogi nadeszła Henrietta. Kiedy zobaczyła Poirota, stanęła. Potem podeszła i usiadła obok niego.

— Dzień dobry, panie Poirot. Byłam u pana, ale nikogo nie zastałam. Przypomina pan greckiego boga. Przygląda się pan polowaniu? Inspektor jest pełen energii. Czego oni szukają? Rewolweru?

— Tak, panno Savernake.

— Jak pan sądzi, znajdą go?

— Sądzę, że tak. Powiedziałbym nawet, że już wkrótce. Henrietta rzuciła mu zaciekawione spojrzenie.

— Czyżby pan sądził, że wie, gdzie jest ta broń?

— Nie, ale mimo to sądzę, że wkrótce zostanie znaleziona. Nadszedł już czas.

— Opowiada pan dziwne rzeczy, panie Poirot.

— Tutaj dzieją się dziwne rzeczy. Szybko wróciła pani z Londynu.

Henrietta zaśmiała się z goryczą; twarz miała ściągniętą.

— Przestępca wraca na miejsce zbrodni? Tak mówi stare powiedzenie. Więc jednak myśli pan, że ja to zrobiłam? Nie uwierzył pan, kiedy powiedziałam, że tego nie zrobiłam... Że nie mogłabym nikogo zabić?

Poirot milczał. Dopiero po chwili powiedział:

— Od początku miałem wrażenie, że to przestępstwo jest albo bardzo proste, tak proste, że trudno w to uwierzyć (czasem prostota może być zaskakująca), albo bardzo skomplikowane. To znaczy, że mamy przeciw sobie umysł zdolny knuć zawile i genialne plany. Ilekroć zbliżaliśmy się do prawdy, odciągano nas na bok, na trop wikłający sprawę i prowadzący donikąd. Ta bezowocność i jałowość nie są naturalne; zostały zaplanowane, są sztuczne. Przeciw nam knuje bardzo subtelny i genialny umysł. Jak dotąd, udaje mu się.

— Co z tego? Co to ma wspólnego ze mną?

— Mamy przeciw sobie umysł twórczy.

— Rozumiem. To ja — powiedziała Henrietta i zamilkła. Usta miała zaciśnięte. Z kieszeni zakietu wyjęła ołówek i zaczęła rysować na jasnym drewnie ławki dziwne, powykrzywiane drzewo.

Poirot przyglądał się jej. Coś mu się przypomniało: jak po południu w dniu, kiedy popełniono morderstwo, stał w salonie lady Angkatell i przyglądał się zapisowi brydżowemu i jak nazajutrz, w pawilonie, zadał Gudgeonowi pewne pytanie.

— To samo narysowała pani na zapisie brydża: drzewo.

— Tak. — Henrietta wyglądała tak, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co robi. — To Ygdrasil.

— Dlaczego nazywa je pani Ygdrasilem?

Henrietta wyjaśniła to.

— Zawsze, kiedy się pani zamyśli, rysuje pani to drzewo?

— Tak. To zabawne, nie uważa pan?

— Tutaj, na ławce; w sobotę wieczorem na kartce z zapisem robra i w niedzielę w pawilonie...

Dłoń trzymająca ołówek zeszywniała.

— W pawilonie? — spytała Henrietta wesołym głosem.

— Tak, na okrągłym, metalowym stoliku.

— Musiałam to zrobić w sobotę po południu.

— W sobotę po południu drzewa tam nie było. W niedzielę, przed dwunastą, kiedy Gudgeon przyniósł do pawilonu kieliszki, rysunku również nie było. Pytałem go o to.

— W takim razie... — zawahała się Henrietta — musiałam to namalować dużo później.

Herkules Poirot, uśmiechając się lekko, pokręcił głową.

— Nie sądzę. Nad basenem kręcili się ludzie Grange'a. Fotografowali ciało i wylawiali rewolwer. Odeszli dopiero o zmierzchu. Widzieliby, gdyby ktoś wchodził do pawilonu.

— Przypominam sobie. Byłam tam wieczorem, po kolacji.

— Ludzie nie rysują po ciemku, panno Savernake — powiedział Poirot surowo. — Chce mi pani wmówić, że poszła pani do pawilonu po zapadnięciu ciemności, stanęła pani koło stolika i narysowała drzewo, nic nie widząc?

— Mówię prawdę — powiedziała Henrietta spokojnie. — Pan mi, oczywiście, nie wierzy. Ma pan jakieś podejrzenia. O co panu właściwie chodzi?

— Sądzę, że była pani w pawilonie w niedzielę wczesnym popołudniem, po dwunastej, kiedy Gudgeon już przyniósł kieliszki. Stała pani przy stole i przyglądała się komuś albo czekała na kogoś. Wcale o tym nie myśląc, wyjęła pani ołówek i narysowała Ygdrasila.

— W niedzielę po dwunastej nie zachodziłam do pawilonu. Najpierw siedziałam na tarasie, potem wzięłam koszyk i poszłam na rabatę z daliami, żeby poobcinać zwiędłe kwiaty i popodwiązywać michałki. Tuż przed pierwszą poszłam nad basen. Opowiedziałam to wszystko inspektorowi Grange'owi. Przyszłam nad basen po pierwszej, kiedy John umierał.

— Tak pani zeznała. Ale Ygdrasil świadczy przeciw pani.

— Chce pan powiedzieć, że byłam w pawilonie i że to ja zastrzeliłam Johna?

— Była pani tam i zastrzeliła doktora Christowa, albo widziała pani, kto go zastrzelił. Albo też był tam ktoś, kto wiedział o pani zwyczaju i specjalnie narysował Ygdrasila, żeby rzucić na panią podejrzenie.

Henrietta wstała i spojrzała na Poirota z wyższością.

— Nadal pan sądzi, że to ja zastrzeliłam Johna Christowa. Powiem panu coś. Nigdy pan tego nie udowodni. Nigdy!

— Sądzi pani, że jest sprytniejsza ode mnie?



— Nigdy pan tego nie udowodni — powiedziała Henrietta. Potem odwróciła się i odeszła ścieżką zbiegającą nad basen.

## XXVI

Grange przyszedł do Resthaven, by wypić z Herkulesem Poirot filiżankę herbaty. Herbata była taka, jak się spodziewał: bardzo słaba, a w dodatku chińska.

Ci cudzoziemcy — pomyślał Grange — nie potrafią parzyć herbaty. Nie da się ich tego nauczyć.

Nie był tym zbyt zmartwiony. Nastrój miał tak ponury, że kolejna nie satysfakcjonująca rzecz sprawiła mu nawet przewrotną przyjemność.

— Rozprawa odbędzie się za dwa dni. Dokąd doszliśmy? Donikąd. Do diabła, przecież ten rewolwer musi gdzieś być. To paskudne miejsce. Lasy ciągną się kilometrami. Żeby je przeszukać, musiałbym dysponować całą armią. To jak szukanie igły w stogu siana. Może być wszędzie. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: możliwe, że nigdy go nie znajdziemy — powiedział Grange.

— Znajdzie go pan — Poirot był bardzo przekonujący.

— Nawet jeśli nie, to nie dlatego, że się nie staraliśmy!

— Znajdzie go pan wcześniej czy później. Moim zdaniem, już niedługo. Nalać panu więcej herbaty?

— Chętnie. Nie, bez wody.

— Nie jest za mocna?

— Ależ nie!

Inspektor w ponurym nastroju popijał napar słomkowego koloru.

— Czuję się, jakby ktoś robił ze mnie durnia, panie Poirot. Nie rozumiem tych ludzi. Odnosi się wrażenie, że chcą pomóc, ale wszystko, co mówią, prowadzi donikąd.

— Donikąd? — powtórzył zaskoczony Poirot. — Rozumiem; donikąd.

Inspektor rozgadał się.

— Na przykład rewolwer. Zgodnie z oświadczeniem lekarza, Christowa zastrzelono minutę lub dwie przed pańskim przybyciem. Lady Angkatell miała koszyk z jajami, panna Savernake koszyk ze zwiedłymi kwiatami, a Edward Angkatell miał na sobie luźną kurtkę myśliwską z dużymi kieszeniami, pełnymi naboju. Każdy z nich mógł wynieść rewolwer. Nie ukryto go koło basenu. Moi ludzie przekopali to miejsce, stąd moja pewność.

Poirot kiwnął głową.

— Gerda Christow została wrobiona, ale przez kogo? W tym punkcie każdy trop się rozplywa w powietrzu.

— Sądzi pan, że powiedzieli prawdę o tym, co robili przed południem?

— Jak najbardziej. Panna Savernake była w ogródku. Lady Angkatell poszła po jajka. Edward Angkatell i sir Henry strzelali. Przed południem rozstali się. Sir Henry wrócił prosto do domu, a Edward Angkatell wybrał spacer przez las. Młody człowiek był w swoim pokoju i czytał. (W pogodny dzień mógłby sobie znaleźć lepsze miejsce, ale ten typ lubi przesiadywać zamknięty w czterech ścianach.) Panna Hardcastle siedziała z książką w sadzie. Wszystko wygląda bardzo naturalnie, ale nie mamy jak tego sprawdzić. Koło dwunastej Gudgeon zaniósł do pawilonu tacę z kieliszkami. Nie potrafi powiedzieć, gdzie byli w tym czasie domownicy ani co robili. Właściwie to przeciw każdemu z nich można by coś znaleźć.

— Naprawdę?

— Najbardziej podejrzana jest, rzecz jasna, Veronica Cray. Pokłóciła się z Christowem, nienawidziła go, mogłaby go zabić, ale nie potrafi znaleźć żadnego dowodu, że rzeczywiście to zrobiła. Nie umiem powiedzieć, kiedy mogła zabrać rewolwer z kolekcji sir Henry'ego. Tego dnia nikt nie widział jej w pobliżu basenu. Nie ma też u niej zaginionej broni.

— Widzę, że sprawdził pan nawet to.

— Nie powinno to pana dziwić. Mogliśmy dostać nakaz rewizji, ale nie było potrzeby. Była nam bardzo przychylna. W tym tandetnym domku go nie ma. Po tym, jak odłożono rozprawę, ostentacyjnie przestaliśmy podejrzewać pannę Cray i pannę Savernake, ale śledziliśmy je, żeby się przekonać, dokąd pojadą i co zrobią. Nawet w studiu jeden z naszych ludzi miał oko na Veronicę, ale nie zauważył, żeby próbowała pozbyć się broni.

— A Henrietta Savernake?

— Też nic. Pojechała prosto do Chelsea. Cały czas mieliśmy na nią oko. Ona również nie ma rewolweru. Była bardzo uprzejma, kiedy przyszliśmy przeszukać jej mieszkanie. Chyba ją to bawiło. Niektóre z jej prac nie spodobały się naszemu człowiekowi. Powiedział, że nie rozumie, dlaczego ludzie robią takie rzeczy: posągi wyglądające jak dziwne bryły pełne wypukłości, dziwne powykręcane kawałki brązu i aluminium, konie niezbyt przypominające żywe stworzenia.

Poirot poruszył się niespokojnie.

— Powiedział pan: konie?

— Jeden koń. Jeśli można to nazwać koniem. Jeśli ktoś chce wyrzeźbić konia, dlaczego nie pójdzie najpierw zobaczyć, jak to zwierzę wygląda?

— Koń — powtórzył Poirot. Grange spojrzał na niego uważnie.

— Dlaczego to pana tak zainteresowało? Jestem ciekaw.

— Skojarzenie...

— Jakie skojarzenie? Koń i wóz? Koń na biegunach? Końskie zęby? Nie rozumiem. Dwa dni później panna Savernake spakowała się i przyjechała tutaj. Wiedział pan o tym?

— Tak, rozmawiałem z nią i widziałem ją spacerującą po lesie.

— Jest niespokojna. Cóż, romansowała z doktorem, a on umierając, wymówił jej imię, co może zostać potraktowane jako oskarżenie. Ale to nie wystarczy, panie Poirot.

— Nie — powiedział Poirot w zamyśleniu. — To nie wystarczy.

Grange ciężko westchnął.

— W tej atmosferze jest coś dziwnego. Człowiek czuje się osaczony. Jakby wszyscy coś wiedzieli. Na przykład lady Angkatell; nigdy nie powiedziała wprost, po co zabrała ze sobą pistolet. To głupie. Czasem mam wrażenie, że ona ma źle poukładane w głowie.

Poirot pokręcił głową.

— Nie; jest całkiem normalna.

— Dalej mamy Edwarda Angkatella. Zdawało się, że mam coś przeciw niemu. Lady Angkatell powiedziała... albo raczej dała do zrozumienia, że on od lat kocha się w pannie Savernake. To wystarczający motyw. Teraz dowiaduję się o jego zaręczynach z tą drugą dziewczyną, panną Hardcastle, i okazuje się, że Edward jednak nie miał powodu, żeby życzyć doktorowi śmierci.

Poirot jęknął ze współczuciem.

— Jest jeszcze ten młodzieniec. Lady Angkatell powiedziała o nim coś interesującego. Jego matka zmarła podobno w szpitalu dla psychicznie chorych. Cierpiała na manię prześladowczą. Myślała, że otaczają ją wrogowie, czyhający na jej życie. Rozumie pan? Jeśli chłopak odziedziczył po niej te skłonności, mógł sobie wyobrazić, że doktor Christow chce go zamknąć w szpitalu. Chociaż Christow miał całkiem inną specjalizację: choroby układu pokarmowego i czegoś tam jeszcze. Jednak jeśli chłopak ma źle w głowie, mógł sobie wyobrazić, że Christow go obserwuje. To dziwny młodzieniec, bardzo nerwowy. — Grange przez kilka minut rozważał te trudności. — Teraz mnie pan rozumie? — spytał w końcu. — Same podejrzenia, nie prowadzące donikąd.

Poirot znów poruszył się niespokojnie.

— Od... nie do — mruknął pod nosem. — Z dała, nie ku. Donikąd, zamiast w jakimś kierunku... Tak; to musiało być właśnie tak.

Grange patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Angkatellowie są dziwni — powiedział. — Czasem mógłbym przysiąc, że doskonale wiedzą, jak to było.

— Bo też rzeczywiście wiedzą — powiedział spokojnie Poirot.

— Chce pan powiedzieć, że wszyscy wiedzą, kto to zrobił? — spytał z niedowierzaniem inspektor.

Poirot kiwnął głową.

— Tak. Myślałem o tym już wcześniej. Teraz jestem pewien.

— Rozumiem. — Inspektor był ponury. — I chcą ukryć prawdę? My im pokażemy. Znajdę tę broń.

Któryż to raz — zastanawiał się Poirot — inspektor powtarza tę obietnicę?

— Oddałbym wszystko, żeby tylko dobrać się im do skóry.

— Komu?

— Wszystkim. Mydlą mi oczy. Podsuwają różne pomysły. Sugerują coś. Pomagają moim ludziom. Wyobraża pan sobie? Ale nic z tego wszystkiego nie wynika. Potrzebny mi jakiś dowód!

Od kilku minut Herkules Poirot wyglądał przez okno. Jego wzrok przyciągnęła jakaś nieregularność na należącym doń terenie.

— Potrzebny panu dowód? — spytał. — Jeśli się nie mylę, znajdzie go pan w żywopłocie koło mojej furtki.

Wyszli przed dom. Kiedy znaleźli się koło furtki, Grange padł na kolana i zaczął rozchylać gałązki, żeby wyraźniej zobaczyć przedmiot leżący w krzakach. Westchnął, gdy jego oczom ukazała się ciemna stal.

— To rewolwer — stwierdził.

Przez chwilę spoglądał na Poirota z powątpiewaniem.

— Nie, nie, przyjacielu — powiedział Poirot. — Nie ja zastrzeliłem doktora Christowa i nie ja wcisnąłem rewolwer między krzaki w moim żywopłocie.

— Oczywiście, że nie! Przepraszam! No, to go mamy. Zdaje się, że to ten, który zginął z gabinetu sir Henry'ego. Sprawdzimy numer, a potem dowiemy się, czy z tej broni zastrzelono Christowa. Teraz to proste.

Bardzo ostrożnie, używając jedwabnej chusteczki, podniósł rewolwer.

— Przydałyby się odciski palców. Mam wrażenie, że pech wreszcie nas opuścił.

— Proszę dać mi znać, kiedy dowie się pan czegoś nowego.

— Oczywiście. Zadzwoń do pana.

Poirot odebrał dwa telefony. Pierwszy wieczorem tego samego dnia. Inspektor był uszczęśliwiony.

— To pan, Poirot? Niech pan posłucha! To ten rewolwer. Zabrane z kolekcji sir Henry'ego, posłużył do zabicia doktora Christowa. To pewne. Jest na nim sporo odcisków palców. Kciuk, mały palec i środkowy. Mówiłem panu, że pech nas opuścił.

— Wie pan, kto zostawił te odciski?

— Jeszcze nie. Na pewno nie pani Christow. Należą raczej do mężczyzny niż do kobiety. Jutro wybiorę się do The Hollow, powiem, co mam do powiedzenia, i zbiorę od wszystkich odciski palców. Wreszcie się dowiemy!

— Mam nadzieję — odparł uprzejmie Poirot.

Drugi telefon Poirot odebrał nazajutrz. Inspektor nie był już tak podniecony. Głos miał raczej ponury.

— Chce pan poznać najświeższe wiadomości? To nie są odciski żadnej z osób zamieszanych w zabójstwo. Nie należą do Edwarda Angkatella, do Davida ani do sir Henry'ego! Nie należą też do Gerdy Christow, do Savernake, Veroniki, do jaśnie pani ani do tej ciemnowłosej dziewczyny. Nie należą do żadnego ze służących.

Poirot próbował pocieszać inspektora.

— Wygląda na to, że jednak zrobił to ktoś obcy. Ktoś, kto miał coś przeciwko doktorowi, a o kim my nic nie wiemy. Ktoś niewidzialny i niesłyszalny, kto ukradł rewolwer z gabinetu, zastrzelił Christowa i odszedł w siną dal. Ktoś, kto ukrył rewolwer w pańskim żywopłocie i rozplynął się w powietrzu.

— Chce pan wziąć moje odciski palców?

— Skoro pan taki uprzejmy. Szczerze mówiąc, był pan tam i jeszcze z wielu innych powodów jest pan najbardziej podejrzanym osobnikiem w tej sprawie.

## XXVII

Koroner chrząknął i spojrzął z ciekawością na przewodniczącego ławy przysięgłych. Ten zerknął na kartkę, którą trzymał w ręce. Z podniecenia jego jabłko Adama wznosiło się i szybko opadało. Zaczął czytać bardzo wyraźnie i głośno:

— Uznajemy, że zmarłego spotkała śmierć zadana rozmyślnie przez osobę lub osoby nieznane.

Poirot, siedzący w kącie, pokiwał głową. Nie mogło być innego werdyktu.

Kiedy było już po wszystkim, Angkatellowie zatrzymali się na chwilę na chodniku, żeby zamienić kilka słów z Gerdą i jej siostrą. Gerda była ubrana w czarną sukienkę. Twarz miała nieszczęśliwą i sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Tym razem nie było daimlera. Elsie Patterson uznała, że w pociągu będzie im równie wygodnie. Z pospiesznego do Waterloo można o pierwszej dwadzieścia przesiąść się w pociąg do Bexhill.

Lady Angkatell, ściskając dłoń Gerdy, mruknęła:

— Musisz się do nas czasem odezwać, kochanie. Może umówimy się na obiad w Londynie? Pewnie bywasz czasem na zakupach?

— Nie wiem — odparła Gerda.

— Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na pociąg — powiedziała Elsie Patterson.

Gerda spojrzała na nią z wdzięcznością.

— Biedna Gerda — powiedziała Midge. — Śmierć Johna uwolniła ją przynajmniej od twojej okropnej gościnności, Lucy.

— Jesteś nieuprzejma, Midge. Nikt nie może mi zarzucić, że się nie starałam.

— Kiedy się starasz, jesteś znacznie gorsza.

— Całe szczęście, że już po wszystkim — powiedziała z uśmiechem lady Angkatell. — Tylko biedny inspektor Grange jest odmiennego zdania. Żal mi go. Jak sądzisz, czy zaproszenie do nas na obiad podniosłoby go na duchu? Mam na myśli czysto przyjacielskie spotkanie.

— Ja dałbym mu spokój — powiedział sir Henry.

— Chyba masz rację — zgodziła się z nim lady Angkatell. — Zresztą, dzisiaj i tak nie mamy na obiad nic stosownego. Przepiórki *au choux* i cudowny suflet z niespodzianką, który pani Medway zawsze wychodzi. Inspektor Grange ma inny gust. Dobry, lekko krwisty stek i staroświecka szarlotka... Tak, tym bym ugościła inspektora Grange'a.

— Zawsze umiesz wybrać doskonałe potrawy. Chyba powinniśmy już wrócić do domu na te przepiórki. Zrobiłem się głodny.

— Pomyślałam, że powinniśmy to jakoś uczcić. To cudowne; wszystko obróciło się na dobre.

— Taaak.

— Wiem, o czym myślisz, Henry, ale niepotrzebnie się martwisz. Dzisiaj po południu zajmę się tym.

— Co masz na myśli, Lucy? Lady Angkatell uśmiechnęła się.

— Wszystko w porządku, kochanie. Niewiele zostało do zrobienia.

Sir Henry nie wyglądał na przekonanego. Kiedy przyjechali do The Hollow, Gudgeon otworzył drzwi samochodu.

— Wszystko poszło po naszej myśli, Gudgeon — powiedziała lady Angkatell. — Proszę powiedzieć o tym pani Medway i innym. Wiem, jak nieprzyjemne było dla was to wszystko, i chcę powiedzieć, że oboje z sir Henrym jesteśmy wam wdzięczni. Byliście wobec nas bardzo lojalni.

— Martwiliśmy się o panią — odparł Gudgeon.

— To bardzo miłe — powiedziała Lucy, wchodząc do salonu. — Ale niepotrzebne. Właściwie, to nieźle się bawiłam.

Na co dzień nasze życie jest tak spokojne! Zgodzisz się ze mną, Davidzie, że takie doświadczenie poszerza horyzonty? W Cambridge na pewno nie spotkałeś się z niczym podobnym.

— Studiuję w Oxfordzie — odparł oschle David.

— Wyścigi żaglówek to bardzo angielski sport — powiedziała lady Angkatell, podeszła do telefonu i wzięła do ręki słuchawkę. Trzymając ją, mówiła dalej:

— Mam nadzieję, Davidzie, że nas jeszcze odwiedzisz. Z powodu tego morderstwa nie zdążyliśmy się poznać. W takich warunkach trudno o prawdziwie intelektualną dyskusję.

— Dziękuję — powiedział David — ale wybieram się do szkoły w Atenach.

— Kto jest tam teraz ambasadorem? — spytała lady Angkatell męża. — Już wiem, Hope-Remmington. Nie, oni chyba nie spodobaliby się Davidowi. Ich córki są bardzo wysportowane. Grają w hokeja, w krykieta i w tę śmieszłą grę, w której łapie się coś do siatki.

Zamilkła, spoglądając na słuchawkę telefonu.

— Co ja chciałam z tym zrobić?

— Może zamierzałaś do kogoś zadzwonić? — powiedział Edward.

— Raczej nie. — Lady Angkatell odłożyła słuchawkę. — Lubisz telefony, Davidzie?

To pytanie w jej stylu — pomyślał zdenerwowany David. — Nie można odpowiedzieć nic inteligentnego. Powiedział więc tylko, że telefony są pożyteczne.

— Tak samo jak, na przykład, maszynka do mielenia mięsa? — spytała lady Angkatell. — Albo bandaż elastyczny? Chociaż nikt...

Przerwała, ponieważ w drzwiach stanął Gudgeon i zaanonsował, że obiad już stoi na stole.

— Chyba lubisz przepiórki? — spytała Davida zaniepokojona lady Angkatell.

Chłopak przyznał, że lubi.

— Czasem mam wrażenie, że Lucy jest postrzelona — powiedziała Midge do Edwarda. Po obiedzie wybrali się na spacer. Przepiórki i suflet były doskonałe, rozprawa została zamknięta i wszystkim zrobiło się lżej na sercu.

— Moim zdaniem, Lucy jest bardzo inteligentna, ale wyraża się to w czymś przypominającym grę w zgadywanie brakujących słów — powiedział Edward. — Używa mnóstwa metafor. Jest jak młotek, uderzający jeden gwóźdź po drugim, zawsze trafiając w cel.

— Mimo to Lucy mnie przeraża. — Midge zadrżała. — Ostatnio zaczęłam się bać tego miejsca.

— The Hollow? — Edward spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Przypomina miniaturę Ainswick — powiedział. — To nie to, co oryginał...

— O to właśnie chodzi, Edwardzie — przerwała mu Midge.

— Boję się rzeczy, które nie są prawdziwe. Nigdy nie wiadomo, co się za nimi może kryć. To coś jakby... maska.

— Wymyślasz coś, mała Midge.

Powiedział to pobłaźliwie; tak zwracał się do niej w dawnych czasach. Wtedy podobało się jej to, ale teraz była zdenerwowana. Postanowiła mu udowodnić, że za tym, co on nazwał wymysłem, kryje się coś prawdziwego.

— W Londynie zapomniałam o tym, ale tutaj wszystko do mnie wróciło. Mam wrażenie, że wszyscy wiedzą, kto zabił Johna Christowa. Tylko ja nie mam o tym pojęcia.

— Chyba nie musimy rozmawiać o Johnie Christowie — zirytował się Edward. — On nie żyje i nigdy tu nie wróci.

Midge zamruczała pod nosem:

*On umarł i odszedł, miła,  
Umarł i zniknął z oczu.  
Nad nim zielona trawa,  
I kamień go przytłoczył.*

Wsunęła dłoń pod łokieć Edwarda.

— Kto go zabił? Myśleliśmy, że Gerda, ale to nie ona. Więc kto? Powiedz mi, co myślisz? Czy to był ktoś obcy?

— Takie spekulacje nie mają żadnego sensu — powiedział zdenerwowany Edward. — Skoro policja nie może się dowiedzieć prawdy i zgromadzić dowodów, powinniśmy to zostawić w spokoju i zapomnieć.

— Tak... ale ta niepewność...

— Po co nam pewność? Kim był dla nas John Christow? Dla nas? Dla mnie i dla Edwarda? — pomyślała. — Nikim.

Przyjemnie jest myśleć o sobie i o Edwardzie razem. Jednak... John Christow został pochowany, odprawiono po nim mszę żałobną, ale on nadal był blisko. „Umarł i odszedł, miła” — ale John Christow nie odszedł, chociaż Edward sobie tego życzył. John Christow nadal był w The Hollow.

— Dokąd pójdziemy? — spytał Edward. Coś w jego głosie zdziwiło ją.

— Na szczyt wzniesienia — powiedziała.

— Z przyjemnością.

Czuła jednak, że Edward nie ma na to ochoty. Ciekawe, dlaczego. Lubił tę ścieżkę. Prawie zawsze chodził z Henriettą... Nagle zrozumiała. Z Henriettą!

— Byłeś tam w tym roku? — spytała.

— Pierwszego wieczoru poszliśmy tam z Henriettą — odparł.

Dalej szli w milczeniu. Kiedy znaleźli się na szczycie, usiedli na zwałonym drzewie.

Może siedział tu z Henriettą? — pomyślała Midge.

Obracała na palcu pierścioneł. Diament połyskiwał zimnym światłem. („Tylko nie szmaragdy” — powiedział.)

— Przyjemnie będzie spędzić święta Bożego Narodzenia w Ainswick — odezwała się z wysiłkiem.

Edward najwyraźniej jej nie słyszał. Myślami był gdzieś daleko.

Myśli o Henriecie i o Johnie Christowie — przemknęło przez głowę Midge. — Siedzieli tu i Henriettą coś mu powiedziała, albo on jej. Możliwe, że Henriettą wie, czego nie chce, ale jego serce nadal należy do niej. Zawsze — myślała Midge — Edward będzie należał do Henrietty...

Poczuła nieznośny ból. Szczęśliwy, kruchy świat, w którym żyła od tygodnia, zadrzał i rozprysnął się.

Nie potrafię tak żyć — pomyślała — z Henriettą nieustannie obecną w jego myślach. Nie zniosę tego. Nie wytrzymam.

W koronach drzew westchnął wiatr, liście posypały się na ziemię; były brązowe, tylko nieliczne połyskiwały złotem.

— Edwardzie! — odezwała się Midge.

Ostry ton jej głosu wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się ku niej.

— Tak?

— Bardzo mi przykro. — Usta miała drżące, ale zmusiła się, by mówić spokojnie i pewnie. — Muszę ci to powiedzieć. Nic z tego. Nie mogę za ciebie wyjść. To na nic, Edwardzie.

— Ależ Midge, przecież Ainswick...

Przerwała mu.



— Nie mogę wyjść za ciebie tylko ze względu na Ainswick. Powinieneś to rozumieć. Edward westchnął cicho, jak echo martwych liści, powoli opadających z gałęzi.

— Rozumiem — przyznał. — Chyba masz rację.

— To bardzo miło z twojej strony, że mnie poprosiłeś o rękę, ale to mi nie wystarczy. To na nic.

Miała nikłą nadzieję, że może się sprzeciwi, zacznie ją przekonywać, namawiać; ale Edward najwyraźniej czuł to samo, co ona. W miejscu, gdzie duch Henrietty był tak blisko, on również musiał zrozumieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Nie — powtórzył jak echo. — To na nic.

Midge zdjęła z palca pierścionek i podała mu. Zawsze będzie kochała Edwarda, Edward będzie kochał Henriettę i życie będzie piekłem.

— Pierścionek jest bardzo ładny — powiedziała łamiącym się głosem.

— Zatrzymaj go, Midge. Chciałbym ci go dać. Midge pokręciła głową.

— Nie mogę. Edward wydał wargi.

— Przecież wiesz, że nie dam go innej kobiecie. Wszystko odbyło się po przyjacielsku. Edward nie wie... nigdy się nie dowie, co czuje Midge. Niebo na talerzu... talerz pękł, a niebo przeciekło jej przez palce... Jeśli rzeczywiście kiedyś istniało.

Po południu Poirot przyjął trzeciego gościa.

Najpierw odwiedziła go Henrietta Savernake, potem Veronica Cray, a teraz lady Angkatell. Wspięła się pod górę, leciutka jak zjawia.

Poirot otworzył drzwi i zobaczył przed sobą jej rozpromienioną twarz.

— Przyszłam pana odwiedzić — oświadczyła.

Takim głosem jakaś wróżka mogłaby oznajmić śmiertelnikowi, że obdarzy go swoją przychylnością.

— To dla mnie wielki zaszczyt, madame. Wprowadził ją do salonu. Usiadła na sofie i uśmiechnęła się.

Herkules Poirot pomyślał: jest stara, ma siwe włosy i zmarszczki na twarzy, ale jest czarująca i taka pozostanie.

— Chcę pana prosić o przysługę — powiedziała spokojnie lady Angkatell.

— Słucham panią, lady Angkatell.

— Po pierwsze, muszę z panem porozmawiać o Johnie Christowie.

— O doktorze Christowie?

— Tak. Mam wrażenie, że powinniśmy z tym skończyć. Chyba mnie pan rozumie?

— Nie jestem pewien, czy wiem, co pani ma na myśli. Lady Angkatell znów posłała mu uroczy uśmiech i położyła wąską dłoń na rękawie jego marynarki.

— Drogi Poirot, doskonale pan wie, co mam na myśli. Policja będzie szukała właściciela odcisków palców, ale nigdy go nie znajdzie i w końcu będą musieli zrezygnować. Obawiam się jednak, że pan nie zrezygnuje.

— Rzeczywiście, ja nie zrezygnuję — zgodził się z nią Herkules Poirot.

— Tak właśnie sądziłam. Dlatego przychodzę do pana. Chce pan znać prawdę, czyż tak?

— Oczywiście, że tak.

— Widzę, że nie mówię wystarczająco jasno. Chcę się dowiedzieć, dlaczego pan nie zrezygnuje? Czy ze względu na swoją sławę, czy też dlatego, że chce pan powiesić mordercę (to bardzo nieprzyjemna śmierć, pasująca bardziej do średniowiecza niż do współczesnych czasów). Mam wrażenie, że pan po prostu chce wiedzieć. Chyba mnie pan rozumie? Gdyby poznał pan prawdę... Gdyby ktoś powiedział panu, jak było naprawdę, to by pana usatysfakcjonowało? Czy to pana zadowoli?

— Chce mi pani powiedzieć prawdę, lady Angkatell? Kiwnęła głową.

— A więc pani zna prawdę?

Lady Angkatell szeroko otworzyła zdumione oczy.

— Ależ tak, od dawna. Chętnie panu powiem, a potem umówimy się, że... o wszystkim zapomnimy. — Uśmiechnęła się. — Umowa stoi?

Herkules Poirot z trudem odparł:

— Nie, madame.

Chciał... bardzo chciał dać temu spokój, skoro prosiła o to lady Angkatell.

Przez chwilę lady Angkatell siedziała bez ruchu. Potem uniosła brwi.

— Zastanawiam się — powiedziała — czy pan wie, co robi.

## XXVIII

Midge leżała w ciemnym pokoju, kręcąc się niespokojnie na łóżku. Nie płakała. Usłyszała, że gdzieś otworzyły się drzwi i ktoś przeszedł ostrożnie korytarzem. Poznała kroki Edwarda. Zapaliła lampkę przy łóżku i spojrzała na zegarek. Były trzy minuty po trzeciej.

Dlaczego Edward zszedł na dół o tak dziwnej porze? Wszyscy wcześniej udali się do swoich pokoi. O dziesiątej piętnaście życzyli sobie dobrej nocy. Midge nie mogła zasnąć. Oczy ją paliły, a serce rozdzierał smutek. Słyszała bicie zegara na dole i pohukiwanie sowy za oknem. Około drugiej ogarnęły ją najczarniejsze otchłanie rozpacz.

Nie zniosę tego — myślała. — Nie wytrzymam. Za kilka godzin obudzi się nowy dzień, który trzeba będzie jakoś przeżyć...

Sama zrezygnowała z Ainswick, z tego, co kochała, co było jej drogie, co mogło stać się jej własnością...

Lepiej jednak nigdy nie oglądać Ainswick, cierpieć samotność i wieść ponury żywot niż żyć z Edwardem i z duchem Henrietty. Do wczoraj nie wiedziała, że potrafi być tak zazdrosna.

Edward nigdy nie powiedział, że ją kocha. Ciepłe uczucie i dobroć — nie obiecywał niczego więcej. Midge pogodziła się z tym, ale wczoraj uświadomiła sobie, że musiałaby żyć u boku Edwarda, w którego sercu i myślach na stałe mieszka Henrietta, i zrozumiała, że sympatia Edwarda jej nie wystarczy.

Edward minął jej drzwi i zszedł na dół. To dziwne; bardzo dziwne. Dokąd poszedł?

Midge poczuła niepokój. Ostatnio źle się czuła w The Hollow. Co robi Edward na dole o trzeciej nad ranem?

Nie mogła uleżeć w łóżku. Wstała, narzuciła na siebie szlafrok, wzięła latarkę, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Było ciemno. Nigdzie się nie świeciło. Midge podeszła do schodów. Na dole też nie było widać światła. Wahala się krótko, po czym zbiegła na dół i zapaliła światło w hallu. W domu panowała cisza. Drzwi wyjściowe były zamknięte od środka. Boczne drzwi również. Edward jest w domu.

Ale gdzie?

Nagle Midge uniosła głowę i zaczęła węszyć. Poczowała leciutką woń gazu. Drzwi na korytarz prowadzący do kuchni były otwarte. Minęła je i zobaczyła słabe światło w kuchni. Wyraźniej poczuła zapach gazu. Pobiegła korytarzem i wpadła do kuchni. Edward leżał na podłodze, z głową w piecyku gazowym. Wszystkie kurki były odkręcone.

Midge była szybką i praktyczną dziewczyną. Odsłoniła żaluzje, ale nie mogła otworzyć okna. Owinęła dłoń ściereczką i wybiła szybę. Potem, wstrzymując oddech, schyliła się i wyciągnęła Edwarda. Wreszcie zakręciła kurki.

Edward był nieprzytomny i dziwnie oddychał, ale Midge była pewna, że dopiero niedawno stracił przytomność. Wiatr wiejący od wybitego okna do otwartych drzwi szybko rozpedził gaz. Midge pociągnęła Edwarda bliżej okna, usiadła i wzięła go w ramiona.

Zaczęła wołać go po imieniu; najpierw cicho, potem coraz bardziej natargywie.

— Edwardzie, Edwardzie, Edwardzie...

Poruszył się, jęknął, otworzył oczy i spojrzał na nią.

— Kuchenka — powiedział słabym głosem.

— Wiem, kochanie. Dlaczego?

Edward drżał. Dłonie miał zimne, pozbawione życia.

— Midge? — spytał. W jego głosie słyhać było zdziwienie i radość.

— Słyszałam, jak przechodziłeś obok moich drzwi. Nie wiedziałam... Zeszłam na dół — powiedziała.

Edward westchnął głęboko i przeciągle, jakby wrócił z bardzo dalekiej wędrówki.

— Najlepsze wyjście — powiedział.

Midge przypomniała sobie rozmowę z Lucy w dniu tragedii, o historiach opisywanych w „News of the World”.

— Edwardzie, dlaczego?

Spojrzał na nią nieruchomym, zimnym spojrzeniem; Midge przeraziła się.

— Zrozumiałem, że nigdy nie potrafię zrobić nic dobrego. Zawsze byłem do niczego. Nie umiem okazywać uczuć. Takim mężczyznom jak Christow wszystko się udaje. Osiągają sukces i zdobywają miłość kobiet. Ja jestem niczym... Jakimś półżywym zerem. Odziedziczyłem Ainswick, mam pieniądze na życie... Gdyby nie to, poszedłbym na dno. Nie zrobiłbym kariery. Nigdy nie będę dobrym pisarzem. Henrietta mnie nie chciała. Wtedy, w Berkeley, myślałem... Ale nic się nie zmieniło. Tobie też na mnie nie zależy. Nawet nadzieja na zamieszkanie w Ainswick nie mogła cię skłonić do tego, żebyś chciała ze mną być. Pomyślałem, że lepiej będzie z tym skończyć.

— Kochanie... Kochany... — słowa Midge popłynęły bystrym potokiem. — Nic nie rozumiesz. To przez Henriettę. Myślałam, że nadal ją kochasz.

— Henriettę? — szepnął, jakby z trudem przypominał sobie coś z zamierzchłej przeszłości. — Kiedyś bardzo ją kochałem. — Jego głos dobiegał jakby z bardzo daleka. — Zimno mi.

— Edward, kochany...

Otoczyła go ramionami. Edward uśmiechnął się.

— Jesteś taka ciepłutka, Midge...

Tak — pomyślała Midge — tak jest z rozpaczą. Jest zimna i nieskończenie samotna. Dopiero teraz zrozumiała, że rozpacz jest zimna. Dotąd myślała, że jest czymś gorącym i potężnym, gwałtownym i mocnym. Ale to nieprawda. Rozpacz to ciemność i chłód, i samotność. Grzech rozpaczy, o którym mówił ksiądz, to lodowaty grzech odcięcia się od ciepłych, pełnych życia kontaktów z ludźmi.

— Jesteś taka ciepłutka, Midge — powtórzył Edward. Midge pomyślała nagle z radością, dumą i ufnością: tego mu potrzeba, a ja mogę mu to dać! Wszyscy Angkatellowie są zimni. Nawet Henrietta ma w sobie coś z błędnego ognika, coś z bajkowego, nieuchwytnego chłodu krwi Angkatellów. Niech Edward kocha Henriettę jak nieuchwytny, nieosiągalny sen, ale potrzeba mu ciepła, stałości, trwałości. Potrzeba mu w Ainswick towarzyszkę kochającej i pełnej radości. Edwardowi potrzebny jest ktoś — myślała — kto rozgrzeje jego serce. Ja potrafię to zrobić.

Edward spojrzał w jej oczy. Zobaczył twarz Midge pochylającą się nad nim, zarumienioną. Usta miała pełne, oczy spokojne.

W Henriettcie zawsze widział dziewczynkę, którą znał w przeszłości. W dojrzałej kobiecie doszukiwał się siedemnastoletniej dziewczyny, którą niegdyś pokochał. Midge zawsze była tą samą Midge. Przypomniał sobie jej dziewczęce warkoczyki. Teraz patrzył na ciemne, rozwiane włosy i myślał, że bez trudu potrafi sobie wyobrazić, jak Midge będzie wyglądała, kiedy jej włosy posiwieją.

Midge — myślał — jest prawdziwa. To jedyna prawdziwa osoba, którą znam...

Czuł jej ciepło i siłę.

Ciemnowłosa, silna, żywa, prawdziwa Midge — myślał. — To skała, na której mogę zbudować swoje życie.

— Kochana Midge — powiedział. — Bardzo cię kocham. Obiecuj, że mnie już nigdy nie opuścisz.

Midge pochylili się i Edward poczuł ciepło jej warg na swoich. Jej miłość otoczyła go, osłoniła; na zimnej pustyni, na której dotąd mieszkał, zakwitło życie.

— Spójrz — powiedziała Midge, śmiejąc się niepewnie. —Ćma przyleciała popatrzeć na nas. Zobacz, jaka miła. Nie wiedziałam, że ćmy mogą być tak sympatyczne. Życie jest dziwne — dodała po chwili, rozmarzonym głosem. — Siedzimy sobie w kuchni na podłodze, gaz jeszcze nie całkiem wywietrzył, przez okno wpadają ćmy, ale wydaje się nam, że to raj.

— Mógłbym tu siedzieć do końca życia — mruknął Edward.

— Lepiej wróćmy do siebie i prześpijmy się trochę. Jest czwarta. Jak wytłumaczymy Lucy wybite okno?

Jakie to szczęście — pomyślała — że Lucy wszystko łatwo jest wytłumaczyć. Biorąc z niej przykład, poszła do jej pokoju o szóstej rano.

— Edward zszedł w nocy na dół — powiedziała bez ogródek — i włożył głowę do piecyka. Na szczęście usłyszałam go i poszłam za nim. Wybiłam okno, bo nie mogłam go otworzyć.

Midge musiała przyznać, że Lucy zachowała się cudownie. Uśmiechnęła się, nie okazując zdziwienia.

— Droga Midge — powiedziała. — Zawsze byłaś praktyczna! Jestem pewna, że będziesz dla Edwarda prawdziwą pociechą.

Kiedy Midge wyszła, lady Angkatell zamyśliła się. Po chwili wstała i poszła do pokoju męża. Tym razem nie był zamknięty na klucz.

— Henry!

— Droga Lucy, koguty jeszcze nie piały.

— Nie, ale musisz mnie wysłuchać, bo mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Musimy doprowadzić prąd do kuchni i wyrzucić kuchenkę gazową.

— Dlaczego? Ja jestem z niej zadowolony.

— Wiem, kochanie, ale ludziom przychodzą do głowy dziwne pomysły, a nie każdy jest tak praktyczny jak droga Midge — powiedziała lady Angkatell i cichutko wyszła z pokoju.

Sir Henry jęknął i odwrócił się na drugi bok. Zanim zdążył na dobre zasnąć, obudził się nagle.

— Czy mi się śniło — mruknął pod nosem — czy rzeczywiście była tu Lucy i mówiła coś o kuchence gazowej?

Lady Angkatell prosto z pokoju męża poszła do łazienki i nastawiła czajnik. Wiedziała, że czasem dobrze jest napić się z samego rana mocnej herbaty. W doskonałym humorze wróciła do łóżka i ułożyła się na poduszkach, zadowolona z życia i z siebie samej.

Edward i Midge w Ainswick... Sprawa śmierci doktora Christowa zakończona... Będzie musiała odwiedzić Poirota jeszcze raz... To miły człowieczek.

Nagle przyszła jej do głowy całkiem nowa myśl, tak nieoczekiwana, że aż usiadła, wyprostowana jak struna.

Ciekawe — myślała — czy jej też to przyszło do głowy? Wstała i udała się do pokoju Henrietty. Jak zwykle, zaczęła mówić idąc korytarzem.

— ...nagle przyszło mi do głowy, że mogłaś to przeoczyć.

— Na miłość boską, Lucy, nawet ptaki jeszcze śpią —mruknęła zaspana Henrietta.

— Wiem, kochanie, że jest bardzo wcześnie, ale dzisiejsza noc była bardzo niespokojna. Edward, kuchnia gazowa, Midge i okno... Myślałam o tym, co powiedzieć panu Poirot i o tym wszystkim...

— Przepraszam cię, Lucy, ale mam wrażenie, że wygadujesz głupstwa. Nie możesz zaczekać z tym kilka godzin?

— Chodzi mi o kaburę, kochanie. Przyszło mi do głowy, że mogłaś zapomnieć o kaburze.

— O kaburze?

Henrietta usiadła, całkiem przytomna.

— Co z tą kaburą?

— Henry trzymał ten rewolwer w kaburze, ale jej nie znaleźli. Możliwe, że nikt sobie o tym nie przypomniał, ale z drugiej strony...

Henrietta wstała z łóżka.

— Zawsze się o coś zapomni — powiedziała.

Lady Angkatell wróciła do siebie, weszła do łóżka i mocno zasnęła.

Czajnik w łazience zakipiał.

## XXIX

Gerda przesunęła się na brzeg łóżka i usiadła. Głowa przestała ją boleć, ale i tak była zadowolona, że nie pojechała na piknik. W pustym domu panował przyjemny spokój.

Co prawda, Elsie była bardzo miła; szczególnie na początku. Gerda dostawała śniadanie do łóżka, kazali jej siedzieć w najwygodniejszym fotelu, podsuwali stołeczek pod nogi i nie pozwalali robić nic męczącego.

Wszyscy bardzo jej współczuli z powodu Johna i starali się ją chronić przed wszelkimi strapieniami. Gerda nie chciała myśleć, czuć ani pamiętać. Czuła jednak, że z każdym dniem zbliża się chwila, kiedy znów będzie musiała zacząć żyć i podejmować decyzje. Elsie już zaczynała okazywać irytację.

— Gerda, rusz się wreszcie! — mówiła.

Znów było tak jak przedtem, zanim zjawił się John i zabrał ją do siebie. Wszyscy mieli ją za głupią i ocięzają. Nikt nie mówił do niej tak jak John: „Zadbam o ciebie”.

Gerda znów poczuła ból głowy.

Zaparzę sobie herbaty — pomyślała.

Zeszła do kuchni i nastawiła czajnik. Woda zaczynała wrzeć, kiedy usłyszała dzwonek u drzwi. Pokojówki dostały wolny dzień. Gerda sama musiała otworzyć. Zdziwił ją widok samochodu Henrietty, zaparkowanego przed domem. Na schodach stała Henrietta we własnej osobie.

— Henrietta! — zdziwiła się Gerda, cofając się kilka kroków. — Wejdz. Niestety, siostry i dzieci nie ma w domu, ale...

— Cieszę się — nie dała jej skończyć Henrietta. — Chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy. Gerda, co zrobiłaś z kaburą?

Gerda znieruchomiała. Jej twarz była bez wyrazu.

— Z kaburą?

Otworzyła drzwi do salonu.

— Wejdz. Dzisiaj nie było odkurzane. Nie mieliśmy na to czasu.

Henrietta zniecierpliwiła się.

— Słuchaj, musisz mi ją dać. Z wyjątkiem tej kabury wszystko jest w porządku. Nie ma nic, co łączyłoby cię z tą sprawą. Znalazłam rewolwer w krzakach; tam, gdzie go schowałeś. Ukryłam go w miejscu, gdzie ty nie miałabyś okazji tego zrobić. Są na nim odciski palców, których nigdy nie uda im się zidentyfikować. Została tylko kabura. Muszę wiedzieć, co z nią zrobiłeś.

Zamilkła, modląc się w duchu, żeby Gerda zareagowała w miarę szybko. Sama nie wiedziała, dlaczego tak się jej spieszy. Była pewna, że nikt jej nie śledził. Wyjechała z Ainswick drogą na Londyn. Na stacji benzynowej wspomniała, że jedzie do Londynu. Dopiero potem skręciła w boczne drogi i dojechała nimi do trasy prowadzącej na południowe wybrzeże.

Gerda patrzyła na Henriettę. Cały kłopot w tym — pomyślała rzeźbiarka — że Gerda jest strasznie powolna.

— Jeśli ją masz, musisz mi ją dać. Pozbędę się jej. Tylko ta jedna rzecz łączy cię ze śmiercią Johna. Masz ją?

Po chwili Gerda pokiwała głową.

— Nie przyszło ci do głowy, że to niebezpieczne? — spytała Henrietta, zniecierpliwiona.

— Zapomniałam o niej. Była w moim pokoju. Kiedy policja przyszła na Harley Street — dodała — pocięłam ją na kawałki i schowałam w worku z robótkami ze skóry.

— Sprytnie — pochwaliła ją Henrietta.

— Nie jestem taka głupia, jak wszyscy myślą — powiedziała Gerda i dotknęła dłonią szyi.  
— John... John... — mówiła łamiącym się głosem.

— Wiem, kochanie — uspokoiła ją Henrietta.

— Nie wiesz. John nie był... Nie był... — Gerda rozprostowała ramiona; była głupia i dziwnie patetyczna. — To wszystko były kłamstwa! Wszystko, co o nim myślałam. Widziałam jego twarz, kiedy szedł wtedy za tamtą kobietą. Veronica Cray! Wiedziałam, że czuł coś do niej przed laty, zanim się ze mną ożenił, ale myślałam, że to należy do przeszłości.

— Bo też tak było — powiedziała cicho Henrietta.

— Nie — Gerda kręciła głową. — Ona tam przyszła i udawała, że od lat nie widziała się z Johnem, ale ja patrzyłam na jego twarz. Poszedł za nią. Ja położyłam się do łóżka i próbowałam czytać tę powieść kryminalną, którą zabrał ze sobą John, ale John nie wracał. W końcu wyszłam i...

Gerda wyglądała tak, jakby znów patrzyła na tę scenę z przeszłości.

— Świecił księżyc. Poszłam ścieżką nad basen. W pawilonie paliło się światło. John tam był... z tą kobietą.

Henrietta chrząknęła. Twarz Gerdy zmieniła się. Znikła z niej bezmyślna uprzejmość, pojawiła się zaś nieoczekiwana bezwzględność, nieugiętość...

— Ufałam Johnowi. Wierzyłam w niego jak w Boga. Myślałam, że jest najszlachetniejszym człowiekiem na ziemi. Ale to wszystko były kłamstwa! Nie zostało mi nic. Ja... uwielbiałam Johna!

Henrietta przyglądała się jej, zafascynowana. Przed nią stała kobieta, której istnienia dotąd się tylko domyślała i którą wyrzeźbiła w drewnie. Stała przed nią Czciicielka. Jej oddanie, kiedy się rozczarowała, stało się niebezpieczne.

— Nie mogłam tego znieść! — powiedziała Gerda. — Musiałam go zabić! Musiałam... Rozumiesz mnie, Henrietto?

Jej głos był przyjazny, jakby mówiła o najzwyczajniejszych sprawach pod słońcem.

— Wiedziałam, że muszę być ostrożna, bo policja jest sprytna. Ale nie jestem aż tak głupia, za jaką niektórzy mnie mają. Jeśli człowiek porusza się bardzo powoli i patrzy na nich nieruchomym wzrokiem, ludziom się wydaje, że człowiek nic nie rozumie. Tymczasem ja się z nich w duchu śmieję. Wiedziałam, że mogę zabić Johna i że policja nie dowie się prawdy, bo w powieści kryminalnej przeczytałam, że potrafią ustalić, z jakiej broni wystrzelono kulę. Po południu sir Henry pokazał mi, jak załadować magazynek. Pomyślałam, że wezmę dwa rewolwery. Jednym zastrzelę Johna, a potem go schowam. Kiedy przyjdą inni, znajdą mnie z tym drugim rewolwerem w ręce i pomyślą, że to ja zastrzeliłam Johna, ale potem odkryją, że nie mogłam go zabić tym rewolwerem i dojdą do wniosku, że jednak ja tego nie zrobiłam — z zadowoleniem pokiwała głową. — Zapomniałam tylko o tym skórzanym pokrowcu. Był w szufladzie w mojej sypialni. Jak to się nazywa? Kabura? Teraz policja nie będzie już jej szukać.

— Mogą jej szukać — powiedziała Henrietta. — Lepiej mi ją daj. Zabiorę ją ze sobą i będziesz bezpieczna. Usiadła. Nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie.

— Nie wyglądasz dobrze — powiedziała Gerda. — Właśnie miałam zaparzyć sobie herbatę.

Wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, niosąc na tacy dwie filiżanki, dzbanek z herbatą i dzbanuszek z mlekiem. Mleko się rozlało, bo dzbanuszek był pełen. Gerda postawiła tacę, nalala herbaty i podała filiżankę Henriecie.

— Ojej! — powiedziała zmieszana. — Zdaje się, że woda się jeszcze nie gotowała.

— Nie szkodzi — uspokoiła ją Henrietta. — Idź po kaburę.

Po chwili wahania Gerda wyszła z pokoju. Henrietta pochyliła się, położyła ręce na stole i ukryła w nich twarz. Czowała się bardzo zmęczona. Na szczęście, wszystko dobiega końca.



Gerda będzie bezpieczna, jak tego chciał John. Henrietta wyprostowała się, odgarnęła z czoła kosmyk włosów i przysunęła do siebie filiżankę. Słyszając lekki szmer, spojrzała w stronę drzwi. Przynajmniej raz Gerda się pospieszyła. Ale w drzwiach stał Herkules Poirot.

— Było otwarte — powiedział, podchodząc do stołu. — Pozwoliłem sobie wejść do środka bez pukania.

— Pan! — zdenerwowała się Henrietta. — Skąd pan się tu wziął?

— Opuściła pani The Hollow tak nagle, że nie miałem wątpliwości, dokąd pani jedzie. Wynająłem szybki samochód i przyjechałem tu natychmiast.

— Rozumiem. To do pana podobne.

— Nie powinna pani pić tej herbaty — powiedział Poirot i odstawił filiżankę na tacę. — Woda nie zdążyła się zagotować. Herbata nie nadaje się do picia.

— Czy taki drobiazg, jak wrząca woda, ma jakieś znaczenie?

— Wszystko ma znaczenie — powiedział łagodnie Poirot.

W tej chwili do pokoju weszła Gerda. W ręce miała woreczek z robótką. Nierozumiejącym wzrokiem spoglądała to na Henriettę, to na Poirota.

— Obawiam się, Gerdo, że jestem podejrzana. Okazuje się, że pan Poirot mnie śledził. Myśli, że to ja zabiłam Johna, ale nie potrafi tego udowodnić.

Specjalnie mówiła powoli, żeby Gerda się nie zdradziła.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Gerda. — Napije się pan herbaty?

— Dziękuję, nie. Gerda usiadła obok tacy.

— Przykro mi, ale wszyscy wyszli — powiedziała z żalem. — Siostra zabrała dzieci na piknik. Zostałam w domu, bo nie czułam się dobrze.

— Przykro mi.

Gerda podniosła filiżankę i napiła się.

— To takie trudne. Wszystko jest skomplikowane. John zawsze zajmował się wszystkimi sprawami i teraz, kiedy go nie ma... — zawahała się. — Teraz Johna nie ma. Patrzyła na Poirota żalonym, zdumionym spojrzeniem. — Nie wiem, co mam robić. John o mnie dbał. Troszczył się o wszystko. Teraz go nie ma i nic już nie ma. A dzieci... Zadają pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Nie wiem, co powiedzieć Terence'owi. Ciągłe pyta, dlaczego zabito tatę. Kiedyś się dowie, dlaczego. Terry wszystko musi wiedzieć. Zastanawia mnie, że pyta tylko dlaczego, a nie kto. — Gerda położyła głowę na oparciu fotela. Usta miała sine. — Nie czuję... się dobrze — powiedziała niewyraźnie. — Gdyby John... John...

Poirot podszedł do niej i położył ją w poprzek fotela. Dłoń Gerdy opadła bezwładnie. Poirot schylił się i uniósł powiekę. Potem się wyprostował.

— Lekka i w miarę bezbolesna śmierć. Henrietta patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Serce? Nie! Coś było w herbacie — zrozumiała nagle. — Sama tego dodała. Więc tak postanowiła z tym skończyć!

Poirot pokręcił głową.

— Nie. To była pani filiżanka. Pani miała to wypić.

— Ja? — Henrietta nie wierzyła mu. — Chciałam jej pomóc.

— To nie ma znaczenia. Widziała pani kiedyś psa, zapędzonego w miejsce, skąd nie ma ucieczki? Szczęrzy zęby na każdego, kto się do niego zbliży. Dla niej ważne było tylko to, że zna pani jej tajemnicę i dlatego musi pani umrzeć.

— Pan odstawił moją filiżankę na tacę — powiedziała Henrietta z namysłem. — Chciał pan... żeby ona... Poirot nie pozwolił jej dokończyć.

— Nie, mademoiselle. Nie wiedziałem, że dosypała czegoś do herbaty. Domyślałem się tylko, że to możliwe. Kiedy odstawiłem filiżankę na tacę, było pięćdziesiąt procent szansy, że napije się z niewłaściwej... Wierzy pani w przypadek? Ja nazwałbym to rozwiązanie miłosiernym. Dla niej i dla dwójki niewinnych dzieci. Pewnie jest pani bardzo zmęczona?

Henrietta kiwnęła głową.

— Kiedy domyślił się pan prawdy? — spytała.

— Nie potrafię tego sprecyzować. Scena została z góry przygotowana. Od początku to czułem, ale dość długo nie rozumiałem, że przygotowała ją Gerda Christow; że jej zachowanie było sztuczne dlatego, że grała z góry ustaloną rolę. Zastanawiało mnie, że wszystko wydawało się tak proste, a jednak okazywało się skomplikowane. Szybko się domyśliłem, że zmagam się z pani genialnym umysłem i że krewni, skoro tylko zrozumieli, co pani robi, pospieszili pani z pomocą. Dlaczego pani to zrobiła? — spytał po chwili wahania.

— John mnie o to prosił! O to mu chodziło, kiedy wymówił moje imię. Wszystko rozumiałam. Chciał, żebym chroniła Gerdę. Widzi pan, on ją kochał. Sądzę, że bardziej, niż sam sądził. Bardziej niż Veronicę Cray. Bardziej niż mnie. Gerda należała do niego, a John lubił to, co było jego własnością. Wiedział, że tylko mnie może się udać uchronić Gerdę przed konsekwencjami jej czynu. Wiedział też, że zrobię wszystko, o co mnie poprosi, ponieważ go kocham.

— Szybko zabrała się pani do dzieła.

— Tak. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to wrzucić rewolwer do wody. Chciałam zatrzeć odciski palców. Kiedy później się dowiedziałam, że zastrzelono go z innego rewolweru, poszłam go szukać i znalazłam, bo wiedziałam, gdzie Gerda mogła go ukryć. Byłam tam minutę przed ludźmi Grange'a. — Po chwili milczenia Henrietta podjęła: — Cały czas miałam go w torebce. Zabrałam go do Londynu. Potem ukryłam go w pracowni, do czasu powrotu do Ainswick.

— Gliniany koń — mruknął Poirot.

— Skąd pan wie? Tak, włożyłam go do saszetki z gąbki, owinęłam drutem i zbudowałam na tym rusztowaniu model glinianego konia. Policja nie miała prawa niszczyć dzieła sztuki. Skąd pan wiedział, że ukryłam go w koniu?

— Ponieważ wybrała pani konia. Podświadomie myślała pani o koniu trojańskim. W jaki sposób zdobyła pani odciski palców?

— Na rogu ulicy zawsze stoi ślepiec sprzedający zapalki. Nie wiedział, co dałam mu do potrzymania, kiedy szukałam pieniędzy.

Poirot przyglądał się jej chwilę w milczeniu.

— *C'est formidable!* — mruknął. — Nigdy jeszcze nie miałem tak godnego przeciwnika jak pani, mademoiselle.

— To było straszne, uprzedzać pana za każdym razem.

— Wiem. Zacząłem się domyślać prawdy w chwili, gdy dostrzegłem powtarzający się wzór: poszlaki wskazywały na różne osoby, ale nigdy nie na Gerdę Christow. Wszystko zdawało się odsuwać podejrzenia od niej. Specjalnie narysowała pani Ygdrasila, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Lady Angkatell, doskonale rozumiejąc pani intencje, zabawiała się, wskazując inspektorowi Grange'owi różne możliwości. David, a nawet Edward... Tak, jeśli chce się oczyścić z podejrzeń winnego, można zrobić tylko jedno: trzeba szukać winy gdzie indziej, ale nigdy nie wskazywać na nic konkretnego. Dlatego każdy nowy ślad wydawał się na początku obiecujący, ale prowadził donikąd. Henrietta spojrzała na ciało leżące na fotelu.

— Biedna Gerda — powiedziała.

— Tak pani o niej myślała?

— Chyba tak. Gerda bardzo kochała Johna, ale nie chciała zobaczyć w nim tego, kim rzeczywiście był. Ustawiła go na piedestale i przypisywała mu wszystkie szlachetne i altruistyczne cechy, jakie знаła. Kiedy idol spada z piedestału, człowiekowi nie pozostaje już nic. A John był kimś lepszym nawet od idola na piedestale. Był prawdziwym, żywym, energicznym człowiekiem. Był szlachetny, ciepły i pełen życia. Był wspaniałym lekarzem. Teraz John nie żyje i świat stracił wielkiego człowieka. A ja straciłam jedyne go mężczyznę, którego mogłam kochać.

Poirot położył dłoń na jej ramieniu.

— Pani należy do osób, które potrafią żyć z sercem przebitym przez miecz cierpienia i nawet się uśmiechać...

Henrietta spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się z goryczą.

— To takie melodramatyczne!

— Jestem cudzoziemcem i lubię używać wzniosłych słów.

— Był pan dla mnie bardzo miły.

— Ponieważ szczerze panią podziwiam.

— Co teraz zrobimy? Mam na myśli Gerdę.

Poirot wziął do ręki woreczek na robótki i wysypał z niego różnokolorowe kawałki skóry. Wybrał kawałki grube i lśniące.

— Kabura. Niech pani to weźmie. Biedna pani Christow nie wytrzymała napięcia; nie mogła dojść do siebie po śmierci męża. Uznają, że była niepoczytalna i odebrała sobie życie...

— Nikt się nie dowie prawdy? — spytała Henrietta.

— Sądzę, że jedna osoba się dowie: syn doktora Christowa. Myślę, że kiedyś przyjdzie do mnie i zażąda prawdy.

— Chyba mu pan nie powie! — krzyknęła Henrietta.

— Ależ tak, powiem mu.

— Nie!

— Pani nie rozumie. Pani nie chce, żeby chłopiec cierpiał. Są jednak ludzie, dla których najgorszym cierpieniem jest nie wiedzieć. Słyszała pani, co przed chwilą powiedziała ta biedna kobieta: Terence musi wiedzieć. Dla osoby o ścisłym umyśle prawda ma pierwszeństwo. Nawet najgorsza wplata się w skomplikowany wzór tworzony przez życie,

Henrietta wstała.

— Chce pan, żebym została, czy też mogę już iść?

— Chyba lepiej będzie, jeśli pani już pójdzie. Henrietta kiwnęła głową.

— Co ja teraz zrobię? — spytała raczej siebie samą niż Poirota. — Bez Johna.

— Mówi pani jak Gerda Christow. Pani będzie wiedziała, co zrobić i dokąd pójść.

— Tak? Czuję się strasznie zmęczona.

— Niech pani już idzie, drogie dziecko — powiedział Poirot łagodnie. — Pani miejsce jest wśród żywych. Ja zostanę ze zmarłą.

## XXX

W drodze do Londynu Henrietta powtarzała sobie: „Co teraz zrobię? Dokąd pójdę?”

Od dwóch tygodni żyła w napięciu, podnieceniu, nie zaznała chwili wytchnienia. John powierzył jej zadanie do wykonania. Teraz jest po wszystkim. Zawiodła czy też udało się jej? Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, to już koniec. Henriettę ogarnęło ogromne zmęczenie.

Przypomniała sobie, co powiedziała Edwardowi na tarasie w dniu śmierci Johna, kiedy wróciła nad basen i celowo, przy świetle zapałki, narysowała w pawilonie na metalowym stoliku Ygdrasila. Wtedy miała wiele do zrobienia. „Chciałabym — powiedziała Edwardowi — móc się teraz smuć z powodu śmierci Johna”.

Wtedy nie miała odwagi się odprężyć, pozwolić, żeby ogarnął ją smutek. Dopiero teraz może pogрузić się w boleści. Ma dużo czasu.

— John... — szepnęła. — John... Była rozgoryczona i zbuntowana. Szkoda, że nie wypilał tej herbaty — pomyślała. Prowadzenie samochodu uspokoiło ją nieco. Zaraz znajdzie się w Londynie, odstawi samochód do garażu i wejdzie do pustej pracowni, John już nigdy jej nie odwiedzi, nie usiądzie w fotelu, nie będzie jej przymuszał do uległości, złościł się na nią, kochał bardziej, niżby chciał... Nie będzie opowiadał o chorobie Ridgewaya, o swoich zwycięstwach i rozpaczy, o pani Crabtree i szpitalu pod wezwaniem świętego Krzysztofa.

Nagle mrok, ogarniający jej umysł, rozjaśnił się.

Tak — pomyślała. — Pojadę do szpitala.

Pani Crabtree leżała na wąskim szpitalnym łóżku. Mrużąc oczy, spoglądała na gościa. Była taka jak w opowieściach Johna. Henriettcie zrobiło się weselej na duszy. Miała wrażenie, że znalazła się bliżej Johna.

— Biedny doktor. To straszne — powiedziała pani Crabtree; w jej głosie słychać było nie tylko żal, ale i przyjemność, ponieważ pani Crabtree kochała życie, a morderstwa i śmierć (szczególnie dzieci) należą do jego najbogatszych elementów. — Pozwolił, żeby go tak zdmuchnęli. Wszystko się w człowieku przewraca, kiedy słyszy coś takiego. Czytałam o tym w gazetach. Siostra przynosiła mi, co udało się jej zdobyć. Była bardzo miła. Widziałam zdjęcia. Basen i tak dalej. Jego żona po rozprawie, biedactwo; ta lady Angkatell, co to jej był ten basen. Dużo zdjęć. Nie rozwiążali tej zagadki.

Radość, z jaką pani Crabtree rozprawiała o tym wszystkim, nie sprawiała Henriettcie przykrości. Podobało się jej to, bo wiedziała, że John byłby z tego zadowolony. Skoro musiał umierać, wolałby, żeby pani Crabtree miała z tego trochę radości, niż żeby szlochała i zalewała się łzami.

— Mam nadzieję, że w końcu złapią tego, co to zrobił, i powieszają — powiedziała pani Crabtree ze złością. — Szkoda, że dzisiaj nie wykonują wyroków publicznie. Chciałabym zobaczyć, jak wieszają mordercę. Gdyby to był morderca doktora, pobiegłabym w podskokach. Doktor był na medal. Mądry człowiek. Zawsze elegancki. Zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. Opowiadał czasem różne rzeczy. Wszystko bym dla niego zrobiła.

— Tak — zgodziła się Henrietta — był mądry. Był wielkim człowiekiem.

— W szpitalu bardzo go cenią. Wszystkie pielęgniarki i pacjenci. Przy nim zawsze człowiek wierzył, że dojdzie do siebie.

— Zamierza pani dojść do siebie? — spytała Henrietta. Małe, przenikliwe oczka zachmurzyły się na moment.

— Sama nie wiem, dziecinko. Teraz dostałam tego młodego doktora, co to gęby do człowieka nie otworzy. Ma okulary. Całkiem inny od doktora Christowa. Nigdy się nie śmieje. Doktor Christow zawsze sobie żartował. Tym swoim leczeniem nieraz dał mi się we znaki. „Dłużej tego nie wytrzymam, doktorze” — mówiłam. „Wytrzyma pani — odpowiadał.

— Pani jest silna. Da sobie pani radę. Razem przejdziemy do historii medycyny”. I znów zaczynał żartować. Do piekła bym za nim poszła. Nie rozczulał się nad człowiekiem, ale człowiek nie chciał mu sprawić zawodu.

— Tak, wiem — przytaknęła Henrietta. Małe, bystre oczka spojrzały na nią z uwagą.

— Wybacz mi, dziecinko, ale chyba nie jesteś żoną doktora?

— Nie. Jestem jego przyjaciółką.

— Teraz rozumiem — powiedziała pani Crabtree. Henrietta pomyślała, że chyba rzeczywiście rozumie.

— Przepraszam, że pytam, ale dlaczego pani do mnie przyszła?

— Doktor dużo mi o pani opowiadał... I o swoim nowym leczeniu. Chciałam wiedzieć, jak się pani czuje.

— Odpływam... tak, dziecino.

— Nie wolno pani! — krzyknęła Henrietta. — Musi pani wyzdrowieć.

Pani Crabtree uśmiechnęła się.

— Tylko sobie nie myśl, że chcę wykorkować.

— Niech pani walczy! Doktor Christow mówił, że pani się nie podda.

— Tak mówił?

Pani Crabtree milczała przez chwilę.

— Co za drań, ten, co go zabił! — powiedziała w końcu. — Takich jak doktor i tak jest niewiele.

Takiego jak on już nigdy nie zobaczymy — pomyślała Henrietta. Pani Crabtree przyglądała się jej z uwagą.

— Głowa do góry, dziecino — powiedziała staruszka. — Mam nadzieję, że miał ładny pogrzeb.

— Bardzo ładny — uspokoiła ją Henrietta.

— Żałuję, że mnie tam nie było — westchnęła pani Crabtree. — Pewnie niedługo wybiorę się na własny pogrzeb — dodała.

— Nie! — zawołała Henrietta. — Nie wolno pani. Sama pani mówiła, że doktor Christow obiecywał, że przejdziecie do historii medycyny. Teraz musi pani radzić sobie bez niego. Leczenia nie zmienia. Ma pani tyle siły, że wystarczyłoby dla dwóch. Musi pani sama przejść do historii medycyny. Przez pamięć o nim...

Pani Crabtree przyglądała się jej w milczeniu.

— To wielkie słowa — powiedziała w końcu. — Postaram się, dziecko, ale nic nie obiecuję.

Henrietta wstała i ujęła ją za rękę.

— Do widzenia. Jeśli pani pozwoli, wpadnę tu jeszcze.

— Przychodź, dziecko. Chętnie porozmawiam o doktorze.

— W jej oku pojawił się dwuznaczny błysk. — Doktor Christow był człowiekiem z klasą.

— Tak — zgodziła się Henrietta.

— Nie martw się, dziecino. Co minęło, to się nie wróci. Nic na to nie poradzisz.

Pani Crabtree i Herkules Poirot — pomyślała Henrietta

— mówią w zasadzie to samo.

Wróciła do Chelsea, odstawiła samochód do garażu i spokojnym krokiem poszła do pracowni.

Wreszcie — myślała — nadeszła chwila, której się bałam. Jestem sama. Nie mogę dłużej tego odkładać.

Co powiedziała Edwardowi? „Chciałabym móc się smucić z powodu śmierci Johna”.

Ciężko usiadła na krześle i odsunęła z twarzy kosmyk włosów.

Samotność... pustka... porzucenie. To straszne.

W oczach piekły łzy; po chwili zaczęły jej spływać po policzkach. Żal. Tęsknota za Johnem. John...

Nagle, z bólem serca, przypomniała sobie jego słowa: „Gdybym umarł, natychmiast, z twarzą zalaną łzami, zaczęłabyś rzeźbić kobietę w czerni albo jakąś personifikację żałoby”.

Henrietta poruszyła się niespokojnie. Coś jej przyszło do głowy. Żałoba... żałoba... Kobieta w welonie opadającym do ziemi, z pochyloną głową.

Alabaster.

Wysokie, długie linie. Tylko te długie, smukłe linie szaty zdradzają rozpacz. I jasny, przejrzysty alabaster.

„Gdybym umarł...”

Nagle poczuła narastającą gorycz.

Taka już jestem — pomyślała. — John miał rację. Nie potrafię ani kochać, ani żałować całą sobą. To Midge i ludzie tacy jak ona są solą tej ziemi.

Midge i Edward w Ainswick. To jest rzeczywiste; w tym jest siła i ciepło.

Ale mnie — myślała — czegoś brak. Nie należę do siebie, tylko do czegoś poza mną. Nie mogę płakać po zmarłym. Muszę rzeźbić w alabastrze.

Rzeźba numer 58: „Żałoba”. Alabaster. Panna Henrietta Savernake...

— Wybacz mi, John — mruknęła cicho — ale nic na to nie poradzę.